W NUMERZE: Nasi reprezentanci (str. 4 i 5), Sen o dorszu ■ Zakładnicy ■ Gdyby Rzym upadł ■ Ballada wagonowa ■ Recenzje ■ Felietony ■ Załącznik.

Łódź
tygodnik społeczno-kulturalny
odgłosy

NR 12 (1163) ROK XXIII 23 MARCA 1980 R. CENA 3 ZŁ

PERŁA I BUKATY

RYSZARD BINKOWSKI

Przez dziesiątki lat Głowno, otoczone lasami miasto nad Mrogą i Mrożycą, uważano za miejscowość letniskową. Było sielsko, cicho, letniskowo, ale sami letnicy nie mogli zapewnić mieszkańcom utrzymania. Miasto pustoszało, ogałacane z rąk do pracy przez wielkoprzemysłową Łódź. Trzeba było zapobiec temu zjawisku, wkrótce więc w senny, parterowy krajobraz wdarła się industrializacja. Powstały zakłady motoryzacyjne i Zakłady Remontu Obrabiarek „Remo", kosztem 800 mln złotych zbudowano Zakłady Przemysłu Ziemniaczanego, zwane popularnie „krochmalnią", produkujące mączkę ziemniaczaną, ostatnio zaś filię zakładów „Lido". Nikt jednak z mieszkańców Głowna nie myślał o wyjeździe do USA, ani tym bar-

Dalszy ciąg na str. 6

Foto: Archiwum

SŁAWOMIR DARZYCKI

SEN O DORSZU

Sygnały nadchodzące z Wybrzeża alarmowały: sypnęło dorszem tak bogato, że chwilami zaczęto mówić o klęsce urodzaju. Bez przerwy pracują wszystkie lądowe przedsiębiorstwa zajmujące się przetwórstwem rybnym. Filety, konserwy, mrożonki i marynaty — sypią się z taśm produkcyjnych obfitym strumieniem. Jeżeli jeszcze w Ustce, Kołobrzegu, Helu czy we Władysławowie sytuację taką przewidziano, przygotowując się zawczasu do przyjęcia plonu obfitszych połowów, to handel wydawał się być zaskoczony samą obecnością ryby. Wytworzyła się zaraz paradoksalna sytuacja: ryb jest pod dostatkiem na Wybrzeżu, natomiast w głębi kraju po prostu są nieosiągalne. Jedni biadolą, że nie wiedzą, co z nimi robić, inni biegają po sklepach z przerażeniem patrząc na piramidy konserw. Ryby są, ryb nie ma...

Centrala Rybna w Łodzi, tak jak siedemnaście tego typu przedsiębiorstw w kraju, funkcjonuje po to.

Dalszy ciąg na str. 7

FELIKS BĄBOL

W STYCZNIU I PÓŹNIEJ

W styczniu 1945 r. przyciągnęła z Lublina do Łodzi cała artystyczna Warszawa. Niektórzy jej przedstawiciele chodzili jeszcze w mundurach wojskowych, szynelach, wysokich butach. Kawę pili i dyskutowali o tym, jaka ma być nowa Polska — artystyczna teatralna i filmowa. Rozprawiano o tym w „Cyganerii" przy Piotrkowskiej, albo we „Fraszce" (gdzie dziś Dom Prasy, a na parterze Delikatesy), zaglądało do Klubu Pickwicka mieszczącego się w hotelu Savoy, albo do Kaczki-Dziwaczki przy rogu Piotrkowskiej i Wigury, którą prowadził brat Dymszy.

Wieczorne rodaków rozmowy odbywały się i w „Albatrosie", lokalu skleconym z byle czego i urządzonym byle jak, ale że zlokalizowano go nad poniemieckim basenem przeciwpożarowym (między Piotrkowską i alejami Kościuszki), stanowił atrakcyjny azyl dla wszystkich „cyganów" i pierwszych powojennych bonvivantów. Nieraz też zdarzało się, że goście na dużym rauszu zażywali nad ranem w owym basenie kąpieli, skacząc dla ochłody do zbiornika w czym popadło — w spodniach, kalesonach czy całych garniturach. „Albatros" wszedł jednak także do historii polskiej piosenki — tutaj bracia Harrisowie po raz pierwszy w Łodzi grali i śpiewali rzewno-patriotyczną „Piosenkę o mojej Warszawie".

We „Fraszce" urzędował codziennie Anatol Mikułko, naczelny redaktor „Dziennika Łódzkiego" i cała liczna grupa dziennikarzy, artystów i plastyków, którzy z czasem przenieśli się do Warszawy i Krakowa, aby po przejściowym pobycie w Łodzi wrócić do swych przedwojennych teatrów, sal wystawowych czy redakcji pism i gazet. Mikułko został w Łodzi, łącząc, jak powiadano, zawód lekarza-ginekologa z funkcją szefa „Czytelnikowskiej" gazety, którą był „Dziennik". Została z tego okresu pamięć po Joannie Wiłńskiej, z którą zetknąłem się w „Musze", wydawanej wówczas w Łodzi, po Zarubie i Prutkowskim, po Żółkiewskim i jego „Kuźnicy", z którą jakiś czas współpracowałem.

* * *

Czekaliśmy na powrót krewnych i znajomych, których wojna i okupacja rzuciły daleko od domu rodzinnego i Łodzi. Nie wrócili jednak red. Rom-Furmański, sekretarz redakcji „Echa", zmobilizowany jako oficer rezerwy, daremnie czekaliśmy na powrót Stanisława Rachalewskiego, sekretarza redakcji „Kuriera Łódzkiego", który w czas okupacji znalazł się w Warszawie walczył w powstaniu, a potem zginął na trasie wymarszu internowanych.

Po Rachalewskim zostały książki: „Szabla na kilimie", stanowiąca odautorskie refleksje legionowe oraz „Zastygły nurt życia" — interesująca monografia łódzkich cmentarzy. Jeszcze dziś książka ta stanowi atrakcyjną encyklopedię wiedzy o ludziach, którzy odeszli, a którzy budowali wielkoprzemysłową Łódź, zapisali się w jej historii jako działacze społeczni i kulturalni. Książka ta zawiera wiele ciekawych informacji, rysów obyczajowych z życia XIX-wiecznej Łodzi.

Wśród tych, którzy decydowali się rozpoczynać nowe życie w wolnej już, ale ciągle jeszcze chłodnej i głodnej Łodzi, nie było Franciszka Probsta naczelnego redaktora przedwojennego „Echa". Spotkałem go któregoś dnia na placu Wolności. Czekał — jak mi mówił — na zezwolenie wyjazdu do Danii. Był to rok 1941, Niemcy okupowali już i ten kraj, chociaż więc jego żoną była Dunka i on miał wielkie trudności w połączeniu się z nią. Udała się tam ona zaraz z początkiem wojny i teraz czekała tylko na przyjazd męża.

Probst nie zapisał się w naszej pamięci niczym szczególnym, popołudniówkę, której był szefem, prowadził zbyt spokojnie, bez „nerwu" którym żyją tego rodzaju gazety, ten „nerw" w redakcji reprezentował raczej sekretarz redakcji, wspomniany wyżej Rom-Furmański. Probst miał za to wiele pozytywnych cech pomagających we współżyciu z ludźmi, nawet najmłodszych dziennikarzy traktował z właściwym sobie poważaniem i zrozumieniem. Pamiętam, że z wycieczek zagranicznych, których odbył kilka, nie zapominał przysłać pozdrowień nawet dla metrampaża, nawet i dla mnie, najmłodszego członka zespołu redakcyjnego.

W sposób tragiczny ożyła pamięć o Probście dopiero po wojnie. Otóż jeden z jego dwóch synów ukończył w Danii szkołę średnią z królewskim wyróżnieniem i w nagrodę mógł wraz ze swym bratem wyjechać na dwa tygodnie do Szwajcarii. Duńczycy nie znają turystyki bez roweru, więc i ci młodzi Probstowie wędrowali na rowerach po szwajcarskich miastach i miasteczkach. W jednym z nich bracia postanowili wstąpić na pocztę i wysłać do rodziców pocztówki. Na pocztę wstąpił jeden z chłopców, drugi czekał na ulicy, pilnując rowerów. Na stojącego przed pocztą na ulicy młodego Probsta nadjeżdża pędzący szybko samochód. Chłopiec ginie na miejscu. Ten z królewskim wyróżnieniem.

Dalszy ciąg na str. 9

Dworzec Centralny w Warszawie. Stoję na peronie w tłumie ludzi, oczekujących na pociąg pośpieszny 16.17 do Łodzi. Po chwili nadjeżdża. Drzwi wagonu zatrzymują się naprzeciw mnie. Szarpię kilkakrotnie za uchwyt, ale otwierają się jedynie do połowy. W tej szamotaninie pozostaję sam, wszyscy już odbiegli, gdzie indziej szukać szczęścia. Wciągam głęboko powietrze i udaje mi się sforsować przeszkodę — jestem w środku.

— Czy mógłby mi pan pomóc — słyszę z tyłu. Przez pół otwarte drzwi przeciągam najpierw torbę, potem człowieka. Siadamy obok siebie. On wyjmuje z kieszeni płaszcza „Trybunę Ludu", przerzuca wzrokiem zadrukowane kolumny i po 10 minutach zasypia. Gdzieś na wysokości Ursusa upuszczam mu na nogi moją skórzaną torbę z książkami.

— *Co się stało?* — budzi się Jan Machulski

— Przepraszam... teczka spadła mi z półki. Przykro mi, że obudziłem... Bardzo jest pan zmęczony?

— *Nie bardzo, ale o co chodzi?*

— Mam ponad dwie godziny jazdy przed sobą. Mógłbym zarobić 1.000 złotych. *)

— *W jaki sposób?*

— Rozmawiając. Pan jest popularnym aktorem, ja dziennikarzem — to byłby wywiad.

— *Co chce pan wiedzieć?*

— Po co pan jedzie do Łodzi?

— *Jeżdżę tak co piątek. W Szkole Filmowej prowadzę zajęcia ze studentami na Wydziale Aktorskim.*

— Co pan właściwie z nimi robi?

— *Przedmiot nazywa się Sceny Współczesne*

BALLADA WAGONOWA

— rozmowa z JANEM MACHULSKIM

— przygotowujemy fragmenty dramatów JONESCO, BECKETTA, MROŻKA... Obecnie pracujemy nad „SZALONĄ GRETĄ" Stanisława

Dalszy ciąg na str. 8

WOJCIECH ROSZEWSKI

CON AMORE

Mglisty i aż uginający się pod ciężarem mas spadłego śniegu dzień styczniowy przyniósł mi pewne wzruszenie, które swoją genealogią sięga zapewne tych chwil, kiedy będąc jeszcze dzieckiem w wieku dość zdecydowanie przedszkolnym, posiłkując się opasłym i trudnym do podźwignięcia tomem oprawnego w płótno rocznika „Tygodnika Ilustrowanego", za wszelką cenę usiłowałem zgłębić fenomen czytania.

Ów rocznik „Tygodnika Ilustrowanego", zdobiony był pięknymi miedziorytami i litografiami, znaleźć już w nim było można statyczne ale wyraziste i ostre fotografie różnych miejsc i zdarzeń, czerniły się w nim śmieszne kreski „z teki humorysty Franciszka Kostrzewskiego", puszyły bufiaste rebusy, krzyżowały dziwne logogryfy, ale litery, wreszcie jako tako rozpoznane, pozostawiły to wszystko w pobitym polu. Zaprzedałem im duszę i w końcu dokonałem wyczynu dość dziwnego i niezwykłego, przeczytałem to tomisko od dechy do dechy, nie bacząc na to, że niewiele z niego rozumiałem i musiałem poświęcić na tę robotę kilka miesięcy. Rocznikowi temu zawdzięczam szczególną estymę, jaką darzę książki i czasopisma XIX-wieczne. Nie jest to żadna miłość o zaśpiewie bibliofilskim, ponieważ nie jestem przywiązany do ich formy, lecz do treści. Ściśle mówiąc: do treści i objętości, ponieważ ponad wszystko przedkładam dzieła grube, akuratne, rozwlekłe, nudne, monotonne, gruntowne, pełne mądrości pozbieranych w najróżniejszych parafiach. Dopiero po wielu latach dowiedziałem się, że takich roczników „Tygodnika Ilustrowanego" jak ten, z którego uczyłem się czytać, było osiemdziesiąt, pismo bowiem wychodziło nieprzerwanie od roku 1859 do roku 1939 i nie zmogły go nawet powstanie styczniowe, rewolucja 1905 roku i wybuch I wojny światowej.

„Tygodnik Ilustrowany" usiłował ocalić coś z czasu biegnącego dzień po dniu, tydzień po

KRONIKA KULTURALNA

Honorową Odznakę Miasta Łodzi otrzymało — z rąk przewodniczącego Rady Narodowej, I sekretarza KŁ PZPR Bolesława Koperskiego — Towarzystwo Przyjaciół Łodzi, istniejące od dwudziestu już lat. Z tej okazji przyznano dwóm zasłużonym łodziankom honorowe członkostwo TPŁ oraz zaszczytne tytuły „Bohatera Dnia Powszedniego".

* * *

1000-lecie śmierci Henryka Wieniawskiego — w Państwowej Szkole Ogólnokształcącej Muzycznej I i II stopnia w Łodzi odsłonięto popiersie patrona tej placówki. Autorem projektu jest W. Ciesielski, a wykonawcą i ofiarodawcą — Zakład Hydrauliki Siłowej (w czynie społecznym).

Uroczystości towarzyszył koncert w wykonaniu młodych solistów z POSM, inaugurujący cykl koncertów poświęconych muzyce Wieniawskiego. Jednocześnie młodzież przystąpiła do udziału w ogólnopolskiej akcji Powązki", przeznaczając fundusze z koncertów i innych prac na rewaloryzację grobu-pomnika swego patrona.

* * *

Uroczystym otwarciem wystawy tradycji polskiego lalkarstwa — „Od Turonia do Colargola" — zapoczątkowało swoją działalność pierwsze w kraju Muzeum Lalek, zorganizowane z inicjatywy Wydziału Kultury UMŁ oraz Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego, przy czynnym udziale PTL „Arlekin" i „Pinokio" oraz „Se-ma-Fora".

Mieszcząca się obecnie w budynku przy ul. Moniuszki 5 ekspozycja przeniesiona zostanie w przyszłości do gmachu przy Gdańskiej róg Kopernika, co umożliwi nie tylko poszerzenie kolekcji o zbiory ogólnopolskie ale — w połączeniu z Teatrem „Pinokio" i kinem „Przedwiośnie" — stanowić będzie Centrum Kultury Dziecięcej.

* * *

Przy okazji kilka informacji dotyczących przyszłości łódzkiego muzealnictwa. I tak: trwają prace przygotowujące powstanie muzeum filmu, które w pierwszej fazie gromadzić będzie kostiumy i rekwizyty, w przyszłości zaś ma się powiększyć o plenerową ekspozycję scenografii i dekoracji filmowej — w Parku Źródliska. Jeszcze w tym roku przy pl. Wolności ma powstać wystawa na świeżym powietrzu, poświęcona polskiej kulturze materialnej na wsi (m. in. wiatraki, wozy itp. większe obiekty oraz przedmioty). Trwają także wstępne przygotowania do uruchomienia muzeum życia i kultury materialnej robotniczej Łodzi.

* * *

W Muzeum Historii Miasta odbyła się konferencja prasowa poświęcona omówieniu założeń programowo-organizacyjnych Ogólnopolskich Konfrontacji „Sztuka Młodych Łódź-80" przygotowywanych przez Wydział Kultury UMŁ wespół z Ministerstwem Kultury i Sztuki. Powołano już robocze zespoły specjalistów, na czele których stanęli: B. Hussakowski (teatr), J. Wawrzak (literatura), A. Nieśmiałek (film), B. Kepler (plastyka) i A. Hundziak (muzyka). Jak już informowaliśmy, konfrontacje mają przebiegać dwuetapowo. Pierwszy etap już trwa (do maja br.) i jest okresem zwiększonej pomocy organizacyjnej dla młodych łódzkich artystów. Drugi etap przypadnie na listopad br. Wówczas łodzianie będą mieli okazję zapoznać się z najciekawszymi osiągnięciami w sztuce młodych w Polsce.

* * *

W łódzkim Muzeum Sztuki otwarto w marcu zorganizowaną wspólnie z Muzeum Narodowym w Krakowie — wystawę pt. „Stanisław Ignacy Witkiewicz — 1885—1939", prezentującą — po raz pierwszy w takim wyborze — malarstwo, rysunek i fotografię Witkacego. Wystawa ta — przygotowana w 40 rocznicę śmierci S. I. Witkiewicza — czynna była uprzednio w Krakowie. Jest panoramą osiągnięć twórczych tego autora w dziedzinie plastyki — ze zbiorów 8 polskich muzeów i kilkunastu kolekcji prywatnych. Po prezentacji w Łodzi, wystawa ta znajdzie się w Düsseldorfie, gdzie będzie pokazywana w ramach „Dni Polskich".

* * *

To samo muzeum zaprasza też — od 18 marca br. — na inna interesującą wystawę — pn. „Sztuka reportażu — Z historii fotografii polskiej", przygotowaną w związku z ogłoszonym przez UNESCO „Rokiem fotografii" (przez Muzeum Narodowe we Wrocławiu). Wystawa ta zawiera ponad 200 fotografii nurtu reportażowego z okresu 1870—1979, od zdjęć uczestników powstania styczniowego począwszy, a na nie publikowanych fotografiach z lat 70 skończywszy.

* * *

Jubileusz 30-lecia obchodziła 2 Rejonowa Biblioteka Publiczna dla Dzieci i Młodzieży na Polesiu, przy ul. Wróblewskiego 67. W ciągu 30 lat odwiedziło tę placówkę pół miliona czytelników wypożyczając — ogółem — prawie milion woluminów. Dziś w bibliotece znajduje się 13-tysięczny księgozbiór — dla ponad 2 tys. zarejestrowanych w niej czytelników. Od 21 lat placówką kieruje Teresa Kądziela.

* * *

Z tournee po Francji powrócił w początkach marca Reprezentacyjny Zespół Tańca Ludowego Włókniarzy im. Szymona Harnama. W ciągu miesiąca dał on 31 koncertów w wielu miejscowościach z Paryżem włącznie. W tym — 46 z kolei — wyjeździe „Harnama" uczestniczyły 44 osoby, a w tej liczbie — 8-osobowa kapela. Występy powiększyły grono zwolenników łódzkiego zespołu we Francji.

* * *

3 marca ogłoszono wyniki ogólnopolskiego przeglądu piosenki aktorskiej we Wrocławiu. Wśród laureatów czterech nagród II stopnia znalazły się Małgorzata Rogacka-Wiśniewska i Ewa Taraszkiewicz z Teatru im. Jaracza w Łodzi.

* * *

Natomiast w Łodzi odbył się — już po raz czwarty — Ogólnopolski Przegląd Piosenki Turystycznej „YAPA-80", organizowany tradycyjnie przez Studencki Klub Turystyczny „Plazik" oraz Radę Uczelniana Politechniki Łódzkiej. W przeglądzie udział wzięło 60 grup i ok. 250 wykonawców ze wszystkich środowisk akademickich kraju.

W połowie marca startowali również uczestnicy eliminacji międzywojewódzkich IV Ogólnopolskiego Młodzieżowego Przeglądu Piosenki. Woj. miejskie łódzkie reprezentowały trzy zespoły i dwoje solistów.

* * *

Małą Akademię Jazzu zaproponował młodzieży działający przy SME Łódzki Klub Jazzowy — w porozumieniu z DDK na Bałutach. Zajęcia teoretyczne i przesłuchania muzyki mechanicznej uzupełniają specjalne koncerty znanych i cenionych w kraju zespołów oraz solistów.

* * *

Z kolei w sali kameralnej łódzkiej Filharmonii zainaugurowano cykl „Wieczory muzyczne młodych". Jako pierwszy wystąpił Łódzki Kwintet Akordeonowy, powstały w 1977 roku z inicjatywy absolwentów i studentów PWSM.

* * *

Od połowy marca do połowy maja koncertować będą w Łodzi reprezentanci Polski na X Międzynarodowy Konkurs im. Fryderyka Chopina. Z pierwszym recitalem pianistycznym wystąpi w połowie marca Jerzy Sterczyński, 2 kwietnia br. usłyszymy w Filharmonii Łódzkiej Kornelię Ogórkównę, a w dalszych terminach — następnych kandydatów. Dodajmy, że PFŁ zapewniła już sobie bezpośrednio po konkursie recitale zdobywców trzech pierwszych miejsc.

* * *

Od 12 kwietnia trwać będą w Łodzi filmowe „Konfrontacje". Organizatorzy przewidują m. in. dzieła F. Coppoli, J. A. Bardema, W. Herzoga, F. Felliniego, A. Michałkowa-Konczałowskiego, S. Eisensteina, M. Formana i A. Wajdy. Tym razem jednak projekcje ominą reprezentacyjne kino „Bałtyk" w którym nadal królować będzie amerykański „wyciskacz łez" — „Przeminęło z wiatrem". Bilety na najpopularniejsze seanse o g. 16 i 20 są w „Bałtyku" wyprzedane niemal do końca kwietnia.

* * *

Otwarto w Łodzi nową galerię — wyrobów ze srebra. Głównymi dostawcami dla salonu — w podcieniach Staromiejskiego Rynku na Bałutach — są członkowie pracowni artystycznej srebra i szlachetnych technik metalowych działającej od niedawna przy łódzkich Pracowniach Sztuk Plastycznych. Obok ich prac: biżuterii, medali, rzeźb itp., w galerii prezentuje się również — i sprzedaje — płócna czołowych łódzkich malarzy.

* * *

W Salonie Sztuki Współczesnej — „DESIE" — zrozumiałym powodzeniem cieszyły się ostatnio oryginały rysunków Mai Berezowskiej z roku 1960 i lat późniejszych, przygotowane przez autorkę z myślą o wydaniu ich w zbiorze fraszek Jana Sztaudyngera, a nabyte niedawno od prywatnego właściciela.

* * *

Muzeum Miasta Zgierza — założone niedawno przy ul. Dąbrowskiego 21, w „Domu pod Iwami" apeluje do mieszkańców Zgierza, byłych mieszkańców i przyjaciół miasta o zasilanie zbiorów tej placówki wszelkiego rodzaju dokumentami, pieczęciami, starymi fotografiami i pocztówkami, prasą („Gazeta Zgierska"!), wydawnictwami, sztandarami cechowymi oraz elementami kultury materialnej miasta Zgierza i okolic. Dla zainteresowanych — tel. 16-37-92. Przy okazji dodajmy, że muzeum prowadzi już normalną działalność wystawienniczą (oprócz poniedziałków i dni poświątecznych).

* * *

Jeszcze w tym roku ma się rozpocząć modernizacja dawnego skierniewickiego browaru — z myślą o powołaniu w nim... Wojewódzkiego Centrum Kultury i Sztuki. Ta — nieco zaskakująca zmiana funkcji budynku — ma się odbywać stopniowo, etapami. W przyszłości — w dawnej części produkcyjnej — znaleźć mają się m. in. sala widowiskowa, klubokawiarnia, sale prób i gier, salon wystawienniczy, zakład małej poligrafii, duża sala tańca, pracownie, magazyny i pomieszczenia administracyjne. Położona ma być również nowa elewacja na tym budynku, a także na dawnym obiekcie administracyjnym browaru, będącym dziś siedzibą Wojewódzkiego Domu Kultury, a w przyszłości — biblioteki wojewódzkiej. W skład Centrum Kultury i Sztuki wchodzić ma także istniejący już kinoteatr „Polonez" oraz budynek w jego sąsiedztwie, który przejąć ma BWA. Wszystkie te prace powinny się zakończyć do roku 1985.

* * *

Rozpoczął się II Lektorat Wymowy Sądowej dla słuchaczy III i IV roku Wydz. Prawa. W programie — węzłowe problemy kultury słowa. Wykładowcami są znani adwokaci, aktorzy i naukowcy. Lektoraty mają charakter otwarty.

* * *

Artysta plastyk, EWA TYC-KARPIŃSKA z Łodzi, otrzymała niedawno wyróżnienie honorowe na XVIII Międzynarodowym Kongresie Medalierskim organizowanym przez FIDEM w Lizbonie (Portugalia), za medal w konkursie z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka.

W konkursie tym, w którym brali udział artyści całego świata, przyznano Grand Prix, dwa wyróżnienia honorowe i osiem wyróżnień zwykłych.

KANDYDACI DO PWSFTviT

Rektor Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej podaje do wiadomości, że na terenie uczelni, Łódź, ul. Targowa 61/63, czynne są wydziałowe punkty informacyjne dla kandydatów na I rok studiów w roku akademickim 1980/81.

Wydział Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej — w poniedziałki i piątki, w godz. 14.00—16.00.

Wydział Operatorski i Realizacji Telewizyjnej — we wtorki i piątki, w godz. 14.00—16.00.

Wyższe Studium Zawodowe Organizacji Produkcji Filmowej i Telewizyjnej — we wtorki i piątki, w godz. 11.30—13.00.

Wydział Aktorski — w poniedziałki i soboty, w godz. 16.00—18.00.

Wyższe Zawodowe Studium Reżyserii Filmu Animowanego — w poniedziałki i piątki, w godz. 13.00—15.00.

Kandydaci zgłaszający się do punktu informacyjnego przy Wydziale Operatorskim i Realizacji Telewizyjnej mogą przedkładać prace fotograficzne — celem wstępnej oceny ich wartości.

Kandydaci na Wydział Aktorski mogą uzyskać w punkcie konsultacyjnym, poza szczegółowymi informacjami, również wstępną ocenę swoich predyspozycji do zawodu aktora.

W uczelni działa także punkt informacyjny Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, czynny w środy, w godz. 16.00—18.00.

NOWA SERIA „NASZEJ KSIĘGARNI"

„Nasza Księgarnia" podjęła edycję nowej serii wydawniczej zatytułowanej „W Kręgu". Na półkach księgarskich znaleźć już można pierwszą pozycję tego cyklu — „W kręgu optymalizacji". Książka napisana przez Edwarda Kaekiego i Tadeusza Niewierowicza wprowadza w zagadnienia nowej dyscypliny naukowej jej szerokich zastosowań w życiu codziennym. W planowaniu wszelkich czynności i prac, w ekonomice, nauce, technice oraz w sprawy metod przy rozwiązywaniu najprzeróżniejszych problemów — przy użyciu najprostszych środków w celu uzyskania najefektywniejszych wyników. Jasność i komunikatywność zawartych w tomie informacji sprawia, że książka jest pożyteczną lektura nawet dla czytelników o elementarnym zasobie wiedzy. Jest ponadto dobrą zapowiedzią całej serii, której następne pozycje pojawią się w ciągu najbliższych miesięcy. Będą to tytuły — „W kręgu telekomunikacji", „W kręgu astronomii", „W kręgu astronautyki", „W kręgu cybernetyki".

Książki z serii „W Kręgu" przeznaczone są głównie dla czytelników o rozbudzonych i ukierunkowanych zainteresowaniach. Ukazywać będą ważne problemy określonych dyscyplin naukowo-technicznych a także perspektywy ich rozwoju oraz ich wzajemne przenikanie i relacje, a ponadto — praktyczne zastosowanie najnowszych osiągnięć naukowych. Zatem seria ta poświęcona aktualnym tendencjom nauki i techniki będzie pogłębiać rozwijać i zaspokajać zainteresowania czytelników. W następnych latach ukaża się takie pozycje jak „W kręgu genetyki", „W kręgu geologii", „W kręgu zastosowań matematyki". Książki z serii „W Kręgu" cechuje staranna szata graficzna i wysoki poziom wykonania poligraficznego.

KLUB PRZYJACIÓŁ RADIA

Klub Przyjaciół Radia działa w Łodzi dopiero od stycznia, a już skupił wokół siebie liczne grono bywalców. Powstała Łódzka Rodzina Radiowa, podobna do tej, która skupiała miłośników radia przed wojną.

Pomysł i organizację nowego klubu zawdzięczamy redaktorowi Krzysztofowi Turowskiemu z Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia, który pełni funkcję gospodarza klubu. Wydziałowi Oświaty i Kultury Urzędu Dzielnicowego Łódź-Śródmieście oraz Narodowemu Bankowi Polskiemu, który dwa razy w tygodniu gości członków klubu w „Krezusie" przy al. Kościuszki 47.

Twórczość radiowa jest ulotna. Do gazety można powrócić, trudniej wysłuchać jeszcze raz tej samej audycji. Realizatorzy programów najczęściej zresztą pozostają anonimowi.

Klub Przyjaciół Radia, w każdy pierwszy i trzeci poniedziałek miesiąca, proponuje słuchaczom wysłuchanie najlepszych słuchowisk i audycji, odsłania tajniki radiowej kuchni, przedstawia dziennikarzy, reporterów i autorów słuchowisk oraz inżynierów i techników. W „Krezusie" gościli już m. in. redaktorzy: Krystyna Melion, Anna Semkowicz, Andrzej Mularczyk, inż. Janusz Wężyk i Stanisław Subczyński. Lista gości jest już zaplanowana do końca sezonu.

Jeśli interesujesz się problemami kulturalnymi i społecznymi, lubisz teatr i dziennikarstwo radiowe, jeśli chcesz się czegoś nauczyć i posłuchać, zapamiętaj ten adres: al. Kościuszki 47, godz. 17.30, pierwszy i trzeci poniedziałek miesiąca. Klub Przyjaciół Radia zaprasza.

M. G.

LISTY DO REDAKCJI

Mile Odgłosy!

Energiczny Pan WIDOK ze „Zdarzeń i Zwierzeń" (17.II.80) tyleż słusznie, ile niesłusznie zaatakował niejednolitość zdań, wygłaszanych z telewizora. Słusznie, gdy idzie o informację zwaną suchą, rzeczową, encyklopedyczną — ta winna być jednoznaczna, sumiennie sprawdzona. Tu od razu kwestia Orła Dywizji Kościuszkowskiej: jej naukową czyli historyczną wykładnię powtórzyłem wedle faktów, ustalonych także wielokroć drukiem przez monografów tematu, powtórzyłem w swojej książce i w Tv. Kiedy mianowicie powstawały nasze siły zbrojne nad Oką i wynikła konieczność produkcji emblematów na czapki, pani Janina Broniewska została, mówiąc żartobliwie „oddelegowana" do znalezienia wzoru. Założenia programowe mówiły o Orle Piastów, toteż całkiem logicznie (ze skąpych danych ikonograficznych dostępnych akurat bibliotek moskiewskich) został przez pisarkę wybrany heraldyczny ptak z płockiego grobu Władysława Hermana. Treściowo się zgadzało, pech wszakże chciał, że płaskorzeźbę tę zaprojektował ktoś, kto się akurat na heraldyce nie znał, akwarelista-wedutowiec Vogel, u schyłku XVIII wieku. Ot, wydumał sobie sylwetkę w niczym żadnego z historycznych Orłów nie przypominającą, tak jak nieco wcześniej Bacciarelli imaginował całkiem fantastyczne stroje monarchów w swoim poczcie królów Polski. Pani Broniewska miała prawo o tym wszystkim nie wiedzieć a nam wystarcza — jak w przypadku stu innych okazji tego typu — fakt, iż powstało godło określające historycznie czas i okoliczności sprawy. Kiedy prof. Kamiński w r. 1926, albo prof. Bylina w 1947 (tego nie wprowadzono w życie) projektowali swoje Orły oparli się na ogromnym aparacie naukowym, do którego nasza pisarka wtedy nie miała żadnego dostępu, a czas pilił. Toteż, gdy się nam w tejże Tv zwierzała ze swoich dokonań heraldycznych mówiła o sensie, o treści działań, nie o trafności plastycznej godła. Natomiast sprawa inna z problemami spornymi — te ze swej natury muszą mieć rozmaite wykładnie, także przed kamerami, bo właśnie na tym polega wciąganie odbiorcy do zastanawiania się, kto tu może mieć słuszność. Już chyba się przejedliśmy z góry i za nas ustalanymi interpretacjami? Tak też jest i w sporze Jarnuszkiewicz — Miecznik o rzeźbę Powstańca, gdzie sam stoję po stronie profesora rzeźby przeciw wytwórcy bibelotów, ale może się okaże, że czynię niesłusznie? Mówiąca nazajutrz po Pegazie p. Muszyńska należy dla odmiany do frakcji Miecznika — i to jest życie!

Co pozwoliwszy sobie stwierdzić pozostaję z ukłonami

SZYMON KOBYLIŃSKI

/ * * *

W artykule Feliksa Bąbola „Kto się nie odliczył"... zamieszczonym w „Odgłosach" nr 10 z dn. 9.03.1980 r. wkradły się błędy odnoszące się do egzekucji dokonanej przez okupanta hitlerowskiego w dn. 20.III 1942 r. w Zgierzu.

Feliks Bąbol pisze, cytuję: „Było to na kilka tygodni przed egzekucją w Zgierzu, gdzie za napaść na niemieckiego żandarma rozstrzelano 150 Polaków"...

Prawda była taka, że Józef Mierzyński, podoficer zawodowy W.P., aresztowany za przynależność do ruchu oporu, zabił w obronie własnej dwóch gestapowców.

W odwet Niemcy aresztowali masowo Polaków nie tylko ze Zgierza, lecz także z innych miast i powiatów tzw. rejenci łódzkiej. Mieli oni być zakładnikami. Wielu z nich wysłano do obozów koncentracyjnych. Natomiast ofiarami egzekucji zostali więźniowie polityczni obozu w Radogoszczu oraz łódzkich więzień gestapo, które znajdowały się przy ul. Sterlinga, Gdańskiej i Kopernika. W dniu 20.03. 1942 r. na placu Stodół (obecnie Plac 100 Straconych) na oczach spędzonej przez Niemców ludności rozstrzelano wymienionych więźniów w liczbie 100, wśród których było 96 mężczyzn i 4 kobiety.

Informację tę podaję za pracą Tadeusza Olejnika, ogłoszoną w „Roczniku Łódzkim" nr XX z 1975 r.

SZCZEPAN MIKOŁAJCZYK
z Muzeum Miasta Zgierza

/ * * *

W związku z artykułem „GŁOS DO PRZYCZYNKU O EGALITARYŻMIE" opublikowanym w „Odgłosach" Nr 2 w dniu 13.01.1980 r. uprzejmie informuję, że Patronat Naukowy Kliniki Akademii Medycznej w Sanatorium w Polanicy Zdroju określony umową przewiduje wykonanie zaplanowanych prac badawczych, szkolenie personelu lekarskiego i medycznego oraz okresowe badania lekarskie. W okresie wymienionym w artykule z powodu prac remontowo-adaptacyjnych, decyzją Zjednoczenia Uzdrowisk Polskich w Warszawie, ul. Długa 38/40 turnus leczniczy nie odbył się. Skierowania dla chorych zgodnie z zaleceniem przekazano do Zjednoczenia Uzdrowisk Polskich.

Prof. dr hab. med. Jan Moll — Dyrektor Instytutu Kardiologii Akademii Medycznej w czasie bytności w Polanicy, dowiedział się, że korzystając ze świątecznej przerwy w pracach remontowych, Komitet Wojewódzki w Wałbrzychu, jako gospodarz terenu, zorganizował kilkudniowe wczasy wypoczynkowe w Sanatorium Nr 2 w Polanicy Zdroju.

Pragnę zaznaczyć, że w wyżej wymienionym okresie żaden z pracowników naukowych nie korzystał z wczasów świątecznych ani nie brał udziału w uroczystościach sylwestrowych.

Prorektor
prof. dr hab. med. KAZIMIERZ RYBIŃSKI

/ * * *

Szanowny Panie Redaktorze

Z dużą satysfakcją odnotowaliśmy fakt, że Czytelnicy dowiedzieli się (z wzmianki w artykule „Ostatni skrawek „Ziemi Obiecanej" — nr 7/80), iż w Kombinacie Maszyn Włókienniczych i Hydrauliki Siłowej „Poltex-Wifama" reż. Henryk Tadeusz Czarnecki i operator Stanisław Śliskowski realizują dokumentalny film o ostatnich dniach starej odlewni i narodzinach jej nowoczesnej „konkurentki".

Szkoda jednak, że łodzianie nie dowiedzieli się, iż film ten powstaje w Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi, która systematycznie rejestruje istotne zmiany i przeobrażenia zachodzące w naszym mieście. (Dotychczas wyprodukowaliśmy 15 kwartalników „Łódź", 23 filmy krótkometrażowe, a w realizacji znajdują się dalsze 2 tytuły).

Z poważaniem
(—) mgr Tadeusz Paliński
sekretarz redakcji WFO

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELAK, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, MARIA KĘPIŃSKA, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI.

Pierwsze dni — Radogoszcz *Foto. R. Łucyszyn*

W STYCZNIU I PÓŹNIEJ

Dalszy ciąg ze str. 1

* * *

Spośród bliskich i znajomych nie wracali jeszcze do Łodzi moi bracia, wywiezieni na roboty przymusowe do Reichu, nie wrócił też Marek Makowski. Marek pokazał się co prawda w Łodzi tuż po wyzwoleniu, ale szybko „zmył się". Wrócił do Warszawy, gdzie się obracał w czasie okupacji i gdzie nieźle mu się powodziło. Syn łódzkiego rzemieślnika potrafił sobie zorganizować w okresie okupacji przeróżne interesy i przedsięwzięcia. Mało takich było?

To u niego zobaczyłem raz, gdy przedostał się do Łodzi przez „zieloną" granicę z guberni, ogromne ilości fałszywych kartek przydziałowych na odzież, mięso i żywność. Pracował w tej branży. Mówił, że takich talonów drukuje się w Warszawie i innych miastach guberni całe hektary. Część kartek realizowano w Łodzi (zwłaszcza kartki odzieżowe) a towar wywożono do guberni. Aby interes szedł. — Jak w tych warunkach — myślałem — nie miała runąć wojenna gospodarka III Rzeszy?

Dzięki Markowi poznałem arkana okupacyjnego handlu. Z Łodzi do GG trasa szmuglu wiodła m.in. przez Rzepki. Tędy wędrowali również ci, którym było za gorąco po jednej czy drugiej stronie granicy. Atrakcyjnym towarem, oprócz fałszywych kartek odzieżowych, czyli tzw. punktów, były także buty z cholewami, czyli „oficerki", złoto i „kamienie" czyli brylanty. Biżuteria pochodziła z przedwojennych zapasów zamożniejszych rodzin, które wyprzedawały się, aby przeżyć okupacyjny koszmar. Aparat władzy hitlerowskiej był mocno skorumpowany, nieraz więc brylant czy złota bransoletka ułatwiały wyciągnięcie kogoś bliskiego z rąk gestapo, czy z transportu do obozu w Reichu. Na ogół Polacy kupowali „kamienie", by je sprzedać lub „podarować" Niemcom. Volksdeutsche zbywali je dalej — reichsdeutschom, którzy mieli większe wpływy i możliwości. A protekcja była potrzebna i volksdeutschom — żeby synalka nie zabrali na Ostfront a jeśli już do wojska, to gdzieś do garnizonu w Reichu. Volksdeutschom brylanty były potrzebne także jako lokata tysięcy marek, często nielegalnie zdobytych, zagrabionych w przedsiębiorstwach i fabrykach, w których zbijali fortuny jako treuhänderzy i komisaryczni zarządcy. Pożydowskie zakłady dawały ogromne zyski. Zdarzały się przypadki, że połowa towarów wyprodukowanych w takiej fabryce i to z surowców z wielkim trudem zdobytych z przydziałów ministerialnych, szła na czarny, spekulacyjny rynek. Dziesiątki, setki tysięcy marek wędrowało w efekcie do rąk handlarzy „kamieni" i złota.

Kupował brylanty i złoto także komisaryczny zarządca pożydowskiej garbarni przy ul. Kwidzyńskiej na Bałutach. W rozmowach z Polakami starał się zdobyć ich sympatię i to mu się jakoś udawało, tym bardziej, że raz po raz jakiejś Polce, którą spotkał na ulicy, kazał zrobić damskie buty ze skóry produkowanej u siebie, a Polakom zatrudnionym w garbarni raz na jakiś czas rozdawał skażony naftą spirytus używany przy produkcji skór. Zaskarbiał sobie polskie sympatie — jak mówiono — na wszelki wypadek. Ale 19 stycznia, gdy w Łodzi „wybuchła" wolność, ktoś go tak wskazał przechodzącym żołnierzom radzieckim.

— *Germaniec?* — spytał żołnierz.

— *Tak* — odpowiedział jakiś przechodzień.

* * *

To Marek któregoś wieczoru w 1944 roku przybiegł do mnie na Malczewskiego gdzieśmy w okupację mieszkali przynosząc hiobową wieść o dziecku Władka. Był zadyszany, biegł tu aż od Rzgowskiej, biegł z przeszkodami, bo było już po godzinie policyjnej, po drodze więc musiał kluczyć, kryć się po bramach i zaułkach unikając spotkania z żandarmami. Rozpacz malowała się na jego twarzy.

— *Kazali się wszystkim odwrócić do ściany i podnieść ręce* — mówił. — *Wśród sześciu osób był i Władek. Obrewidowali wszystkich dokładnie. U Władka znaleźli kilka dowodów osobistych, każdy na inne nazwisko. Tylko jego zabrali...*

Taka była dramatyczna relacja Marka owego wieczoru.

Wiedziałem, gdzie to było. Było to na Miłej, w małym drewnianym domku, gdzie mieszkała Jadźka, nasza znajoma, ale najbliższa Władkowi. Gdyśmy przed tym fatalnym dniem 15 października stykali się z Władkiem, nieraz poruszaliśmy ten temat. Żeby Władek nie pokazywał się na imieninach u Jadźki, żeby w ogóle nie przyjeżdżał jakiś czas do Łodzi, bo Niemcy coś wyczuli i na Chojnach chodzą gęste patrole cywilów i umundurowanych. Wyczuli pewnie, że człowiek poszukiwany przez nich od dawna, nieraz kręci się po Rzgowskiej, Miłej i innych ulicach. Władek nie usłuchał naszych ostrzeżeń.

— *Nic mi nie będzie* — mawiał.

A przecież, jak z tego wszystkiego wynikało i on uległ jakiemuś widocznemu zaćmieniu, bo jak to sobie wytłumaczyć czymś innym, jak nie lekkomyślną brawurą? Był zastępcą szefa wywiadu w AK, wiedział, że Niemcy dosłownie polują na niego — i to po obu stronach granicy między Warthegau a GG — a jednak poniosło go coś, co nam nie mieściło się w głowach. Trudno. Ale zawsze imponował nam rozwagą i opanowaniem. Tę rozwagę i dzielność miał już we krwi od przed wojny. Syn warszawskiego lekarza, poświęcił się lotnictwu, latał przed 1939 rokiem na awionetkach i innych aparatach. Byliśmy dumni z niego, gdy nam się objawił w czasie okupacji i jakoś wszedł do naszego grona. Ale teraz? Nie mogliśmy tego zrozumieć, że Władek przyszedł na te imieniny Jadźki, by jej złożyć życzenia. I wpadł. Nie było dlań żadnego ratunku. Żył potem jeszcze 16 dni. 31 października 1944 r. został rozstrzelany na cmentarzu żydowskim na Dołach.

* * *

W okresie pierwszych kilku miesięcy po wyzwoleniu miasta odbywał się dzień w dzień prawdziwy szturm na Urząd Mieszkaniowy. Sale gmachu przy rogu Zielonej i Wólczańskiej wypełniały się tłumami tych, którzy oczekiwali na urzędowy papierek — przydział mieszkania. Zjawiali się ludzie, którzy dopiero co wrócili z okupacyjnej tułaczki i własne mieszkania zastawali już zajęte. Dużą część petentów stanowili przybysze z Lublina, przedwojenni warszawiacy, mieszkańcy innych miast i miejscowości, zrujnowanych przez wojnę. Odwiedzali urząd także ci, którzy do wojny żyli i mieszkali na wsiach podłódzkich, teraz jednak zapragnęli zakosztować wielkomiejskiego życia.

Tu, w Łodzi, praca czekała na ludzi, fabryki z miejsca mogły wchłonąć kilkadziesiąt tysięcy chętnych, tam, na wsi, nieraz trzeba było od nowa zaczynać urządzanie się i gospodarowanie od najprymitywniejszego początku. Wśród interesantów odwiedzających urząd było także wielu spryciarzy i cwaniaków. Ograbiali oni mieszkania poniemieckie, a po ograbieniu jednego przychodzili po przydział następnego, upatrzonego przez siebie lokalu. Z tego okresu pozostała również niesławna pamięć o niektórych dozorcach. Tuż po ucieczce Niemców zamykali oni posesje na cztery spusty, nie dopuszczając nikogo z zewnątrz, z ulicy. I gdy tak się pozamykali, przystępowali do rabunku, ogołacając mieszkania z wszystkiego, co tylko przedstawiało jakąś wartość. A najczęściej z mieszkań tych funkcjonariusze hitlerowscy i reichsdeutsche nie zdążyli w panice niczego zabrać.

Panika spłoszyła także wielu volksdeutschów. Porzucali oni swe mieszkania, szukając schronienia przed zemstą ze strony sąsiadów i odpowiedzialnością za swe wrogie Polakom postępowanie. Wyjeżdżali do innych miejscowości, gubili ślady. Więc gdy tyle mieszkań było w pierwszym okresie po wyzwoleniu pustych, stawały się łupem ludzkiej chciwości i szabru. Wielu dozorców już w parę tygodni po owym 19 stycznia wyjeżdżało z Łodzi, rozpoczynając gdzie indziej nowe, „tłuste" życie. Nie musieli już pilnować i omiatać cudzych domów. Omiatali własne...

Urząd Mieszkaniowy przydzielił i mnie mieszkanie. Znajdowało się ono w oficynie domu przy ul. Piotrkowskiej, tuż przy ulicy Stalina (bo tak się ulica Główna z początku nazywała). Mieszkanie było puste, jacyś Niemcy uciekając zostawili w nim trochę gratów, ale metraż miało dość dobry. Mogłem pomyśleć o przeniesieniu tutaj również rodziców, bo izba na parterze drewniaka na Malczewskiego, nie nadawała się już więcej do użytku. Tym bardziej, że nie zmieściliby się w niej i bracia, którzy lada dzień mogli wrócić z Rzeszy. Zadowolony więc byłem z przydziału. Założyłem solidny zamek, jako tako przygotowałem lokal do zamieszkania i poszedłem do pracy. Chciałem tu zamieszkać, po raz pierwszy — pomyślałem — jak człowiek, już następnego dnia.

Niosłem jakieś drobiazgi do tego nowego lokum, niosłem też dodatkowy zamek, częste bowiem były w owym czasie kradzieże i włamania do mieszkań. Ale gdy stanąłem przed drzwiami, okazało się, że klucze nie pasują. Gdy tak jakiś czas majstrowałem przy zamku, usłyszałem wewnątrz czyjeś kroki. W pewnej chwili drzwi się otworzyły a na progu stanęła starsza kobieta. Byłem wściekły. Staruszka z trudem uśmierzyła mój gniew.

— *To jest nasze przedwojenne mieszkanie* — powiedziała.

— *Jak to?! Wasze? Ja dostałem na nie przydział...*

Kobieta wzruszyła tylko ramionami. Nie potrafiła mi wytłumaczyć, w jaki sposób dostałem przydział do jej własnego mieszkania.

Co było robić? Udałem się znów do urzędu przy Wólczańskiej. Wtargnąłem wprost do gabinetu szefa, mgr Bieleckiego.

— *Co wy wyprawiacie?* — rzuciłem mocno podenerwowany. — *Dał mi pan przydział, a tam już ktoś mieszka.*

Magister poczęstował mnie papierosem, prosił, żebym usiadł, to mi wszystko wyjaśni.

I wyjaśnił. Okazało się, że wbrew przewidywaniom urzędu, wrócili do Łodzi właściciele mieszkania. To byli jego dobrzy znajomi jeszcze sprzed wojny, a głównego lokatora znał ze studiów, razem studiowali w Warszawie. Wymienił mi nazwisko kolegi, prosił o wybaczenie i służył gotowością naprawienia urzędowej gafy.

— *Niech pan sobie poszuka w mieście odpowiedniego lokalu, dam panu z miejsca na nie przydział. Albo...* — zawahał się — *zrobimy jeszcze inaczej. Dostanie pan przydział in blanco. Gdy pan coś znajdzie, wpisze pan po prostu adres i zamieszka.* — I dał mi druczek ze stemplem i podpisem.

Tak też zrobiłem. Mieszkanie znalazłem przy Narutowicza. Nie było zbyt wygodne. Mieściło się na wysokim (stare budownictwo!) czwartym piętrze, windy nie było, nie było też, jak się wkrótce okazało, również łazienki. Musiałem się jednak zdecydować na ten lokal, w mieście nie było już w czym przebierać. Zamieszkałem przy Narutowicza, nie zdając sobie sprawy, jakie zasadzki to nowe mieszkanie kryło.

Najpierw próbował mnie z tego lokalu wyprowadzić pewien żołnierz. Jak się okazało, był to żołnierz należący do ochrony pewnych zakładów przemysłowych produkujących dla wojska. W zakładach tych pracowała córka mej sąsiadki z piątego piętra i to dla niej właśnie moja sąsiadka upatrzyła sobie mieszkanie piętro niżej. Ale żołnierz był zdyscyplinowany na tyle, że uszanował druczek urzędu i podpis magistra. I operacja wysiedlenia wyreżyserowana przez sąsiadkę, jej córkę i wprowadzonego w błąd żołnierza powiedziały mu pewnie, że jestem dzikim lokatorem i człowiekiem, którego należy brutalnie wyrzucić), zakończyła się fiaskiem. Innym razem zastałem w skrzynce na listy jakąś kartkę, na której było tylko jedno zdanie:

— *Karaś! Proszę zmienić miejsce zamieszkania.*

Wyglądało to tak, jakbym należał do podziemia. Oto życzliwi mi „kombatanci" ostrzegają przed aresztowaniem, radzą natychmiastowe zniknięcie. Ale ja nie zniknąłem. Mieszkałem w tym domu jeszcze długie lata, do dziś jednak nie wiem, kto mógł napisać to „ostrzeżenie Karasia". Czyżby to był nowy chwyt sąsiadki z piątego piętra?

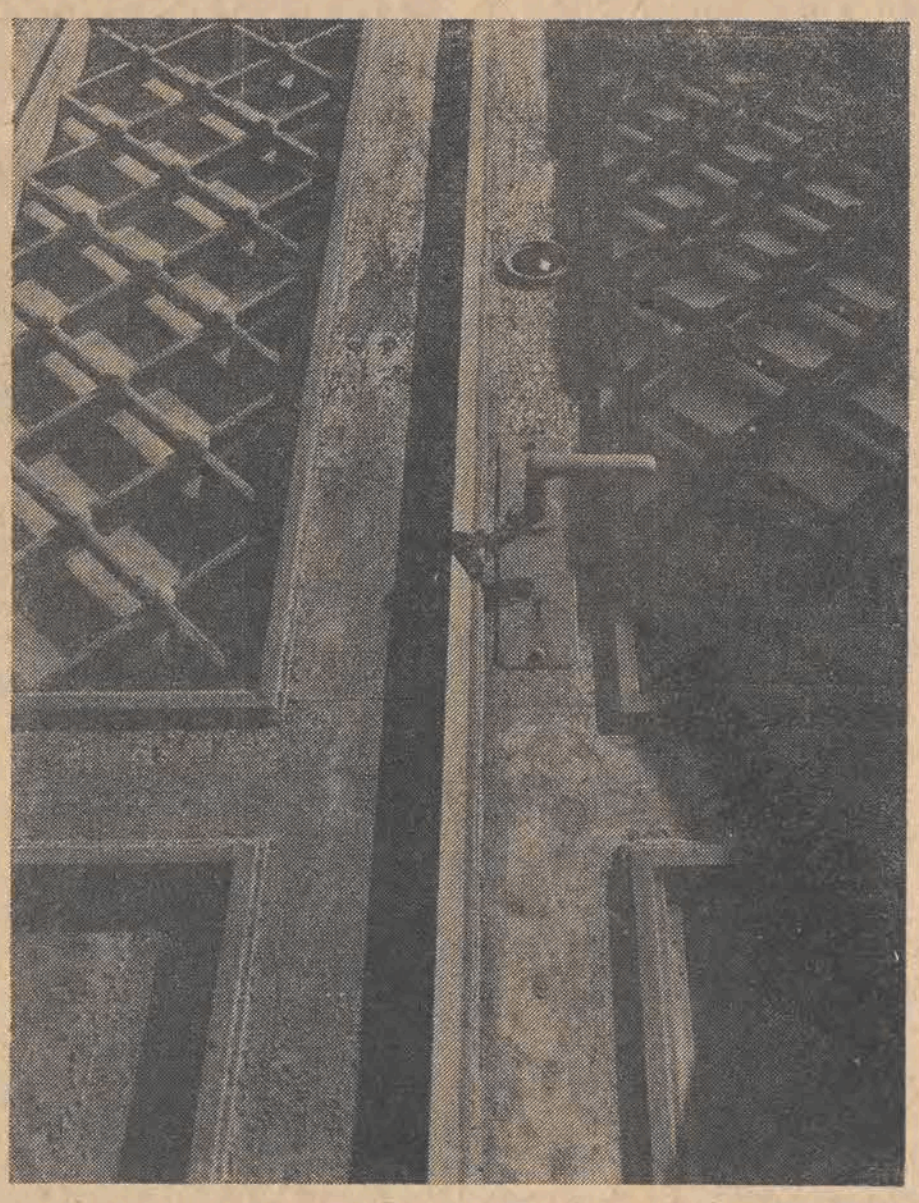

Foto: J. Mendychowski

WSPOMNIENIA (2)

* * *

Tylko część volksdeutschów zdobyła się w 1945 i 1946 roku na odwagę, przybywając po okresie paniki i ukrywania się po mysich dziurach do Łodzi. Byli to ludzie o nie obciążonym zbyt wyraźnie sumieniu, ci, którzy na procesie rehabilitacyjnym w sądzie przy placu Dąbrowskiego mieli za sobą dobrą opinię społeczności polskiej i inne, dodatkowe nieraz argumenty.

Jakie argumenty? Na sprawę Geyera przyszło chyba z pół fabryki, żeby zaświadczyć, że Geyer w czasie okupacji ani trochę nie zmienił swego stosunku do Polaków zatrudnionych w fabryce. Że zachowywał się z godnością. A że Niemcy traktowali go od początku jako reichsdeutscha? Drażniło ich każde niemieckie nazwisko, za którym nie byłoby volks- czy reichslisty. Niemcy z zimną krwią, zaraz na początku okupacji, zastrzelili młodego Geyera i jednego z Johnów za to, że nie chcieli mieć nic wspólnego z reżimem hitlerowskim, że nie solidaryzowali się z polityką 1000-letniej Rzeszy, a z wojny polsko-niemieckiej wrócili obaj w mundurach polskich oficerów rezerwy.

Rodzinę Geyerów zrehabilitowano. Przywrócono także prawa obywatelskie Halinie Kłąb, młodej dziewczynie, która zjawiła się przed sądem tak, jak była ubrana w czasie wszystkich akcji, w których uczestniczyła: w oficerkach i battledressie. Niemieckie papiery zdobyła na rozkaz politycznego podziemia. Jako spadochroniarka dokazała wielu aktów odwagi i poświęcenia, przekazując zaszyfrowane rozkazy do oddziałów partyzanckich i alianckich dowództw. Byłem w tym czasie ławnikiem sądowym do spraw rehabilitacyjnych, sądziłem Geyera, spadochroniarkę i wielu innych łodzian, których koniec okupacji zastał z volks- czy reichslistą. Nasłuchałem się wiele o ludzkich słabościach i ludzkiej odwadze; niezapomniana jest jednak ludzka małość. Przenikała ona na salę sądową w procesach, podczas których dowiadywałem się, że jedynym argumentem za podpisaniem volkslisty, za odszczepieństwem okupacyjnym, była nieraz chęć otrzymania przydziałowego masła, które przysługiwało tylko Niemcom, pragnienie zachowania małego domku na przedmieściu, chęć należenia do społeczeństwa „panów". Tylko przełomowe chwile w życiu człowieka okazywało się, potrafią ujawniać to, co w nim tkwi naprawdę.

* * *

Ostro przebiegała w tym czasie linia podziału. A więc ludzie pracy, rozwijający produkcję i odbudowujący przemysł, nie pytając w ogóle za co pracują — i podziemie polityczne walczące ze wszystkim, co było stabilizacją życia w kraju, co było nową polską rzeczywistością. Zdrajcy narodu, sądzeni w gmachu przy placu Dąbrowskiego — i delegacje robotników wyjeżdżających na Śląsk po węgiel dla fabrycznych kotłowni i na wieś po żywność. Jedna z band zastrzeliła grupę robotników z Rudy Pabianickiej, wiozących mąkę i ziemniaki dla swych załóg. Z jednej strony powoli organizujący się sektor państwowy i spółdzielczy, z drugiej tysiące prywatnych sklepów i warsztatów. Wyraźnie przecież mówiło się o trzech sektorach odbudowujących gospodarkę wśród nich i o sektorze prywatnym. Renciści otrzymywali w tym czasie od 100 do 200 zł miesięcznie, w fabrykach pot wylewano za przypadkowe deputaty, a „inicjatywa" opływała we wszystko.

Społeczeństwo odtrącało od siebie zdrajców. 36 letnia Alina Bloch, Niemka która wydała w ręce hitlerowców Bronisława Kozłowskiego, Cecylię Kaczmarek i Apolinarego Wichana, skazana została na karę śmierci. Sąd nie znalazł żadnych okoliczności łagodzących. Taki sam wyrok otrzymała agentka gestapo Lucyna Alicja Jacob z Pabianic, która zadenuncjowała Marczyńskiego, Osińskiego, Klimka, Szlaga, Walczaka, Plewkę, grupę Niemców z organizacji antyhitlerowskiej i ponad 20 innych osób, których nazwisk już nawet nie mogła sobie przypomnieć. Jak wykazał przewód, pracę konfidentki ułatwiał jej młody wiek — 17 lat...

FELIKS BĄBOL

Juventus

DZIELIĆ SPRAWIEDLIWIE

7 marca, o godzinie 14.00, w podniosłej atmosferze, w świątecznie udekorowanej sali Rady Narodowej przy ulicy Piotrkowskiej, rozpoczęło się spotkanie wyborców z kandydatami Frontu Jedności Narodu na posłów do Sejmu i radnych do Rad Narodowych.

Sala wypełniona było do ostatniego miejsca. Oprócz kandydatów, w spotkaniu udział wzięli również prezydent m. Łodzi, Józef Niewiadomski oraz I sekretarz KD PZPR Śródmieście, Tadeusz Lewandowski, który przedstawił kandydatów Okręgu Wyborczego nr 42.

BOLESŁAWA KOPERSKIEGO, I sekretarza Komitetu Łódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej

IRENĘ SROCZYNSKĄ, sekretarza Centralnej Rady Związków Zawodo-

URSZULĘ PŁAZEWSKĄ, technika, mistrza w łódzkich Zakładach Przemysłu Pończoszniczego „Feniks"

FELICJANNĘ LESINSKĄ, prezesa Wojewódzkiego Komitetu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego

MIECZYSŁAWA SERWINSKIEGO, profesora, dyrektora Instytutu Inżynierii Chemicznej Politechniki Łódzkiej

JOZEFA WOJTALĘ, rzemieślnika łódzkiego

KRYSTYNĘ DEPCZYNSKĄ, szwaczkę w Zakładach Produkcji Kołder „Fakopa" w Łodzi

ANDRZEJA GAWŁOWSKIEGO, starszego asystenta w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Przemysłu Barwników w Zgierzu

STEFANA DMOCHOWSKIEGO, pracownika naukowego Instytutu Chorób Wewnętrznych łódzkiej Akademii Medycznej.

Charakterystyki kandydatów dokonała wiceprzewodnicząca OK FJN, Janina Kalinowska, podkreślając ich wieloletnie związki z Łodzią i regionem, zaangażowanie w pracy społecznej i zawodowej, owocne wysiłki na rzecz zmiany oblicza miasta i poprawy warunków bytowych obywateli.

Jako pierwszy z kandydatów zabrał głos **Bolesław Koperski** i, bez wątpienia, właśnie jego wystąpienie było najsilniejszym, uważnie wysłuchanym akcentem spotkania. Rdzenny łodzianin, długoletni działacz partyjny, za młodu aktywista ZWM i ZMP, poseł na Sejm w dwóch ostatnich kadencjach, I sekretarz KŁ PZPR oraz przewodniczący Rady Narodowej miasta Łodzi, wspomniał o ogromnych zmianach, jakie zaistniały na terenie miasta i województwa w ostatnim dziesięcioleciu. Od 1976 roku przekazano w Łodzi 174 tysiące izb mieszkalnych o powierzchni użytkowej 2,7 mln m kw., wybudowano 22 nowe zakłady pracy, zmodernizowano 54 fabryki. Powstało w tym czasie wiele nowoczesnych, estetycznych obiektów służby zdrowia, oświaty i kultury, wiele nowych punktów usługowych, handlowych i rzemieślniczych. Nie znaczy to, oczywiście, aby życie łodzian, a szczególnie łodzianek, zatrudnionych najczęściej na dwóch etatach, tym oficjalnym, w biurze czy fabryce, i tym nieoficjalnym, nie łatwiejszym bynajmniej: w domu, wolne było od codziennych kłopotów Bolesław Koperski nawiązał tu do kolejek w sklepach, do trudności zaopatrzeniowych, spowodowanych często niedowładem organizacyjnym a i nieuczciwością sprzedających, do zatłoczonych autobusów i tramwajów Dużo mówiliśmy o tym wszystkim w ciągu ostatnich miesięcy — stwierdził tow. Koperski. — Teraz pora, aby słowa zamienić w czyny, przekuć je w konkretne zadania.

Niemało miejsca poświęcił również Bolesław Koperski sprawom porządku i bezpieczeństwa publicznego, które zależą w poważnej mierze od aktywności każdego z nas. Wszyscy musimy przeciwstawić się złu, bronić mienia społecznego. Atmosfera w mieście, to przede wszystkim stosunek człowieka do człowieka I należałoby zacząć od poprawy tych stosunków: w pracy, w tramwaju, w bloku mieszkalnym, na ulicy Bardziej szanować się nawzajem, częściej uśmiechać.

Oprócz Bolesława Koperskiego wystąpili również inni kandydaci na posłów.

Urszula Płażewska, mająca za sobą bez mała trzydzieści lat pracy w zawodzie, także mówiła o bezspornych osiągnięciach i dokuczliwych bolączkach łódzkich rodzin robotniczych. Płażewska najlepiej wie, jak bardzo zmieniły się na korzyść warunki mieszkaniowe klasy robotniw przemyśle pończoszniczym. Była przecież świadkiem rewolucji technicznej, dokonującej się przed laty w „Feniksie". Sama też pracowała kiedyś na starych maszynach. Teraz pracuje się znacznie łatwiej i wydajniej, mieszka przyjemniej. Jej macierzysty zakład, podobnie jak kilkadziesiąt innych zakładów w województwie, posiada oddział pracy chronionej, gdzie przyszłe matki, nie przerywając pracy, otoczone są troskliwą opieką. Nie zmienia to faktu, że inne oddziały pracują na trzy zmiany, że występują dotkliwe braki w zaopatrzeniu, że wiele robotnic skarży się na zmęczenie. Płażewska deklaruje, iż jeśli wyborcy obdarzą ją zaufaniem ,będzie rzecznikiem tych spraw.

Profesor Mieczysław Serwiński, bezpartyjny, mówił o owocnym działaniu wszystkich ludzi dobrej woli, zgrupowanych wokół Frontu Jedności Narodu. Następnie zaakcentował fakt, iż Łódź jest obecnie ogromnym i prężnym ośrodkiem akademickim, posiadającym, oprócz szeroko znanego Uniwersytetu i Politechniki, kilka znanych uczelni artystycznych Zdaniem mówcy, potencjał twórczy łódzkich uczelni nie jest jednak w pełni wykorzystany, chodziłoby tu o lepsze powiązanie teorii z praktyką, a więc badań naukowych z rzeczywistymi potrzebami miasta i regionu, tak, aby nauka dawała więcej, ułatwiała i wdrażała postęp.

Wystąpienia wszystkich trzech kandydatów sprowokowały wiele pytań i ożywioną dyskusję, w której wzięli udział robotnicy, nauczyciele, przedstawiciele związków młodzieży socjalistycznej oraz działacze katoliccy. Ogół dyskutantów jednomyślnie poparł program wyborczy Frontu Jedności Narodu oraz zaproponowane kandydatury na posłów i radnych.

Adam Bor, robotnik z Zakładów im. Obrońców Pokoju, stwierdził, że poszanowanie praw i obowiązków dotyczyć powinno zarówno szeregowych obywateli jak i działaczy administracji państwowej, że, zdaniem robotników, wiele nie załatwionych z winy biurokracji problemów można by rozwiązać od ręki.

Członek Stowarzyszenia PAX, Jacek Krzekotowski, powiedział, że w walce o przyszłość polskiej rodziny, jej moralność i szczęście, działalność państwa i Kościoła są całkowicie zbieżne. Pomoc matce i dziecku powinna być wspólnym celem wszystkich Polaków. Warto, być może, powołać ciało społeczne przy Urzędzie Miasta, które poświęciłoby się tym problemom.

Grażyna Kotnowska, nauczycielka XXV Liceum Ogólnokształcącego, mówiła o nowych pracowniach, bibliotekach, poradniach lekarskich i stomatologicznych, apelowała również o jedność działania ze strony rodziny i szkoły. Zbyt często jeszcze występują tu rozbieżności, jakże szkodliwe dla moralności dzieci i młodzieży. To, czego uczy szkoła, wykpiwa bardzo często ojciec lub matka. Dziecko, siłą rzeczy, zaraża się fałszem, nie ma zgodności słów z czynami.

Ewa Kozielska, pracownik naukowy, zadała lakoniczne pytanie, co posłowie zamierzają postulować w nadchodzącej kadencji, aby ulżyć łódzkim włókniarkom.

Krystyna Brodowicz upomniała się o osoby w starszym wieku, podnosiła również kwestię samotnych matek.

Nauczyciel Szkoły Podstawowej nr 23, Ryszard Winiecki wyraził troskę z powodu napiętej sytuacji politycznej w świecie oraz gorące poparcie dla inicjatywy Edwarda Gierka, aby zwołać w Warszawie konferencję w sprawie zachowania pokoju.

Inżynier Ryszard Rudnicki, członek Związku Młodzieży Socjalistycznej, wypowiedział się między innymi na temat alkoholizmu wśród młodych robotników i inteligencji technicznej. — Dawniej — zaopiniował — nadużywający alkohol potępiani byli przede wszystkim przez ludzi starszych. Teraz, również my, młodzież, przyłączamy się do tego potępienia. Niepokoi nas fluktuacja w fabrykach, ubolewamy, iż dwa tysiące naszych rówieśników nie chce podjąć jakiejkolwiek pracy czy nauki.

Nim Tadeusz Lewandowski pożegnał kandydatów i wyborców, dziękując im za udział w spotkaniu, głos zabrał ponownie Bolesław Koperski, który dokonał podsumowania dyskusji.

Dominantą tego ważkiego, serdecznego, nacechowanego troską wystąpienia, były sprawy sprawiedliwości społecznej. Podobnie, jak wówczas, kiedy przemawiał z trybuny zjazdowej, nagradzany wielokrotnie oklaskami, tak i teraz trafił do serc.

Bo przecież właśnie sprawiedliwość społeczna jest wartością nadrzędną, odpowiedzią na wszystkie pytania i lekarstwem na wszystkie postulaty. Wiele z poruszonych spraw odnosiło się w większym lub mniejszym stopniu do sprawiedliwości — stwierdził Bolesław Koperski. — Ale to właśnie my, todzianie zainicjowaliśmy nowe zasady stałych zabezpieczeń alimentacyjnych. Przybyło wiele nowych żłobków i przedszkoli. Powstały domy okresowego pobytu dla ludzi samotnych i starych, są również stałe domy spokojnej starości. Wielokrotnie wzrosły w kraju renty i emerytury, a nie należy zapominać, że mamy w naszym województwie 201 tysięcy ludzi w wieku (lub w stanie) pozaprodukcyjnym.

Sprawiedliwość niełatwo realizować. Należy się jej uczyć, kształtować jej poczucie w społeczeństwie. Sprawiedliwie powinien być dzielony ów, powiedzmy umownie, polski bochen chleba, i to zarówno w tych wielkich jak i małych, najmniejszych cząstkach naszego życia. Człowiek: działacz, dyrektor, majster, ma prawo czasami się pomylić, ale nie wolno postępować źle w sposób świadomy.

Często jeszcze oceniamy sprawiedliwość z własnego punktu widzenia. Pracownik, który dostał wyższą premię niż kolega, jest przekonany, że oceniono go sprawiedliwie. Kolega jednak mówi w tym samym czasie o niesprawiedliwości.

Jeszcze niedawno, dyskutując o sprawiedliwym przydziale mieszkań, spółdzielnie przyjęły kryterium, aby dawać je w pierwszej kolejności tym, którzy najdłużej są członkami spółdzielni, dokonali wpłaty 10 czy 11 lat temu. Obecnie nie jesteśmy pewni, czy jest to właśnie kryterium najsprawiedliwsze. Niektórzy wpłacali 10 lat temu, bo mieli pieniądze inni, których zarobki były niższe, zmuszeni byli wpłacić później, jakkolwiek ich warunki mieszkaniowe były gorsze.

Uważamy, iż sprawiedliwa jest nasza decyzja, aby dawać każdego roku 150 mieszkań najlepszym, zaangażowanym robotnikom łódzkim. Podobnie, choć w mniejszym stopniu, chcemy premiować najofiarniejszych nauczycieli oraz najdzielniejsze pielęgniarki i salowe, jednym słowem: przedstawicieli zawodów nie najlepiej płatnych, choć wymagających wielkiego poświęcenia i serca.

Musimy pilnować, aby nie zginęli w tłumie ci najwartościowszy, aby pasja, uczciwość i rzetelny wysiłek znalazły uznanie.

W końcowych słowach Bolesława Koperskiego znalazłem również inny, bardzo istotny akcent.

— Są wśród nas tacy, co już wiele mają, i co wciąż proszą, niejednokrotnie na wyrost, a więc tacy, którzy potrafią upominać się o swoje prawa. Obok nich żyje i pracuje sporo wartościowych ludzi, którzy mają dużo, dużo mniej i którym skromność, godność lub nieśmiałość przeszkadzają w zabieganiu o poprawę warunków bytowych Sprawiedliwość wymaga aby dostrzegać takich ludzi, wychodzić im naprzeciw.

Są to i nasze poglądy.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Foto: R. Łucyszyn

Sala wypełniona była do ostatniego miejsca.

SILNI JEDNOŚCIĄ

Sala jest duża, ale nie może pomieścić wszystkich. Tramwaje zatrzymujące się na przystanku obok „Elty", co chwila dowożą nowych chętnych. Przedstawiciele zakładów pracy Bałut i Polesia śpieszą na spotkanie ze swymi reprezentantami, którzy zasiądą w ławach sejmowych i wezmą na siebie współodpowiedzialność za losy naszego kraju w najbliższych czterech latach. W systemie ludowładztwa, jaki wykształcił się po wojnie, rola Sejmu jako organu ustawodawczego i kontrolnego wyraźnie wzrosła, toteż i to przedwyborcze spotkanie będzie się toczyć w atmosferze doniosłości.

Około czternastej przez szczelnie wypełnioną salę przebiega szmer. Przyjechali. I kiedy kandydaci na posłów okręgu wyborczego 41 podążają w kierunku podwyższenia, aby zająć miejsce za stołem prezydialnym nakrytym zielonym suknem, zrywają się oklaski. Są wszyscy, a także towarzyszący im I sekretarz KŁ PZPR Bolesław Koperski, prezydent miasta Łodzi Józef Niewiadomski oraz gospodarz spotkania, I sekretarz KD PZPR bałuckiej dzielnicy Józef Kowalski. Od tych oklasków, od spontanicznych wyrazów aprobaty rozpoczyna się w odświętnie udekorowanej sali teatralnej „Elty" kolejne ogniwo debaty nad kształtem socjalistycznego rozwoju kraju.

Mówią o nas, że jesteśmy narodem rozpolitykowanym. Tej wiosny temperatura dyskusji politycznej jest rzeczy wie wysoka jej poziom wyznaczyły przecież obrady VIII Zjazdu partii, który sformułował program działania i wyznaczył kierunek marszu. Ale nasze rozpolitykowanie nie jest gadaniną. To konkret. Tak stanowczy, jak transparent z napisem: POLSKA LUDOWA NASZYM NAJWIĘKSZYM DOBREM, NIE SZCZĘDŹMY SIŁ DLA JEJ UMACNIANIA I ROZWOJU!, który patronować będzie dyskusji w sali „Elty".

Milkną oklaski i na mównicę wchodzi prof. dr Mieczysław Serwiński. Jako przewodniczący Łódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu przedstawia kandydatów na posłów z okręgu wyborczego 41. Są nimi:

JAN SZYDLAK, członek Biura Politycznego PZPR, przewodniczący Centralnej Rady Związków Zawodowych, od dziesięciu lat związany z okręgiem łódzkim;

PROF. DR KAZIMIERZ SECOMSKI, wiceprezes Rady Ministrów, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk, który w pierwszych latach po wojnie wykładał na łódzkich wyższych uczelniach;

MARIA STANIEWSKA, cerowaczka w zakładach im. Pietrusińskiego w Zgierzu, sekretarz tamtejszej POP i członek KM PZPR;

HENRYK RAFALSKI, profesor Akademii Medycznej w Łodzi, członek NK ZSL;

LIDIA JACKIEWICZ-KOZANECKA, kierownik laboratorium w ZPB im. Dubois w Łodzi;

HALINA MINKISIEWICZ-LATECKA, adwokat, aktywna działaczka Ligi Kobiet, członek SD;

ROMAN KAROLAK, wiceprezes ŁK ZSL, poseł na Sejm;

ANDRZEJ OBORZYŃSKI, dyspozytor w zakładach „Lenora";

ANNA ŚLUSARCZYK-DRZEWOSKA, starszy asystent w Instytucie Elektroniki w „Elcie";

JERZY CHOJNACKI, prezes ZSL w Strykowie, dyrektor szkół rolniczych w Bratoszewicach.

Dopiero po tej prezentacji zaczyna się właściwa dyskusja zapoczątkowana wystąpieniem prezydenta Józefa Niewiadomskiego, który przypomniał, że spotkanie jest nie tylko okazją do bliższego poznania kandydatów na posłów. Warto sobie bowiem jednocześnie uprzytomnić, czego dokonano w Łodzi podczas czterech lat bieżącej kadencji Sejmu, nierzadko przy osobistym współudziale kandydatów. I tu wszystkie oczy zwróciły się w stronę siedzącego pośrodku prezydialnego stołu Jana Szydlaka.

Trzeba przytoczyć sens wypowiedzi prezydenta Niewiadomskiego gdyż zawarty jest w niej bilans łódzkich dokonań i towarzyszących im kłopotów, a także nadziei bliskich wszystkim mieszkańcom miasta. Okazuje się, że w ciągu ostatnich, niełatwych przecież dla inwestycji lat, sama tylko modernizacja łódzkich zakładów przemysłowych kosztowała ponad 29 mld zł. Ten kierunek poczynań inwestycyjnych będzie zresztą dominował w nowej pięciolatce, gdyż szybciej przynosi efekty, i prowadzi do poprawy warunków pracy mniejszymi kosztami społecznymi.

Obok modernizacji przemysłu miasto będzie konsekwentnie realizowało program rozwoju budownictwa mieszkaniowego. Jego dotychczasowa realizacja przyczyniła się do tego, że już dziś dwie trzecie łodzian mieszka w nowych blokach. A trzeba także przypomnieć budownictwo towarzyszące, które choć nie nadąża za mieszkaniówką, także rozwija się dynamicznie. Posługując się wciąż skalą minionych czterech lat warto uprzytomnić sobie, że zbudowano w tym czasie 80 tys. m kw. powierzchni handlowo-usługowej, krótko mówiąc sklepów, punktów napraw, pralni. W najbliższym czasie rzecz to chyba najważniejsza w mieście tak wysokiej aktywności zawodowej kobiet, przedszkola łódzkie wzbogacą się o nowych 4600 miejsc, a według przewidywań władz, kompleksowy program rozwoju przedszkoli zostanie całkowicie rozwiązany już w przyszłym roku. Nie ma powodu, aby nie wierzyć w te zapewnienia, gdyż oparte są na starannym zbadaniu potrzeb w tej dziedzinie.

Mniej optymistycznie przedstawił prezydent perspektywy łódzkiej komunikacji, gdyż przebudowa niekorzystnego układu drogowego w mieście wymaga kolosalnych nakładów. Ale można mówić o pewnej poprawie, przebito wiele ulic, wznosi się wiadukty, które usprawniają połączenia z odległymi dzielnicami, oddano do użytku aleję Mickiewicza, część trasy W—Z, która szerokim pasmem połączy w przyszłości ogromną już dziś Retkinię z budującym się szybko Widzewem-Wschodem. Jako przykład starań o usprawnienie komunikacji można podać fakt, że Łódź w br. otrzyma ponadplanowo sto autobusów „Ikarus".

Na poprawę zaopatrzenia miasta będą miały niewątpliwie wpływ inwestycje w rolnictwie, na które wydatkowano 2 mld zł. Po budowie kombinatu szklarniowego na obrzeżu Widzewa, Łódź stanie się samowystarczalna i nie będzie już musiała importować warzyw. Władze zabiegają także o stworzenie wokół Łodzi „pierścienia mlecznego".

Prawdziwy przełom przeżyje służba zdrowia, wzbogacając się o 3500 nowych łóżek szpitalnych. To największy zastrzyk inwestycji służących zdrowiu w dotychczasowej historii miasta. Już w tym roku przybędzie 1000 tych łóżek. Jednocześnie modernizuje się stare szpitale. Wciąż jednak nie rozwiązana pozostaje sprawa budowy szpitala dziecięcego przy ul. Paradnej.

Tak już jednak jest w życiu społecznym, że zaspokojenie potrzeb w jednej dziedzinie, rodzi natychmiast nowe gdzie indziej. W najbliższej pięciolatce Łódź powinna się zdobyć na rozpoczęcie grupowej oczyszczalni ścieków, co łączy się z ogólnokrajowym programem „Wisła". Trzeba będzie także, w trosce o rozwój miasta i jego bilans energetyczny przystąpić do budowy kolejnej elektrociepłowni. Powiększający się deficyt wody zmusza wreszcie do myślenia o budowie II etapu rurociągu Sulejów — Łódź.

Lista dokonań i zamierzeń w dziedzinie rozwoju miasta spotkała się z przychylnym przyjęciem. Potwierdziły to nie tylko oklaski, ale także głosy w dyskusji, którą zainicjowała Jadwiga Nowakowska, mistrz szwalni z „Feminy", a więc jednego z nowo rozbudowywanych zakładów, zastępca członka KŁ PZPR. Podjęła ona problem, który przewijał się zresztą często także w innych wystąpieniach: jakości pracy. „To jest jedyny klucz do rozwiązania stojących przed nami zadań, a zarazem atrybut pomyślnego klimatu społecznego. Lecz ważne jest nie tylko wiele mieć, ale także, a może przede wszystkim godnie żyć".

Roman Karolak, prezes Rolniczej Spółdzielni „Srebrna", ukazał ten sam problem na przykładzie rolnictwa. Kiedy powstawało nowe województwo miejskie, z lichymi glebami, bo w dwóch trzecich są to ziemie V i VI klasy, rodzącymi żytko i kartofle, postawiono sobie zadanie: ani jeden hektar ziemi nie może leżeć odłogiem. Rzetelne wysiłki sprawiły, że dziś 48 proc. ziemniaków i 42 proc. warzyw i owoców pochodzi z województwa łódzkiego.

Skórimpex

Znamienny był głos Barbary Cierpikowskiej, nauczycielki Liceum Ogólnokształcącego, która wykazała związek między procesem kształcenia młodego pokolenia, a wynikami w pracy w przemyśle, który stawia przed robotnikami coraz większe wymagania w zakresie wiedzy. „Zadaniem szkoły jest dać wiedzę, nauczyć myślenia, ukształtować osobowość". Czy współczesna szkoła wszystkie te zadania spełnia należycie, skoro liczebność uczniów w niektórych klasach na nowych osiedlach sięga czterdziestu osób? I czy dostatecznie jasno odpowiedzieliśmy sobie na pytanie: co dalej? Co będzie robiła młodzież po ukończeniu dziesięciolatki?

Gabriel Kuraś, radny dzielnicy bałuckiej, rzemieślnik, podniósł problemy swego środowiska. Od jakości usług zależy przecież jakość naszego życia. Niestety między tym, czego społeczeństwo oczekuje od rzemiosła a rzeczywistością jest ciągle zbyt duża rozpiętość. Rzemiosło potrzebuje ludzi, materiałów, lokali na punkty usługowe. Według zamierzeń na najbliższe lata będzie w nim pracować blisko 20 tys. ludzi, w tym 2 tys. uczniów. Ale trzeba także myśleć o zmianie geografii usług, poprawie etyki zawodowej i podnoszeniu kultury obsługi klientów.

Z ogromną uwagą przyjęto głos łódzkiego pisarza Bernarda Sztajnerta. Mówił on bowiem o tym, co jest najważniejsze już nie tylko dla Polski, ale dla świata. W świetle naszych doświadczeń historycznych zrozumiały się staje postulat naszego kraju o wychowaniu młodych pokoleń dla pokoju. Ale czy wszystkie narody rozumieją go dostatecznie?. Z faktu, że wojny toczyły się w przeszłości, nie wynika wcale, że będą toczyły się w przyszłości — zakończył pisarz. — „Rozum mówi, że wojna jest największym błędem jaki może popełnić ludzkość. Rozum jest naszą nadzieją. Rozum jest godnością".

Następnie wystąpiła Jolanta Brzozowska, wiceprzewodnicząca ZZ ZSMP w zakładach tekstylno-konfekcyjnych „Teofilów". Należy ona do tego pokolenia, które wojnę zna z literatury i filmów. Mówiła o problemach pracującej młodzieży, o zaangażowaniu w pracy i trudnych problemach adaptacji o ambicji wykonywania swoich zadań jak najlepiej. To od tej młodzieży, która idzie po raz pierwszy do urn wyborczych wczoraj osiągnąwszy dojrzałość, zależeć będzie przyszły kształt naszego kraju. Dobrze więc, że młodzi już dziś czują się współodpowiedzialni za jego rozwój.

Były jeszcze pytania z sali, już spontaniczne, ale widać przecież, że wyważone, podyktowane troską o pomyślność Polski i Polaków. Czy będą kontynuowane inwestycje o charakterze socjalnym? Jak zamierzamy rozwiązać problemy energetyczne? Jakie będą kierunki inwestycji w najbliższej pięciolatce? Czym jest program „Wisła"? Podniesiono wreszcie sprawę rozwiązania problemu emerytów starego portfela, których dochody dosną wolniej niż pracujących.

Do części postulatów ustosunkował się wicepremier Secomski, który zwrócił uwagę na konieczność myślenia kategoriami państwa. „Obowiązuje nas zasada: trzeba bardzo wiele włożyć do skarbu, aby z niego wiele zaczerpnąć". A to oznacza konieczność zwiększenia efektywności gospodarowania na każdym szczeblu. Prof. Secomski podkreślił, że każda ze spraw poruszonych w wypowiedzi prezydenta Niewiadomskiego ma swoje szersze uzasadnienie i powinna znaleźć się w programie najbliższej pięciolatki.

Ważne jest, aby w najbliższym pięcioleciu modernizować stare budownictwo w takiej skali, jak realizowane jest budownictwo nowe. To także jedna z dróg efektywnego gospodarowania. Trzeba więcej uwagi niż do tej pory poświęcić problemowi modernizacji przemysłu, co dyskutuje się szczegółowo nie tylko w odniesieniu do Łodzi, ale całego kraju. Profesor Secomski poinformował także, że Rada Szkolnictwa Wyższego pod przewodnictwem prof. dr Jana Szczepańskiego opracowuje program rozwoju szkolnictwa wyższego, w którym znajdzie się odpowiedź na pytanie: co po dziesięciolatce.

Na zakończenie zabrał głos Jan Szydlak, który podkreślił, że w istniejącej na świecie sytuacji najważniejszy jest pokojowy, pomyślny rozwój naszej ojczyzny. I mimo trudności trzeba zapewnić jeszcze lepszą poprawę materialnych i kulturalnych warunków życia. Prowadzić do tego może efektywniejsze gospodarowanie. Program, który wytyczył VIII Zjazd, program, na którym oparł swój sojusz Front Jedności Narodu jest jasny, wskazuje drogi postępowania i sposoby osiągania zamierzonych celów. Ale program rozwiązują ludzie twórczą pracą. Od ludzi więc będzie w pierwszym rzędzie zależeć nasze powodzenie. Od rzetelnego wysiłku zależeć będzie miejsce Polski w świecie.

„Fabryki — powiedział Jan Szydlak — produkują nie tylko towary, ale także klimat społeczny. W tym pojęciu mieści się walka ze wszystkimi deformacjami w życiu co będzie służyć umocnieniu zasady sprawiedliwości społecznej. Ten klimat, poczucie sprawiedliwości społecznej w dziedzinie podziału dochodu narodowego, osiągnąć można w warunkach jedności narodowej i pokoju. Jedność to nie identyczność myślenia, ale identyczność działania w realizowaniu wspólnego programu.

Jan Szydlak długo jeszcze odpowiadał na szczegółowe pytania jakie padły podczas spotkania. Przebieg i atmosfera tego spotkania dowiodły, że przynajmniej jeden warunek pomyślnego rozwoju Polski udało nam się już zapewnić: jedność narodu wokół programu partii. Z niej płynie nasza siła. Resztę pokaże nasza praca.

KONRAD FREJDLICH

Były jeszcze pytania z sali.

Foto: R. Łucyszyn

PERŁA I BUKATY

Dalszy ciąg ze str. 1

dziej o tym, że do Głowna mogą zjechać Amerykanie.

Tymczasem następuje znaczące w skutki wydarzenie: Zakłady Przemysłu Ziemniaczanego zajmują i miejsce we współzawodnictwie w skali zjednoczenia. Dyrektorom z Głowna powiedziano: *Nagrodę sami sobie wybierzecie. Pomyślcie, może podoba wam się jakiś nowy zakład?* Dla ułatwienia podsunięto myśl, że mogłaby to być nowoczesna linia do produkcji suszu ziemniaczanego. Oferty przyszły ze Szwecji, RFN i USA. Wybrali amerykańską, chociaż nie była najtańsza, ale za to dawała produkt, który w przygotowywanych potrawach zachowuje pełne walory użytkowe, smakowe oraz zapachowe świeżych ziemniaków. Ponadto była to technologia naprawdę nowoczesna, gdyż najstarszy tego typu zakład w USA nie liczy jeszcze dwudziestu lat.

Eugeniusz Mazur, szef produkcji, który w zakładzie pracuje od 25 lat, wspomina historię powstawania tej amerykańskiej linii z humorem i nutką pobłażliwości dla typowej dla nas zapalczywości.

— *Myśmy strasznie chcieli budować tę linię, tylko nikt nie wiedział dokładnie, co to jest granulat ziemniaczany. Na obszarze RWPG nikt tego nie robił i nie robi, a jeśli chodzi o Europę, to podobno jest taka jedna fabryka w Anglii. Nie mogliśmy tego kupować całkiem na ślepo. Amerykanie przywieźli więc małą linię na próby, żeby sprawdzić, czy się nadaje do przerobu naszych ziemniaków. Drogą dokładnej selekcji ustalono, że najlepsze do produkcji będą ziemniaki odmiany „Uran" i „Lenina". Wiedzieliśmy już, jak się robi granulat, ale oni wtedy oświadczyli, że granulat można aglomerować i uszlachetniać. Ale jak, nie powiedzieli. Tego dowiedzieliśmy się dopiero po podpisaniu kontraktu.*

— *I dopiero wtedy ruszyła budowa zakładu?*

— *Zaczęliśmy od budowy przechowalni ziemniaków, także zakupionej w USA, bo na nią mieliśmy dokumentację. Do budowy zakładu, już własnymi siłami, przystąpiliśmy w 1977 roku, kiedy otrzymaliśmy całą dokumentację. We wrześniu 1978 roku rozpoczął się montaż. Największe sęki mieliśmy z konstrukcją dachu, bo ze stalą zawsze krucho. Na budowę zakładu poszło 2 tys. ton konstrukcji stalowych...*

W tym czasie inż. Stefan Ptaszek, obecnie kierownik wydziału granulatu i aglomeratu, z wykształcenia chemik, zabawiał się w zaopatrzeniowca. Zjeździł całą Polskę, żeby wydębić potrzebne elementy, przy czym nie obyło się bez przygody iście detektywistycznej.

— *Potrzebna była nowa, duża kotłownia, ze stacją uzdatniania wody. Mijają dwa miesiące, a konstrukcji nie ma. Po prostu zaginął gdzieś w Polsce wagon. Dzwoniłem do kolei w całym kraju i w końcu okazało się, że wagon z tym numerem, przeznaczony dla nas, rozładowano w Miętnem koło Garwolina. Bo oni tam także budowali stację uzdatniania wody, ale mniejszą. Nawet dziwili się, że dostali takie wielkie słupy, nikt jednak nie wpadł na pomysł, żeby interweniować. I tak konstrukcja przez dwa miesiące leżała bezużytecznie.*

— *Ale mimo to uruchomiliście zakład na czas?* — zwracam się do E. Mazura.

— *Oficjalne przekazanie do eksploatacji nastąpiło 1 listopada 1979 roku i od tego czasu zaczęto nas rozliczać z produkcji. Otrzymaliśmy pół roku na osiągnięcie pełnej zdolności produkcyjnej, tzn. 20,5 tony granulatu na dobę. Tę ilość możemy produkować już dzisiaj...*

— *To Amerykanie chyba są zaskoczeni?*

— *Jeszcze jak! No, ale trzeba przyznać, że linia sprawuje się bez zarzutu, a poza tym kilku z nas odbyło praktykę w USA, pozostałych zaś fachowcy z firmy amerykańskiej szkolili na miejscu. Odpowiadali na każde pytanie, fachowiec mówił, co robić, nasz pracownik włączał odpowiednie urządzenie i dzięki temu szybko oswajał się z nieznaną sobie technologią. Na dwa dni przed zakończeniem ostatecznych prób testowych, które zamknięto 24 stycznia br., pozostawili nas samych przy urządzeniach...*

Dzięki uruchomieniu linii granulatu mieszkańcy Głowna uzyskali 100 atrakcyjnych stanowisk pracy. Łącznie z pracującymi w krochmalni zatrudnionych jest 430 osób. Wybudowano trzy bloki mieszkalne dla pracowników i ci nieliczni, którzy dojeżdżali z Łodzi, osiadają na miejscu. Myśli się już o modernizacji krochmalni, którą niektórzy nazywają „muzeum techniki". Taka jest różnica między starym zakładem i nowym, w pełni zautomatyzowanym.

Fot. Archiwum

Inżynier Ptaszek usiłował w sposób najbardziej przystępny przekazać mi tajniki nowej technologii, związanej bezpośrednio z chemią organiczną, ale mimo wszystko jest to tak skomplikowane, że ograniczę się tylko do ogólnych zarysów. Otóż w produkcji suszu ziemniaczanego obowiązuje żelazna zasada: nie wolno rozrywać komórek ziemniaka, gdyż dzięki temu nie wylewa się skrobia i nie wytwarza się „klajster" sprawiający, że ziemniaki są lepkie, gumowate.

Najpierw odrzuca się ziemniaki uszkodzone, odpadowe, które trafiają do krochmalni, a jak ta stoi, sprzedaje się je rolnikom na paszę. Zdrowy surowiec dwukrotnie się myje, po czym poddaje się parowaniu warstwy zewnętrznej (korkowej), żeby można było łatwo zdjąć łupinę. Obrane ziemniaki myje się i wtedy trafiają na taśmę inspekcyjną, gdzie trzy kobiety ręcznie „oczkują", czyli wydłubują narosty. Następnie ziemniaki poddawane są dalszemu parowaniu, rozkruszaniu, suszeniu, aż po produkt finalny — granulat ziemniaczany w postaci sypkiego produktu o barwie kremowożółtej i wilgotności 6—8 procent. W handlu nosi on nazwę „Puch".

Aglomerowanie polega na połączeniu komórek rozproszonych w granulacie. W ten sposób z „Puchu" uzyskuje się „Perłę" — uszlachetnione puree ziemniaczane, wzbogacone dodatkiem mleka w proszku, tłuszczu, środków spulchniających i zapachowych. „Perła" w postaci sypkiej, drobnej kaszki posiada właściwość natychmiastowego pęcznienia we wrzącej wodzie, a więc przyrządzenie puree to kwestia zagotowania wody i wymieszania. Aby matki z niemowlętami nie miały powodu do narzekań, należy wyjaśnić, że dodawane do „Perły" mleko w proszku jest odtłuszczone.

Zarówno „Puch" jak i „Perła" mają wiele zalet, które winny sprzyjać szybkiemu rozpowszechnieniu tych produktów. Po pierwsze, dzięki możliwości zastosowania wrzącej wody przy sporządzaniu potraw można długo utrzymywać ich ciepłotę. Po drugie — istnieje możliwość otrzymania potraw o dowolnej konsystencji, w zależności od ilości użytej wody. Po trzecie — podczas podgrzewania potrawa nie traci własności smakowych i użytkowych. Po czwarte wreszcie, a dotyczy to głównie zakładów gastronomicznych, z zastosowaniem mieszania mechanicznego można jednorazowo sporządzać dowolną ilość porcji puree.

Zapytałem inż. Ptaszka:

— *Jeżeli „Puch" i „Perła" są takie dobre, to pewnie od kupców nie możecie się opędzić?*

— *Amerykanie zabrali próby naszego produktu do analizy. Przysłali wyniki stwierdzając, że nasz granulat jest lepszy od produkowanego u nich. Oni robią z granulatu nawet makaron, a myśmy poszli jeszcze dalej. W naszym laboratorium upieczono z „Perły" z dodatkiem jaj, kaszki manny i cukru, pierwszy tort, który ma smak ciasta biszkoptowego. Amerykanie bardzo go sobie chwalili. Ale co z tego? W gazetach lecą ciurkiem reklamy, a my tymczasem po kilkumiesięcznej produkcji sprzedaliśmy około 100 ton „Perły" i „Puchu". Ostatnio byli w Głownie kupcy z Anglii i zapewnili nas, że będą kupować granulat i aglomerat...*

Otóż to! Potrafimy zrobić lepiej niż fachowcy zagraniczni, ale nie potrafimy tego sprzedać, bo reklama nie jest jeszcze dźwignią naszego handlu. A może my, Słowianie, zbyt mocno jesteśmy przyzwyczajeni do parujących na tarelerzu całych „pyrów"? Bo na przykład przemysł chłodniczy uznał „Perłę" za produkt dobry, ale go nie kupuje. Gastronomia, która powinna być najbardziej zainteresowana sprawą, też się nie kwapi do kupna. Myślę, że pies jest pogrzebany gdzie indziej. Otóż stołówki i zakłady gastronomiczne zakupiły jesienią zapasy ziemniaków, które leżą w kopcach, i teraz nie mogą kupować nowego produktu. Gdyby wszyscy wiedzieli w połowie roku, że produkcja granulatu ruszy już w listopadzie, sprawy być może ułożyłyby się inaczej.

Puree ziemniaczane „Perła" winno mieć szczególne znaczenie dla Łodzi, gdzie notuje się największy procent zatrudnienia kobiet. Decydują tutaj względy ekonomiczne i czasowe. Zimą ziemniaki są po 5 zł za kg. Dla czteroosobowej rodziny trzeba 2 kg ziemniaków, bo przy obieraniu grubej „zimowej" łupiny 75 dkg odpada. Czteroporcjowa torebka „Perły" kosztuje 9 zł. Mycie, obieranie, gotowanie i miażdżenie ziemniaków na puree zajmuje godzinę czasu. Z „Perły" puree otrzymuje się w ciągu 10—15 minut.

Z puree można szybko otrzymywać wiele potraw: zupę ziemniaczaną, krokiety ziemniaczane z nadzieniem mięsnym lub bez, kotlety panierowane suszonymi warzywami, kluski ruskie i śląskie, kopytka, frytki, torty. Informacji o możliwości zakupu i wykorzystaniu produktu udziela w Głownie dział zbytu i laboratorium zakładowe.

I to właśnie nie jest w porządku, ponieważ te informacje już dawno powinny się znaleźć w handlu w całym kraju i w gastronomii. A w gastronomii szczególnie. Bo w dużym zakładzie zbiorowego żywienia rano gotuje się wielkie kotły ziemniaków, które ciemnieją, głąbieją i po południu konsumentowi trudno jest coś takiego przełknąć. Przy zastosowaniu „Perły" co godzinę można przyrządzać świeże puree. Poza tym w dużym barze można zainstalować frytkownicę, taką ze zmiennymi foremkami, dzięki czemu na stoły trafiałyby bez przerwy świeże frytki o różnych kształtach.

„Perła" i „Puch" to duże udogodnienie dla turystów, obozowiczów, dla wojska, zwłaszcza w warunkach polowych, a przede wszystkim dla marynarzy. Dlaczego? Bo na statku lub okręcie ziemniaki tak gniją, że trzeba je codziennie przebierać i wyrzucać. Oszczędność miejsca w magazynach też nie jest tutaj bez znaczenia.

Mamy znakomity produkt, który szybko powinien znaleźć powszechnego konsumenta i trzeba zrobić wszystko, aby tak się właśnie stało. Za urządzenia licencyjne zapłacono 5,5 mln dolarów, a sama inwestycja kosztowała 720 mln złotych. Głowno nie będzie tego spłacać w dolarach, kredyt otrzymało bowiem w banku inwestycyjnym.

Budowa nowego zakładu stworzyła kilka problemów, których rozwiązanie może przynieść sporo korzyści. Jednym z nich jest niewątpliwie sprawa przechowalnictwa. Na przykład, dzięki powszechnemu użytkowaniu „Perły" można uniknąć przechowywania dużych zapasów ziemniaków w piwnicach blokowych, które absolutnie do tego się nie nadają. Zakład w Głownie zainstalował amerykańską przechowalnię na 18 tys. ton, z dwiema komorami chłodzonymi, która pozwala przechowywać ziemniaki do czerwca niemal w takim stanie, w jakim zostały zebrane we wrześniu. Złe warunki przechowywania (temperatura, ciśnienie, wilgotność powietrza są tutaj czynnikami decydującymi), sprawiają, że w ziemniakach maleje ilość skrobi, a rośnie ilość cukrów. Maleje także ilość suchej masy, przez co automatycznie spada wydajność linii. Wydaje się, że gdybyśmy potrafili dobrze liczyć, budowalibyśmy, bez względu na wysokie koszty, więcej takich przechowalni. Przemawiają za tym dane statystyczne. Produkujemy rocznie 50 mln ton ziemniaków, z czego do przemysłu spożywczego trafia 7 mln ton. Gdyby nawet odliczyć eksport, to i tak, biorąc pod uwagę straty wynikające z prymitywnego przechowalnictwa, dochodzące nieraz do 40 procent, są one ogromne i sięgają milionów ton. A ile marnuje się cennej słomy? Ile pracy trzeba włożyć, żeby zbudować kopce?

Istnienie krochmalni stworzyło w okolicy bazę do produkcji ziemniaków. Znaleźli się szybko rolnicy, chętni do uprawy odmian „Uran" i „Lenino". Tym bardziej chętni, że w ramach kontraktacji uzyskuje się wysoką cenę — 350 zł za kwintal. Ale ta cena zobowiązuje. Normy są iście eksportowe i zdarza się, że rolnik ze złymi ziemniakami zostaje odsyłany do domu. I tak być powinno.

Ale mnie interesuje inna sprawa. Otóż w toku produkcji granulatu i aglomeratu powstaje wiele odpadów. Rolnicy kontraktujący ziemniaki „Uran" i „Lenino" nie mogą kupić tych odpadów, gdyż są one przeznaczone dla SKR i PGR. Tylko rolnicy dostarczający ziemniaki do krochmalni otrzymują wycierkę ziemniaczaną.

— *Obierki z ziemniaków rozdrabnia się, odcedza na sitach i sprzedaje* — mówi inż. Ptaszek. — *Jest to znakomita pasza, zawierająca dużą ilość węglowodanów. Wystarczy tylko dodać trochę białka i soli mineralnej. Łącznie z odpadami suchymi, wyodrębnianymi już po linii inspekcyjnej, otrzymujemy na dobę 4,5 tony takiej paszy.*

A więc co dobę ze 140 ton ziemniaków uzyskuje się 20,5 tony granulatu i 4,5 znakomitej paszy. Aby tę ostatnią zmagazynować, zbudowano zbiornik o pojemności 90 ton. W grudniu, po uruchomieniu początkowej, niepełnej jeszcze produkcji, zbiornik groził „przelaniem", gdyż uspołecznione gospodarstwa rolne nie nadążały z odbiorem paszy. Trzeba ją było sprzedać rolnikom, którzy nieomal bili się w kolejce do zbiornika.

Jak podaje Leon Bójko w tygodniku „Kultura" (14 lutego 1980 r.), dane z 1978 roku mówią, że gospodarstwa uspołecznione zużyły o 20 proc. zboża więcej niż wyprodukowały. Rolnicy indywidualni kupili o 20 proc. zboża mniej niż wyprodukowali. A więc gospodarstwom uspołecznionym najłatwiej jest czerpać z puli importowanych pasz treściwych. I pewnie dlatego niezbyt kwapią się z odbiorem odpadów z Głowna. Może więc sprzedawać te odpady kontraktującym ziemniaki rolnikom? Chłop na pewno nie spóźni się z odebraniem paszy.

Z paszami odpadowymi wiąże się jeszcze jedna bardzo ważna sprawa. Otóż nowy zakład musiał zakupić od chłopów (po 70 tys. zł za hektar) ponad 160 ha ziemi pod rolniczą oczyszczalnię ścieków. Ścieki zawierają tak dużą ilość substancji organicznych, że szkoda by je było spuszczać do rzeki. Założono więc deszczownie i przesuwając je dwa razy na dobę (są na kołach), użyźnia się grunty rozpuszczonymi w wodzie ściekami. Tak intensywne nawożenie daje wprost bajeczne plony: trawę zbiera się czterokrotnie, i to po 400 q zielonej masy z hektara. Trawę lub uzyskane z niej siano można mieszać z odpadami treściwymi i w ten sposób osiągać ogromne ilości pasz. Ażeby nie dopuścić do wytwarzania się niebezpiecznej ilości drobnoustrojów, co dziesięć dni linię produkcyjną zatrzymuje się i dokładnie myje. W sumie zakład pracuje przez 250 dni w roku, dając w tym czasie 1125 ton pasz odpadowych.

Mając tak duże ilości trawy, siana i pasz odpadowych można w ciągu roku wyhodować przynajmniej 500 bukatów o wadze 450 kg każdy. Podjęto więc decyzję, żeby Zakłady Przemysłu Ziemniaczanego w Głownie na tych porosłych bujną trawą 160 ha prowadziły od wiosny do jesieni wypas bukatów. W zakładzie nikt się specjalnie od tej decyzji nie uchyla, jest ona bowiem słuszna, gdyż obecnie należy wykorzystywać wszelkie rezerwy paszowe. I bardzo dobrze, ale co z paszami odpadowymi? Czy nadal będą je odbierać SKR i PGR?

Wydaje się, że zakłady ziemniaczane nie bardzo sobie poradzą z hodowlą bukatów. Po prostu trzeba znaleźć odpowiednią obsługę, która będzie znała się na hodowli i weterynarii, bo inaczej takie przedsięwzięcie może przynieść tylko straty. Smutnym przykładem mogą być w tym względzie tuczarnie przyzakładowe, które w większości przypadków okazały się kompletnym niewypałem. Ponadto, znając naszą skłonność do papierkomanii należy się liczyć z tym, że zakład natychmiast otrzymałby do realizacji drugi plan, dotyczący ilości pogłowia, przyrostów wagowych, a w ślad za tym nowe komisje, rozliczenia z ubytków, pisanie sprawozdań itp.

Najprostszym wyjściem byłoby zbudowanie w pobliżu zakładu dużej obory przez SKR lub PGR. Ale to jest już milionowa inwestycja. Można jednak uniknąć inwestycji, a jednocześnie uzyskać wzrost pogłowia bydła. Koncentrację chowu bydła przewiduje się m. in.: w gminie Głowno, gdzie powstanie dużo gospodarstw specjalistycznych, posiadających najwięcej maszyn i własny transport. Czy nie warto by więc sprzedawać pasze odpadowe rolnikom-specjalistom? Myśle, że rolnicy chętnie kupowaliby także trawę, przy czym zbieraliby ją własnym sprzętem.

Zakłady Przemysłu Ziemniaczanego pracują już pełną parą, chociaż pracownicy nadzoru technicznego urzędują jeszcze w prymitywnych warunkach, bez wygodnych biurek, z telefonem na korytarzu. Kiedy popada deszcz, przez teren trudno się przebić, takie błoto. Ale wiosna budowlani wykończą tzw. mała architekturę, położy się drogi, utwardzi nawierzchnie, na klombach zakwitną róże i bratki.

To cieszy. Inna sprawa, że praktycznie zakład budowano od 1976 roku i było dostatecznie dużo czasu, aby wnikliwie rozpatrzyć problemy, jakie przyniesie nowa inwestycja.

RYSZARD BINKOWSKI

SEN O DORSZU

Dalszy ciąg ze str. 1

by darów morza nie brakowało na naszych stołach. Swoim zasięgiem, oprócz miejskiego łódzkiego, obejmuje województwa — piotrkowskie, sieradzkie i skierniewickie. Ostatnio, na ogólnopolskiej giełdzie zawarto kontrakty z przedsiębiorstwami połowowymi i przetwórczymi na całoroczne dostawy. Wszystkim klientom łódzkiej Centrali Rybnej zagwarantowano blisko siedemnaście tysięcy ton ryb w najrozmaitszych postaciach, począwszy od świeżych morskich, poprzez słodkowodne, solone, filety, wędzone, mrożonki, konserwy, marynaty i wyroby garmażeryjne. Tego, co nas najbardziej interesuje, a więc ryb świeżych — ma być kilka tysięcy ton, co według opinii specjalistów i tak nie zaspokoi w pełni potrzeb mieszkańców regionu łódzkiego.

Zaglądając do oficjalnych statystyk, przeciętnemu Polakowi w głowie się nie mieści, że miniony rok był rekordowym pod względem złowionych ryb. Razem było tego osiemset tysięcy ton, czyli ponad 100 tysięcy więcej niż zakładano. Cóż, nie da się ukryć, że jednocześnie w powszechnym odczuciu ryb po prostu było za mało. A to już sprawa specyfiki naszego apetytu i mentalności — przywykliśmy oceniać rynek na podstawie śledzi i karpi. Nie ma ich w sprzedaży? Jasna sprawa: w ogóle nie ma ryb...

I tu słów kilka wypada poświęcić placówkom handlowym tej branży. W województwie miejskim łódzkim jest ich w sumie 45. Wszystkie przygotowano do sprzedaży tego specjalnego towaru i wszystkie chętnie są odwiedzane przez klientów. Pytania najczęściej stawiane? Wiadomo, są zresztą jednakowe we wszystkich placówkach: śledź, karp, szczupak i szproty.

Na zasadzie ponurego kontrastu funkcjonuje prymitywny handel rybą w „normalnych" sklepach. W głowie się nie mieści, że świeża ryba, dostarczona rano, jeszcze w godzinach wieczornych leży na metalowej tacy w pokojowej temperaturze. Aż nie wypada pytać, co się dzieje z tą dostawą, która w ciągu jednego dnia nie znajdzie nabywców...

Przypatrzeć się chyba warto ofercie kilku sklepów rybnych w okresie, kiedy dorsza z Bałtyku łowiono dziennie kilkadziesiąt ton.

Ulica Piotrkowska 194, sklep typu „Rybex" (w zamyśle miały to być salony reprezentujące najnowocześniejszą formę sprzedaży — przyp. S. D.). Na powierzchni porównywalnej ze średnim pokojem w budownictwie (salon?) zgromadzono stosunkowo duży wybór konserw. Ryby mrożone: pstrąg, mintaj, morszczuk, buławik. Ryby wędzone: ostrobok, filety z ostroboka, mintaj i sardynela — to wszystko na godzinę przed zamknięciem. Duży ruch, sporo kupujących. Do znudzenia powtarzają się pytania o śledzie...

Ulica Zgierska 30. W sprzedaży: dorsze świeże i filety z dorsza. Mrożone: sardynela, nototenia, borel i raja. Ponadto wędzony mintaj, ostrobok, dorsz oraz duży wybór konserw. Są śledzie! Wprawdzie mrożone i bostońskie — ale są. Amatorzy? Na pięciu kupujących decyduje się jeden...

Ulica Zachodnia 25. Tradycyjnie dorsz świeży i filety. Mrożony ostrobok, dorsz, błękitek oraz borel. Mintaj, dorsz i ostrobok — wędzone. Są także dwie lokalne sensacje: śledź solony oceaniczny (z beczki!) i tak poszukiwane szproty w oleju. Tych ostatnich nie wykłada się z kartonów na półki — każdy klient kupuje obowiązkowo kilka opakowań.

Następne spotkania przy sklepowej ladzie — dla urozmaicenia — proponuję w godzinach rannych, tuż po otwarciu placówek Centrali Rybnej.

Ulica Łagiewnicka (pawilony koło RSM „Lokator", dookoła dwa duże osiedla). Ryb świeżych brak — mają przywieźć po południu. Mrożone: kergulena, błękitek, morszczuk i nototenia. Z wędzonych tylko dorsz i ostrobok. Tradycyjne konserwy.

Ulica Więckowskiego 2. Skromne warunki, ciasnota. Ryb świeżych chwilowo brak (sklep otwarty po kilkudniowej chorobie personelu), dużo za to mrożonek. Leszcz, pstrąg, borel, nototenia, buławik, mintaj błękitek, dorsz, cekinawa, płastuga bałtycka, różne filety i płaty z rai. Jest także sardynela i śledź oceaniczny. Na ladzie okazja — przecenione kielbaski rybne rodem ze Świnoujścia: cena z 5,20 zł spadła na 1 zł! Cztery kolejne osoby dopytują się o płoć i okonia. Ktoś wyrywa się z nadzieją na filety z karmazyna. Ostatnio były w... październiku.

Ulica Jaracza 4. Reprezentacyjna placówka tej branży w Łodzi („Rybex"), nazywana przez klientów delikatesami rybnymi. Akurat kończy się — na zapleczu — przyjęcie towaru. Przywieziono paczkowane filety z halibuta, nototenii i mintaja oraz dorsza świeżego. W zapasie (i na ladzie) filety z dorsza, pstrąg mrożony, płastuga, mintaj, borel, morszczuk, plamiak, ostrobok, buławik, płaty z rai, błękitek, filety z morszczuka i kalmara. Duża ilość rozmaitych konserw — również z importu. Gdyby na zamówieniach składanych do centrali uwzględniać wszystkie życzenia klientów, należałoby pisać wprost bez końca: śledź, karp, sandacz, szproty w oleju, szczupak, tołpyga, węgorz czy makrela. Stale nachodzą sklep amatorzy ryb marynowanych (chroniczny brak) i popularnej ongiś polędwicy bosmańskiej. Sporo osób dopytuje się o wędzonego łososia (550 zł za 1 kg) i wędzonego węgorza (350 zł). Cóż, ich smaku nawet w pamięci nie można się doszukać. Były, owszem, ale dawno...

Tak właśnie wygląda przeciętne zaopatrzenie sklepów rybnych w Łodzi na początku marca. Jak to ocenić? Asortyment bogaty — czy ubogi? Biorąc pod uwagę ilość ryb w ogóle dostępnych na rynku, jest na dobrą sprawę w czym wybierać. Tylko że więcej osób odchodzi od lady z przysłowiowym kwitkiem, bojąc się obco brzmiących dla ucha nazw, niż decydując na zakup.

Rybacy zadali sobie trud spenetrowania najodleglejszych łowisk, opracowane zostały specjalne techniki połowów na tych akwenach. Przemysł wie, co się z nich robi i jak należy je przyrządzać, ale w niewielu tylko placówkach handlowych personel poza stereotypowym: „podobny w smaku do halibuta" może coś na temat wartości odżywczych czy sposobu przygotowania do konsumpcji powiedzieć. Chlubnym wyjątkiem są wspomniane wyżej „delikatesy", w których personel zaznajomi nas z każdą nie znaną rybą. Organizuje się tu też dla klientów degustacje nie znanych wyrobów, które po raz pierwszy trafiły do sprzedaży.

Nie bez znaczenia jest także stan sieci placówek gastronomicznych serwujących dania rybne. Sieci? Używając tej terminologii należałoby stwierdzić, że w Łodzi ta sieć musi mieć wyjątkowo rzadkie oka, jako że w całym mieście (aż nie wypada w tym miejscu przypominać, że jest to drugi ośrodek w kraju) nie ma obecnie ani jednej restauracji z taką specjalizacją. Bodaj od roku 1976 stoi zamknięty dawny „Delfin", nie istnieje już „Kaszubska". Nie załatwiają przecież sprawy sezonowe smażalnie ryb, lokowane w campingowych przyczepach. Restauracja taka potrzebna jest od zaraz!

Można zrozumieć, że ponieważ „Delfin" w pewnym okresie swojej działalności przekształcił się w pospolitą spelunkę, dłużej takiego stanu tolerować nie wypadało. Wydział Handlu i Usług (Śródmieście) decyzję zamknięcia podparł koniecznością wyburzenia domu, w którym „Delfin" funkcjonował. (Z tego samego powodu i pod groźbą grzywny nakazano opróżnić pomieszczenie zajmowane kilka bram dalej przez „Metaloplastykę"). I co? Ano, nic — pomieszczenia po „Delfinie" już czwarty rok stoją puste, a na miejscu „Metaloplastyki" od dawna już urzęduje prywatny kaletnik. Ten sam wydział nie wydaje zgody na rozbudowę sklepu przy ul. Piotrkowskiej 194, bo pociągałoby to za sobą likwidację sklepu spożywczego (jak to w tym rejonie — w niedalekim sąsiedztwie podobnych placówek jest kilka), ponoć absolutnie niezbędnego w tej okolicy. Żeby było jeszcze śmieszniej — na kombinat rybny (restauracja i bar) wyznaczono parter i pierwsze piętro kamienicy przy ul. Piotrkowskiej 143, co dziwnym zbiegiem okoliczności również leży na terenie Śródmieścia. Nie będę się tu rozwodził nad faktem, że pomimo rozpoczęcia robót adaptacyjnych nie udało się wyprowadzić stamtąd Polskiego Komitetu Normalizacji i Miar (Zespół Przemysłu Lekkiego) oraz Oddziału Obrotu Importowanymi i Eksportowymi Artykułami Odzieżowymi PROTIM PDT „Centrum". Każdy zdrowo myślący obywatel, nim podpisałby decyzję na lokal tej branży, spojrzałby chociaż na najbliższe otoczenie. Nie trzeba być wielkim specjalistą, by przewidzieć że w czworoboku typowego, łódzkiego podwórza, każdorazowa dostawa towaru, opróżnianie pojemników ze śmieciami czy uruchomienie systemu wentylacyjnego z restauracyjnej kuchni — spowoduje ze strony zamieszkałych tam lokatorów lawinę protestów. I wcale nie należy się im wtedy dziwić. Ryba, pomimo wielu zalet, z fabryki kosmetycznej się nie wywodzi...

Nie widzę powodu, dla którego lokal taki nie miałby znaleźć sobie miejsca w którymś z nowo wznoszonych pawilonów przy trasie W-Z. Czyżby ryby nie licowały z europejskością tej arterii? Ujma dla honoru? Tylko czyjego? Pewnie łatwiej będzie się zdecydować na jeszcze jedną knajpę wysokiej kategorii„ z której nad ranem wytaczać się będzie gromada wielbicieli artykułów monopolowych. I co? Wtedy nie będzie wydumanych skojarzeń...?

To, że statystyczny łodzianin zjada w ciągu roku około 7 kg ryb, nie powinno napawać nas zadowoleniem. I nie może być argumentem fakt, że np. tarnobrzeskie ma tylko 3 kg na mieszkańca. Szczecińskie, gdańskie, koszalińskie, czy słupskie przekraczają już dawno 10 kg, a równie daleko co Łódź położona od morza Warszawa ma tych kilogramów blisko 8,5.

Nie jest przesadne stwierdzenie, że istnieją realne szanse na to, by ryby na naszych stołach były stale i do tego w większych ilościach. Trzeba tylko pamiętać o jednym. Nie jest to sprawa li tylko tych, którzy wypływają w morze i wyciągają sieci. Jest to sprawa całej naszej gospodarki, całego zaplecza lądowego współpracującego z rybołówstwem. Nie osiągniemy prędko poprawy na tym polu, jeżeli nasze kutry nie będą coraz nowocześniejsze, jeżeli nie będą miały dostatecznej chociażby ilości sprzętu połowowego. Nie można być optymistą, jeżeli w najbliższym czasie nie wzrośnie potencjał zamrażalniczy i przetwórczy przedsiębiorstw rybackich. Dopóki nie zanotujemy poprawy na tym polu, dopóki nie stworzymy w kraju specjalistycznego transportu z całym zapleczem techniczno-remontowym, dopóty nie skończą się stałe kłopoty z urządzeniami przetwórczymi, lodem, puszkami do konserw, czy z przyprawami.

Nie ma co marzyć nawet o stałym wprowadzeniu potraw z ryb do naszych jadłospisów, jeżeli sieć placówek gastronomicznych będzie przedstawiała się chociażby tak, jak w Łodzi. Fachowej i rzetelnej informacji nie zastąpią w żadnym przypadku kolorowe i obszerne ogłoszenia prasowe przedstawiające hasające po plaży modelki przytulające do nagiej piersi puszki kerguleny w pomidorach.

„Lepsze niż sobie wyobrażasz" — ten handlowy sloganik spotkać można w wielu sklepach Centrali Rybnej. Nas, klientów, o taki brak wyobraźni nie należy posądzać. Wiemy coś o tym, skoro nawet śledź śni się nam po nocach. Szkoda tylko, że tej wyobraźni zabrakło tam, gdzie być powinna.

SŁAWOMIR DARZYCKI

Foto: Archiwum

POPRAWA SYTUACJI ZBOŻOWEJ?

AFP i AP relacjonują utrzymane w nieco sprzecznym ze sobą tonie prognozy zbożowe na ten rok opracowane odpowiednio przez Międzynarodową Radę Pszenicy (IWC) oraz ministerstwo rolnictwa USA. IWC ocenia jako pomyślne perspektywy dotyczące tegorocznych zbiorów, włącznie z ZSRR, gdzie plony — pisze AFP — były ostatnio wyjątkowo niskie. Oficjalne założenia produkcyjne tego kraju mówią o 235 mln ton zbóż, wobec 179 mln ton w roku 1979. Rada nie sądzi, by straty spowodowane przymrozkami przekroczyły średnią roczną wynoszącą 15 proc. zasiewów. W dobrym stanie znajdują się zasiewy amerykańskie. Perspektywy dla Europy zachodniej ocenione zostały jako „obiecujące", zaś dla Europy wschodniej — „korzystne". Niezbyt pomyślna sytuacja utrzymuje się nadal w niektórych regionach Azji i Afryki północnej. Niewystarczające były opady w Indiach, choć w Pakistanie może zostać pobity kolejny rekord zbiorów. Susza i niskie temperatury podczas zimy w Chinach pogorszyły perspektywy zbiorów w tym kraju.

Na zakończenie 3-dniowej konferencji regionalnej w Delhi dyrektor generalny FAO, Edouard Saouma, stwierdził, że pomimo amerykańskiego embargo Związek Radziecki będzie w stanie pokryć swe zapotrzebowanie zbożowe w roku bieżącym wynoszące około 212 mln ton. Będzie to możliwe dzięki zapasom nagromadzonym podczas poprzednich kampanii oraz importowi z innych niż USA krajów. Tegoroczne zbiory w ZSRR oceniane są na 170 mln ton. 42 mln ton zbóż potrzebne są do bezpośredniego spożycia, 50 mln ton — dla celów przemysłowych a 120 mln ton — na paszę. W sumie, po zbilansowaniu tego z importem, powstanie nawet niewielka nadwyżka (ok. 18 mln ton). Saouma poinformował, że dane te opierają się na materiałach dostarczonych przez stronę radziecką. Oświadczył on, że FAO stoi na stanowisku, iż żywność należy trzymać z daleka od spraw polityki: „Żywność powinna być wykorzystana jako broń, ale przeciwko głodowi".

Dyrektor generalny FAO powiedział dziennikarzom, że zaproponowany przezeń światowy system zabezpieczenia żywnościowego nie zyskał sobie zbyt dużego poparcia ze strony krajów bogatych. W konferencji delhijskiej uczestniczyło 154 delegatów z 24 krajów. Jedynie Japonia zapowiedziała ogólnikowo, że poprze inicjatywę FAO. Saouma przypomniał, że zatwierdzony w ub. roku przez Zgromadzenie Ogólne NZ plan zabezpieczenia żywnościowego przewiduje, że każdy kraj powinien utrzymywać zapasy (nadwyżki) odpowiadające 18 proc. całkowitego spożycia zbóż a krajom rozwijającym się musi być udzielana pomoc nie tylko w formie udogodnień importowych, lecz również w formie dotacji w wypadku klęski żywiołowej. Saouma stwierdził, że zwiększa się niebezpiecznie uzależnienie krajów Trzeciego Świata od importu żywności, co prowadzi do poważnego deficytu w ich bilansach płatniczych. Kraje te sprowadzały na początku lat 70 około 50 mln ton zbóż rocznie, natomiast w roku 1985 będą musiały zakupić ponad 90 mln ton. Dyrektor generalny FAO postuluje zwiększenie rezerwy awaryjnej tej organizacji z obecnych 300 tys. ton do 2,5 mln ton.

W Rzymie opublikowany został raport dotyczący stanu światowego handlu płodami rolnymi (w tym również pochodzącymi z lasów i wód). Stwierdza się w nim, że pod względem wartościowym eksport tych produktów wzrósł w roku 1978 o 10 proc., obejmując sumę 214 mld dolarów. Specjaliści FAO odnotowują, że wskaźnik ten jest dużo niższy od średniej uzyskanej w ciągu poprzedniego 10-lecia. Wśród przyczyn tego wskazuje się na wyraźny spadek tendencji zwyżkowej cen produktów rolnych w handlu międzynarodowym, co towarzyszyło gwałtownemu wzrostowi cen eksportowych produktów o wysokim stopniu przetworzenia. W sprawozdaniu mówi się o znacznym pogorszeniu się w roku 1978 „terms of trade" eksporterów i braku oznak poprawy w pierwszej połowie roku 1979. Po dwóch latach ekspansji światowa produkcja rolna zwolniła w roku 1979 tempo swego wzrostu a nawet zbiory zbóż miały być o 7 proc. niższe niż w roku poprzednim (420 mln ton). Niekorzystne plony dotknęły w pierwszym rzędzie głównych importerów. Zapotrzebowanie na produkty rolne utrzymywało się na ogół na stałym poziomie, zwiększył się natomiast wolumen obrotów i — zdaniem FAO — nadal będzie on wzrastać, szczególnie w odniesieniu do zboża. W raporcie mówi się o bardzo dużej niestabilności cen wielu produktów rolnych, głównie ze względu na inflację. W specjalnym rozdziale FAO zwraca uwagę na tendencję umacniania się praktyk protekcjonistycznych. Skuteczność postanowień rundy tokijskiej oceniona została jako większa dla produkcji przemysłowej.

BAL-LADA WAGO-NOWA

Dalszy ciąg ze str. 1

Grochowiaka. Uczę ich aktorstwa, obywania się bez świateł, scenografii, kiedy trzeba wszystko „wygrać" tylko sobą. A to nie jest proste i długo by o tym mówić.

— Lubi pan te belferskie trele?

— To jest istotne zarówno dla mnie, jak i dla nich. Oni się czegoś uczą — a ja nie mam prawa się przy nich zestarzeć. Ich świeżość, krytycyzm nie pozwala blefować. Staram się być partnerski, sam ciągle szukam, uczę się także i od nich. Cieszy mnie, kiedy robią postępy, kiedy już później, po skończeniu szkoły, jako zawodowcy sprawdzają się na scenie Często piszą do mnie, przychodzą, telefonują, przesyłają zaproszenia na swoje premiery — to sympatyczne.

— Jacy oni są naprawdę?

— Różni. Ale najczęściej łatwo i szybko chcą zrobić karierę.

— A jacy wy byliście?

— My bardziej chcieliśmy być, oni bardziej chcą mieć. Mieliśmy większy szacunek dla teatru, i o wiele trudniejszy od nich start. Organizowaliśmy swój świat niejako prywatnie, na własną rękę. Przyjaźnie z Wajdą, Polańskim, Kutzem. Na pierwszym roku powstała grupa, pracowaliśmy poza oficjalnym programem. Chcieliśmy odkryć coś nowego, co byłoby tylko nasze. Po skończeniu szkoły wspólny roczny wyjazd do teatru w Olsztynie, później dwa lata w Opolu. Nie baliśmy się pracy na prowincji. Nikt nie czekał aż sukces przyjdzie sam.

— Czy chciałby pan, aby Szkołę Filmową przeniesiono do Warszawy? Nie musiałby pan wtedy przyjeżdżać do Łodzi.

— Nie, to dobrze, że jest w Łodzi. Ale wolałbym, aby przeniesiono ją na ulicę Piotrkowską, wówczas byłoby już tam wszystko.

— Często pan podróżuje pociągiem?

— Pół życia spędzam w podróżach, ale one są bardziej męczące, niż egzotyczne. Do Łodzi przyjeżdżam nie tylko do Szkoły Filmowej, ale także i do Wytwórni Filmów Fabularnych, gdzie obecnie gram rolę majordomusa — Marszałek Wolski w filmie Majewskiego „Królowa Bona". W Katowicach u Michała Pawlickiego reżyserowałem „Damy i Huzary". Zakończyłem niedawno podróże do Budapesztu związane z realizacją filmu węgierskiego „W paszczy lwa".

— O czym jest ten film?

— O męskiej przyjaźni, która trwa od dziecka, i którą rozdziela wojna. Jeden z bohaterów jest księdzem, drugi współpracuje z Niemcami, za co po wyzwoleniu zostaje skazany na śmierć. Prosi wtedy o widzenie z przyjacielem. Dochodzi do dramatycznej rozmowy, konfrontacji dwóch postaw. To film psychologiczny, gram w nim rolę księdza.

— Wróćmy do pociągu. Co pan w nim robi spędzając tyle czasu?

— Wyjazdy pozwalają wyłączyć się z codziennej pracy. Na przykład z Warszawy do Katowic jedzie się cztery i pół godziny, można przemyśleć całe swoje życie. Ale to pozór Zwykle uczę się tekstu, aktualnie przerabianej roli, myślę o tym, co będę robił ze studentami na zajęciach. Myślę o swoim teatrze na Ochocie i jakie sztuki będziemy grali, i jeszcze o wielu innych sprawach, o których panu nie powiem.

— To niech mi przynajmniej pan dyrektor powie, jaki repertuar grany będzie w jego teatrze w najbliższym czasie?

— L. Kruczkowskiego „Niemcy", T. Zająca „Reporterzy" (prapremiera), „Żyj i pamiętaj" — W. Rasputina — adaptacja wspaniałej książki. Czy to wystarczy?

— Wystarczy A dokąd pan w ogóle jedzie z Teatrem Ochoty?

— Zawsze interesowała mnie społeczna funkcja teatru...

— Co to znaczy?

— Dlaczego pan mi przerywa?!

— Bo dojeżdżamy do Koluszek a ja mam jeszcze kilka pytań i obawiam się, że nie zdążę ich zadać.

— To niech pan szybciej pisze!

— Łatwo mówić, przecież ten pociąg trzęsie. Co to znaczy — społeczna funkcja teatru?

— To znaczy, że teatr może ludziom pomagać w życiu, tak jak szpital, czy apteka.

— A konkretnie?

— Konkretnie: po każdym spektaklu jest dyskusja z udziałem widzów i oni także wchodzą w skład Rady Artystycznej Teatru. Trzy razy w tygodniu spotyka się 50-osobowe ognisko teatralne. Od kilku już lat realizujemy przedstawienia plenerowe w Zamościu. Tam też organizujemy obozy szkoleniowe dla Kół Miłośników Teatru. W spektaklach grają młodzi aktorzy, kształcą swój warsztat, mają szanse bezpośredniej konfrontacji z widzem, który zapraszany jest na próby.

— Miałbym do pana prośbę.

— Słucham badawczo.

— Skończył mi się papier i nie mam już na czym pisać. Może ma pan jakieś wolne kartki?

— Mam. Zawsze wkładam czyste kartki do scenariusza, nad którym właśnie pracuję. A jadę dziś prosto po próbie „Kossakowskich" — fragmentów z „Horsztyńskiego".

— Po co panu te kartki?

— Pytał pan, co robię w pociągu. Więc, na przykład na tych kartkach zapisuję swoje uwagi o scenariuszu.

— Jakie to są uwagi?

— Jakie? Np. bez sensu, bzdura, wspaniałe...

— A oprócz scenariuszy, co pan czyta w pociągu?

— „Dialog", „Stolicę", „Express Wieczorny", „Literaturę", „Piłkę Nożną", „Życie Literackie". A jak wracam z Łodzi, biorę z sobą „Odgłosy".

— Czyta pan je regularnie?

— Tak. Oczywiście.

— Jechał pan pociągiem z kimś ważnym?

— Co to znaczy — ważnym?

— Ja wiem? Ministrem, olimpijczykiem, Marlonem Brando.

„Kiedyś zaprzyjaźniłem się z grupą sędziów piłki nożnej, przegadaliśmy całą podróż, telefonujemy do siebie od tej pory. Jestem zagorzałym kibicem tej dyscypliny sportu. Sam grałem w klubie „Włókniarz" w Aleksandrowie"

Foto: CAF

— Nie. Do Łodzi jeżdżę często z Romanem Kłosowskim, dyrektorem Teatru Powszechnego. Do Czechosłowacji ze Stanisławem Zaczykiem, bo graliśmy razem w filmie. I to wszystko. Rozczarowałem pana!

— Trochę. Co pan jeszcze robi w pociągu?

— Zwykle pracuję, albo śpię, chyba, że ktoś mi przeszkodzi, tak jak pan dzisiaj.

— Upuściłem torbę specjalnie. Przyzna pan, że to głupio budzić śpiącego człowieka i prosić o wywiad. Tak odbyło się to bardziej naturalnie.

— Mógł pan zagrać konduktora, to byłoby jeszcze oryginalniej.

— Nie umiem grać. Nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy.

— Cały czas pan gra, tylko w co innego.

— Za popularność się płaci. Często zdarzają się takie spotkania?

— Nieczęsto, ale się zdarzają. Wchodzę np do „Warsu", a bufetowa stawia przede mną pięćdziesiątkę koniaku — to od panów z tyłu — mówi. Tak było po serialu telewizyjnym „Daleko od szosy". Albo podchodzi panienka i — „przyrzekłam sobie, że muszę poznać pana i Fibaka". Kiedyś zaprzyjaźniłem się z grupą sędziów piłki nożnej, przegadaliśmy całą podróż, telefonujemy do siebie do tej pory. Jestem zagorzałym kibicem tej dyscypliny sportu. Sam grałem w klubie „Włókniarz" w Aleksandrowie.

— Jak to?

— Tak to. Jestem przecież łodzianinem. Chodziłem do III LO. Mieszkałem na Bałutach, ul. Marynarska 99.

— A nie miał pan bardziej agresywnych spotkań, nikt na pana nie krzyczał?

— Nie. Ludzie raczej mnie lubią. Gram zwykle role bohaterów sympatycznych, łatwo akceptowanych.

— To prawda. Jamesem Deanem polskiego kina raczej pan nie jest.

— Raczej nie. Tak się złożyło.

— Grał pan jakąś rolę w pociągu?

— Nie. W czołgu, w samolocie, nawet w łodzi podwodnej, ale nigdy w pociągu.

— W „Ostatnim dniu lata" odprowadza pan przecież ukochaną na dworzec.

— Mówię panu, że nie. Przecież to ja tam grałem i wiem lepiej. Tam tylko mówi się o pociągu.

— Może żonę poznał pan w pociągu?

— Nie. Poznałem w Szkole Teatralnej w Łodzi. Była studentką polonistyki. Tego dnia (tego ważnego dnia) zamknęli stołówkę i przyszła do naszej na ul. Gdańską 32, 1 tak to się kulinarnie zaczęło.

— Dobrze gotuje?

— A bo co? Chce się pan zaprosić na obiad?

— Co może pan jeszcze powiedzieć o pociągu?

— Przecież nie będę opowiadał o spotkanych dziewczynach, bo musielibyśmy jechać do Wiednia, nie do Łodzi.

— A dokąd pan w ogóle jedzie?

— A pan wie dokąd?

— A jakby pan zagrał pociągnięcie za hamulec bezpieczeństwa, który wisi nad nami?

— Pociągnąłbym za hamulec bezpieczeństwa Po prostu.

— Na pana miejscu odpowiadałbym ciekawiej. Czy za pana pisze wywiady jakiś znajomy dziennikarz?

— Nie. Ale może to pan zacznie dobrą passę. Będę miał wtedy więcej czasu na teatr.

— To niemożliwe, żeby nic ważnego w pana życiu nie wiązało się z pociągiem!

— Co pan się tak uparł na ten pociąg? Przecież mówiłem, że nie!!!

— A nie jechał pan nigdy pociągiem razem ze Zbyszkiem Cybulskim?

— Nie jechałem. Ale nareszcie pan trafił.. choć nie jest to historia z tego wywiadu. Miałem wówczas naprawdę trudną sytuację. Koledzy aktorzy bardzo mi pomogli. Nikt nie mówił, jak by to on zagrał. Wtedy jeszcze teatr telewizji transmitowany był na żywo i widać było każde potknięcie. Do emisji programu pozostało siedem dni. Uczyłem się dzień i noc — 47 stron tekstu. Poprosiłem o trzy dni przerwy i wszedłem wprost w próby kamerowe.

Poznaliśmy się jeszcze w czasie studiów, podczas artystycznego obozu szkoleniowego, był tam także Kobiela, Gogolewski, Gołas. Po premierze „Ostatniego dnia lata" on pierwszy mi pogratulował. Powiedział: „Przyjdź na moją premierę. Będą grali „Popiół i diament". Był 58 rok. Później spotkaliśmy się w „Pamiętniku znalezionym w Saragossie" Hassa. Współczuł mi, że tyle ról zagrałem w nie najlepszych filmach. „Masz pecha" — mówił. Tego feralnego dnia na Dworcu Głównym we Wrocławiu łapał „Odrę" do Warszawy. Chciał zdążyć na godzinę dziesiątą na próbę „Tajemnicy starego domu". Grał w tej sztuce główną rolę — człowieka który od 15 lat się ukrywa. O godzinie 8.20 zadzwonił do mnie telefon. Zagrałem za niego.

Rozmawiał: MAREK MILLER

*) Przesadza pan, panie Miller. (Red.).

SPRAWA TOMASZA

Tomasz Łosin — to nazwisko człowieka, którego znałem. Jego portret znajduje się w powieści, którą obecnie przygotowuję do druku. Fragmenty tej powieści przedstawiałem w łódzkim i warszawskim radiu, a także w prasie literackiej. Akcja rozgrywa się współcześnie na wsi. Tomasz jest tym bohaterem, który przypomina czas wczorajszy. Tomasz już nie żyje. Pozostawił po sobie dobrą pamięć. Najbardziej, co w nim wzruszało, to jego stosunek do wiedzy, do książki. Nie umiał czytać ani pisać. A przecież znał wiele książek. Za książki duszę by oddał. Tak o nim mówiono. Chodził po jarmarkach i odpustach i skupował stare druki. W ten sposób nabył niejedną cenną rzecz. Pamięć miał doskonałą. Potrafił powtórzyć wiernie to, co mu ktoś choć raz przeczytał. Zadziwiał ludzi swoją wiedzą. Był zadowolony, jeżeli ktoś go pytał: *skądże wy to wszystko wiecie?* Tomasz odpowiadał: *mam swoje źródła.* Dzisiaj już wiemy, że tymi źródłami były książki i szkoła. W notatniku, który zostawił nauczyciel Jasiński, zamordowany przez gestapo, znaleźliśmy wyjaśnienie. Tomasz przychodził regularnie do nauczyciela, a ten mu czytał książki, przeważnie historyczne. Te wizyty odbywały się przeważnie zimą, kiedy nie było roboty w polu. W ten sposób Tomasz zdobywał wiedzę. Poznał między innymi historię generała Dembińskiego, jednego z dowódców powstania listopadowego, który urodził się w tej wsi. Pod datą 24 czerwca 1927 roku Jasiński zanotował: *Czytamy w dalszym ciągu pamiętniki Dembińskiego. Jakąż pamięć posiada Tomasz! Wczorajszy rozdział zacytował prawie dosłownie.*

Czy w swojej praktyce spotkałem jednego tylko Tomasza? Tomaszów było więcej. Z jakim wzruszeniem odwiedzam Lipce Reymontowskie i rozmawiam z ludźmi, którzy przechowują pamięć o Reymoncie. Lista nazwisk, urzeczonych Reymontem i książkami jest długa. Trzeba by ją zacząć od Marii Nowickiej, towarzyszki pracy Tadeusza Kwaśniewskiego, autora scenariusza do widowiska *Wesele Boryny*, po wojnie opiekunki zespołu amatorskiego w Lipcach, od dyrektora szkoły Stanisława Chorązki, i trzeba by wymienić nazwiska wielu rodzin: Kuchtów, Pintarów, Koszewskich, Szychowskich, Zegarów, Pabianków, Marcinkowskich, Kuczkowskich, Październikich. W ich domach książka jest istotną treścią ich życia.

Przypominam sobie spotkanie we wsi Konopnica nad Wartą. Pisałem o tym swojego czasu w jednym z felietonów w cyklu *Zapiski kronikarza* w *Głosie Robotniczym*. Życie kulturalne Konopnicy ma dwa źródła. Pierwszym jest biblioteka, drugim teatr. Książka i teatr są nierozerwalnie złączone. Wobec braku repertuaru, wiele przedstawień to inscenizacje znanych powieści, jak na przykład *Starej baśni* Kraszewskiego. Pisałem o tamtejszej bibliotece i o teatrze amatorskim, który w tym czasie prowadziła nauczycielka Felicja Budzikowa. Notowałem: *to ona po lekcjach spędza w świetlicy gromadzkiej wszystkie popołudnia i wieczory na próbach i rozmowach. To ona wraz z gronem zapaleńców potrafiła stworzyć zespół legitymujący się dzisiaj poważnymi osiągnięciami. Zaraziła teatrem całą wieś.* Wówczas planowano budowę Domu Kultury. Wierzyłem, że ci ludzie dopną swego.

Przeglądam dzisiaj zapisy sprzed dziesięciu i piętnastu lat i nie cofam z tamtych spostrzeżeń i uwag ani jednego zdania. W moich podróżach po kraju spotkałem wielu ludzi oddanych książce. Pisałem o ich cichej i bezinteresownej pracy. Wiejskiego bibliotekarza nazwałem największym przyjacielem książki. A jeśli książki, to i pisarza. Bibliotekarz z natury rzeczy jest społecznikiem, nie żałuje czasu dla książki, uczy się i uczy innych. Zdarza się, że bibliotekarzem na wsi czy w małym miasteczku jest nauczyciel. Jest to bardzo szczęśliwe połączenie obydwu funkcji. Ludzie są głodni dobrej literatury, zarówno pięknej jak i politycznej czy naukowej. Świadczą o tym sondaże przeprowadzane w księgarniach i bibliotekach. Ale czy produkcja książkowa zaspokaja potrzeby czytelnicze? Czy biblioteki w Konopnicy, w Lipcach są należycie zaopatrzone? Niestety, głód jest pazerniejszy niż możliwości jego zaspokojenia. Nie od dzisiaj mówimy o brakach występujących na rynku wydawniczym i księgarskim. Kiedy czytam te dane, przypomina mi się portret chłopa, Tomasza, którego poza rodzinną wsią i gminą nikt nie znał, a który przez całe swoje życie szukał drogi do książki.

Z dyskusji, którą w jednym z ostatnich numerów opublikowało *Życie Literackie — Jakie są szanse kultury...*, wynika, że istnieje w naszym kraju duże zapotrzebowanie na książki. Prezes Spółdzielni Wydawniczej Czytelnik Stanisław Bębenek zasygnalizował jedną z możliwości zaspokojenia tego głodu: *Oceńmy* — powiada — *najpierw krytycznie nasz stosunek do bibliotek publicznych, których półki od lat nie są zapełniane nowościami wydawniczymi lub uzupełniane w niewystarczającym zakresie. Uważne spojrzenie będzie zarazem naszą samokrytyką. Pomagając bibliotekom stworzymy możliwości przeczytania wartościowych książek setkom tysięcy ludzi, których nie stać na kupno coraz droższych książek. I nie ma zresztą takiej potrzeby, ażeby wszystkie książki kupować na własność! Bogatsze od nas społeczeństwa opierają rozwój masowego czytelnictwa o dobrą pracę bibliotek. W dzisiejszych czasach tylko biblioteki mogą zrealizować hasło „Książka dla każdego".*

Władysław Machejek, który prowadził tę dyskusję, przypomniał na wstępie słowa I sekretarza partii, wypowiedziane siedem lat temu do intelektualistów polskich: *Nienadążanie za potrzebami w dziedzinie kształtowania świadomości społecznej odpowiednio do wielkości celów, jakie sobie wytyczamy, byłoby znacznie groźniejsze od trudności, które mogą występować w sferze warunków materialnych.*

Dla ludzi, których spotykamy na wieczorach autorskich i w bibliotekach, dla wszystkich Tomaszów, których czynimy bohaterami naszych powieści, książka jest równie potrzebna jak chleb i jak węgiel.

TADEUSZ PAPIER

Dalszy ciąg ze str. 1

tygodniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku. Zawierał, zwłaszcza jako całość, nieprzebraną ilość treści i informacji, ale z uwagi na ich ścisłą zależność od pulsowania zmiennych koniunktur historycznych, był to ocean bardzo trudny do osiągnięcia, mimo tego, że redakcja rokrocznie dbała o to, żeby wyposażyć swoich prenumeratorów w dokładne spisy treści. Systematyzacją wiedzy i informacji niepomiernie lepiej niż historia, niż czas, rządzi nieskomplikowany i prostoduszny alfabet. Łatwo się już teraz domyśleć, że moje szczęście w tym mglistym i zaśnieżonym dniu styczniowym polegało na tym, że w renomowanym, aczkolwiek robiącym ostatnio bokami antykwariacie — wyjaśnię jeszcze dlaczego — przy ulicy Świętokrzyskiej w Warszawie, udało mi się kupić „Wielką Encyklopedię Powszechną Ilustrowaną", której inicjatorem i wydawcą był na przełomie wieków redaktor „Wędrowca", Saturnin Sikorski. Encyklopedia ta, najobszerniejsza spośród tych, jakie kiedykolwiek zostały w Polsce wydane, poczynając od wzruszającego na swój sposób swoją monstrualnością dzieła Benedykta Chmielowskiego „Nowe Ateny albo Akademja wszelkiej scyencyej pełna..." z czasów saskich z jej słynnym „koń, jaki jest, każdy widzi" aż po dzień dzisiejszy — wychodziła w zeszytach w latach 1892—1914 i — mimo że ukazało się jej 55 tomów zgrupowanych w 25 woluminach — urwana została, niestety, na haśle: „Patrokles".

Oczywiście nie udało mi się kupić całości tego przerwanego w trzech czwartych dzieła, lecz zaledwie jeden jedyny wolumin, zawierający tomy XVII i XVIII. Na całość nie starczyłoby mi pieniędzy, a poza tym stanowi ona taką rzadkość, że nie spotyka się jej w ogóle, nawet w najbardziej renomowanych warszawskich antykwariatach. Nabyty przeze mnie wolumin stanowił więc jedynie drobną, choć i tak liczącą tysiąc stron z okładem, cząstkę wielkiego przedsięwzięcia. Otwierało go hasło „drogi bite", a kończyło hasło „ekliptyczne spółrzędne". Nie obejmował zatem pełni nawet dwóch liter, a ważył kilka kilogramów. Ukazało się na świecie wiele encyklopedii większych i obszerniejszych niż dzieło Saturnina Sikorskiego, ale myśmy bardziej imponujących rozmiarami po prostu się nie dorobili.

Dla porównania podam, że w Chinach w latach 1662—1722 ukazała się jedna z największych encyklopedii świata, zatytułowana „Tu-szu ci-czeng", czyli „Kompletny zbiór tablic i ksiąg starych i nowych czasów". Jej szanghajskie wydanie z roku 1898 liczy ni mniej, ni więcej tylko 1.628 tomów i nic dziwnego, że liczba ta przyprawia o zawrót głowy.

Kosztowała mnie ta frajda raptem trzysta złotych, a więc mniej więcej tyle, ile trzeba zapłacić za współczesny podręcznik seksuologii, i od razu zrodziło się we mnie pytanie, jak by tu zdobyć komplet. Zaproponowałem nieśmiało sprzedawcy w antykwariacie, żeby zapisał moje nazwisko i adres i w razie nadejścia jakichś innych tomów dał mi znać.

— Szkoda fatygi — odparł zniechęcony. — Ludzie z „Sikorskim" przychodzą do antykwariatu tak rzadko, że tą drogą pan nic nie uzyska. Doprawdy lepiej czytać rubryki ogłoszeń w „Życiu Warszawy".

Sprzedawcy w antykwariatach są zniechęceni, bo stare książki relatywnie staniały w porównaniu z nowymi i placówki te przeżywają ciężki okres, mając niewiele do zaoferowania klientom. Nie to jest jednak ważne. Istotne jest, czym różni się „Wielka Encyklopedya Powszechna Ilustrowana" od takiej na przykład, „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN" wydawanej współcześnie. Pierwszą rzeczą, która rzuca się w oczy, jest fakt, że dzieło Saturnina Sikorskiego nie jest wyłącznie protezownią naszej kalekiej wiedzy, ale encyklopedią przeznaczoną w pełnym znaczeniu tego słowa do czytania i lubowania się w niej. Takie, na przykład typowo inżynieryjne hasło „drogi" wraz z jego różnymi przyległościami, zajmuje w „Ilustrowanej" prawie osiemdziesiąt siedem stron formatu in quarto, zaś w „Pewuenie" tylko dwie. Opisowi Drohiczyna nad Bugiem poświęcono w „Sikorskim" blisko dwie strony wraz z piękną, miedziorytniczą ilustracją, zaś w „Pewuenie", zaledwie kilkanaście wierszy. „Sikorski" wylicza aż dziewięciu różnych Drohojewskich, „Pewuen" ogranicza się do dwóch. Jeśli ktoś chce naprawdę dowiedzieć się czegoś o drontach, czyli gołębiach olbrzymich, dropiach czy drozdach, nie ma co sięgać po „Pewuen", bo tam o nich niewiele. W „Sikorskim" natomiast masa informacji i to w dodatku kompetentnych i wiarygodnych, bowiem ptaki w ciągu osiemdziesięciu trzech lat niewiele się zmieniły. Oczywiście nie ma, bo nie może być w „Sikorskim" takich haseł, jak: „Druga Armia Wojska Polskiego", „Druga Dywizja Strzelców Pieszych", „Drugi Front", „Drugi Korpus Polski" Podarowała je nam najnowsza dopiero historia. Za to w „Pewuenie" nie ma hasła „druciarz", chociaż nic, poza skłonnością do nadmiernej powściągliwości nie przeszkadzało, by je umieścić. Za moich dziecięcych i młodzieńczych lat chadzali jeszcze po tym padole druciarze, zatrzymywali się na podwórkach i wołali przeciągle: gaaaaaarnki drutujeeeeeeę, nooooooże ostrzeeeeeę!

Niezamierzona jest zapewne dosadność, plastyczność i bogactwo języka użytego w „Sikorskim". „Drzewo — czytamy w ustępie o jego wadach — bywa sękowatem, powichrzonem, przemarzłem, zwichniętem, sitowatem, czerliwem, martwem, spróchniałem. A przecież podlega ono jeszcze rozmaitem chorobom... zapalenie strzały, pospolicie zwane g ł o w n i ą, powoduje stopniowe obumieranie drzewa od zewnątrz ku środkowi; głownia powstaje wskutek zewnętrznych uszkodzeń i objawia się przez odpadanie płatów kory. Szpara wewnętrzna czyli k r e s a l e ś n a jest to rozpadlina w samym środku drzewa, w podłuż przez rdzeń idąca; najczęściej się napotyka u dębów, buków, wiązów i sosen (...) R a k objawia się przez upływ zgniłych soków. O m a r powstaje wskutek napływu w jedno miejsce soków zgniłych, powodujących pękanie kory. O b a r, czyli osmół leśny, dotyka szczególnie sosnę i objawia się przez napływ żywicy ku wierzchołkowi drzewa. Inne choroby gałęzi i liści, nie wywierające zbyt wielkiego wpływu na dobroć drzewa, są gruczolaki żywiczne czyli m u c h y, grzyby na drzewie — h u b y, k o ł t u n czyli k u n i e c, otrząsanie sosny czyli opadania igliwia wskutek uszkodzenia przez owady, r d z a i r o s a miodowa na liściach i wiele innych".

Zaiste, prawda, że w „Sikorskim" jest pełno poezji, natomiast w „Pewuenie" obowiązuje dryl prozaiczny. Drzewo, bot. wieloletnia roślina drzewiasta o dużych rozmiarach, etc. Nikomu w „Pewuenie" nie przyszło też do głowy objaśnić, co to jest „drzewo genealogiczne". A „Sikorski" nie dość, że objaśnia, to jeszcze daje piękny sztych drzewa genealogicznego rodu Połubińskich rylca Tarasowicza.

Kraje, rzeki, jeziora, miejscowości, ludzie, obyczaje, zdarzenia historyczne, sławne postacie, rzemiosła i kunszty, choroby, przypadłości, ssaki, ptaki, gady, płazy, ryby, owady, rośliny opisane są w „Sikorskim" znacznie bardziej dokładnie, staranniejszym i barwniejszym językiem niż w „Pewuenie". Powie ktoś: Wszystko ładnie i pięknie, ale ów „Sikorski", to klasyczny leksykon nominalistyczny, odznacza się on mnogością pojęć konkretnych i namacalnych przy niedoborze pojęć ogólnych i abstrakcyjnych. Ilustruje on klasyczną dla XIX wieku empiryczną tendencję w rozwoju wiedzy, podczas gdy „Pewuen" ma charakter bardziej realistyczny, łączy fakty szczegółowe z ogólnymi, docenia teorię, nie poprzestaje na czystej praktyce I to nieprawda, bo w „Sikorskim" znalazło się jednak miejsce dla takich haseł, jak „dualiza", „dusza", „dyfrakcja", „dyfuzja" i inne. Nic, co już znane było nauce tego czasu, nie zostało przegapione, pominięte. To raczej „Pewuen" wiele spraw pomija z przyczyny tendencji do maksymalnej koncentracji treści, poświęcając takiemu władcy jak Czyngis-chan zaledwie kilka linijek, podczas gdy opis władztwa i podbojów Dżengis-hana w „Sikorskim" ciągnie się przez wiele stron, a nadto dołączona jest mapka podbitych przez niego terytoriów Mongolii, Chin, Turkiestanu i Persji, nie mówiąc już o rosochatym drzewie genealogicznym jego samego i potomstwa.

Jedyna istotna przewaga „Pewuenu" nad „Sikorskim" przejawia się w tym, że jest on bardziej zwarty i podręczniejszy w użytkowaniu. Ta zaleta jest jednak także jego wadą, jako że w ten sposób łatwiej z jego pomocą sztukujemy naszą wiedzę, ale nie zachęca on do smakowania w niej. „Sikorskiego" czyta się con amore, „Pewuen" kartkuje bez żadnych szczególnych wzruszeń. Ogromnie żałuję, że na przetrzebionych wojną półkach domowej biblioteki w moich latach dziecinnych i wczesnomłodzieńczych nie było „Sikorskiego", którego z całą mocą mogłaby się wówczas ucapić moja żywa jeszcze podówczas wyobraźnia. Dowiedziałbym się wówczas więcej o świecie, ludziach i zdarzeniach, nie mówiąc już o tym, że mój, ukształtowany na tak bogatym i różnorodnym kompendium język, byłby niepomiernie bogatszy i bardziej soczysty. Każdego, kto czyta arcydzieła Henryka Sienkiewicza: „Ogniem i mieczem", „Potop", „Pana Wołodyjowskiego" uderza ich językowa maestria. Te trzy powieści, dziś już

nie trzymają się na źle zinterpretowanych i wykoślawionych przez autora faktach historycznych. One ciągle jeszcze wznoszą się ponad fakty dzięki swojemu językowi dziewiętnastowiecznemu, rzecz jasna, ale przedziwnie i dobrze splecionemu ze staropolszczyzną. Nie mówimy już językiem Sienkiewicza, ale ciągle jeszcze zachwycamy się nim i czujemy jego żywe tętno. Trudno doprawdy zaprzeczyć, że jest to wielki triumf pisarza. „Trylogia" powstała wprawdzie nieco wcześniej niż „Wielka Encyklopedya Ilustrowana", ale poczęta jest z ducha tej samej, co i ona, epoki.

Wiele zyskujemy w miarę upływu lat i postępów cywilizacji, ale trochę także tracimy. Ubożeje przede wszystkim język, jakim posługujemy się na co dzień, ubożeje nie tyle, co do swojego zasobu leksykalnego, bo ten przecież powiększa się, lecz w sferze swojego żywego użycia. Sprawiamy wrażenie ludzi którzy coraz więcej spraw pragną załatwić przy pomocy coraz mniejszej ilości słów i jeśli nawet powodowani koniecznością tworzymy słowa nowe, nie bardzo potrafimy je obtoczyć, by stały się nam naprawdę bliskie. W wierszach poetów pełno chimer w rodzaju „ptak", „ryba", „kamień". prozaicy nie potrafią ponazywać drzew w lesie, ludzie nawet długo zasiedzieli w jednym miejscu niezbyt dobrze się orientują w mnogości nazw topograficznych charakterystycznych dla danej okolicy. Przeciętny warszawiak, zwłaszcza młody, wie nieźle o co chodzi gdy mowa o Śródmieściu, o Mokotowie, o Żoliborzu, o Woli, o Ochocie i obojgu Pragach, ale traci wiele ze swojego rezonu, gdy ktoś napomknie o Buchniku, Kalenicy, Kępie Tarchomińskiej, Choszczówce, Płudach, Nowodworach, Białołęce, Szamocinie. Mańkach-Wojdach, a nie są to przecież nazwy ulic lub podwarszawskich wsi, lecz dzielnice dzielnic, spośród których przytoczyłem zresztą zaledwie kilka. I, choć są jeszcze ludzie zdolni do tego, by żyć con amore nie tylko z XIX-wiecznymi księgami, lecz z otaczającym ich współcześnie światem, którzy znają te przytoczone i tysiące innych nazw, słuchamy ich niezbyt chętnie. Dzieje się tak dlatego, że nasz dostęp do zasobu leksykalnego języka nigdy nie jest prosty i bezpośredni. O jego mniejszym lub większym wykorzystaniu decyduje całościowa struktura naszego życia, są słowa potrzebne nam mniej lub bardziej, o pierwszych często po prostu zapominamy, jak o złożonych w zakamarkach mieszkania, potrzebnych jedynie od wielkiego dzwonu przedmiotach, drugimi posługujemy się do znudzenia, eksploatując je nawet wówczas, kiedy niezbyt nadają się do naszych celów.

XIX wiek, stulecie, które ma przecież zarówno swoich zagorzałych wrogów, jak i miłośników, wraz ze swoimi encyklopediami, słownikami, trylogiami, z romantyzmem, ewolucjami i pozytywizmem, z roszczącymi sobie pretensje do wyczerpania przedmiotu systemami filozoficznymi, był i nie był wiekiem gięźby i nadmiaru słów. Miał on swoją miąższość i soczystość, duch jego wynikał z wiary w całkowitą uchwytność i dotykalność rzeczy i procesów, nikomu jeszcze wówczas nie przyszło do głowy, że pomiar jakiegoś zjawiska tak dalece może zakłócić jego przebieg, że jakiekolwiek reguły i prawa z nim wiązane, będą mogły przybrać charakter statystyczny i prawdopodobny, nigdy zaś pewny i niezbity. Świat dopiero czaił się do swojego biegu. Hasła w encyklopediach, nawet te narażone najbardziej na ciosy ze strony historii, trwały długo niewzruszone, pojęcia w słownikach starzały się powoli, ówcześni encyklopedyści wierzyli w wieczne trwałość imperium królowej Wiktorii i w spokoju ducha redagowali nawet takie hasła, jak: „Iran", „Kanał Sueski" czy „Rosja". Wyobraźmy sobie dziś zespół redakcyjny jakiejś encyklopedii, który w roku jej publikacji zamieszcza w niej następujące komunikaty, utrzymane raczej w stylu dzisiejszego dziennika telewizyjnego, niż szacownego, mającego wystarczyć na całe dziesięciolecia wydawnictwa:

Jamajka już w roku 1845 posiadała linię drogi żelaznej z Kingston do St. Angel, 25 kilometrów długą, i tę w roku 1869 przedłużono o 18 kilometrów do Harbour; w roku 1893 było 153 kilometry dróg żelaznych.

Szczęśliwy wiek, chciałoby się powiedzieć. Gdyby to oczywiście była prawda. A nieco dalej możemy nawet znaleźć budżet znajdującej się jeszcze w budowie, bo zakończonej dopiero w kilka lat później kolei transsyberyjskiej. „Sikorski" nie lęka się zatem prawd wietrznych i ulotnych i w tym także pewien jego urok.

Kilka lat temu, w pięknym, wielotomowym reprincie przywrócono do cywilnego życia inne XIX-wieczne, mocno już nadwątlone i wyczerpane przedsięwzięcie wydawnicze, mam na myśli „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich". Słownik ten stanowi prawdziwą kopalnię wiedzy z zakresu geografii i historii wielu, nawet pomniejszych, miejscowości, o których ludzie zdołali dawno pozapominać, że za nimi stoi długa i często powikłana tradycja. Nie zaszkodziłby taki reprint ani „Wielkiej Encyklopedyi Ilustrowanej", chociaż doprowadzona jest tylko do hasła „Patrokles", ani „Encyklopedyi Powszechnej" Samuela Orgelbranda, ogłoszonej w dwudziestu ośmiu tomach w latach 1859—1868. Jest ona kompletna i pod wieloma względami nawet bardziej interesująca niż „Sikorski", wielki nasz podziw musi budzić fakt, że wydawca urzeczywistnił swoją wielką ideę w ciągu zaledwie dziewięciu lat, w środku których rozgorzało na naszych ziemiach powstanie styczniowe. W samym „Pewuenie" piszą obiektywnie, że „było to dzieło na ówczesne czasy wybitne". Nie szczędzą pochwał również „Sikorskiemu". Nowoczesna technika drukarska jak pokazał „Słownik", może zwrócić naszej kulturze te dwa ważne dzieła nadwątlone i straszliwie przerzedzone przez czas. Z nimi trochę tak jak z dobrym winem. Upływające lata przydają im tylko smaku. No i chciałbym także, żeby zmaltretowany antykwariusz wreszcie się do mnie mógł uśmiechnąć, jak od lat przystoi w tym fachu.

WOJCIECH ROSZEWSKI

ARCHIWALIA I ARCHIWISTYKA

W naszej mowie potocznej słowo archiwum wciąż jeszcze zbyt często kojarzy się nam ze zbiorem właściwie nikomu już niepotrzebnych papierków, które straciwszy swoją aktualność zostały usunięte w kąt po to, aby zrobić miejsce dla tego co najaktualniejsze: płynących jak rzeka coraz to nowych zarządzeń, okólników, wyjaśnień, rozporządzeń i sprawozdań. Spocząć w archiwum znaczy tyle, co wyłączyć z kręgu spraw ważnych i użytecznych, oddać myszom na pożarcie, a co najwyżej w ręce zasuszonych staruszków — archiwariuszy, snujących się wśród zakurzonych papierzysków niczym zjawy nie z tego świata. O tym, jak często nie docenia się znaczenia archiwów dla najróżniejszych potrzeb współczesności świadcza nierzadkie, godne ubolewania fakty niszczenia dokumentacji archiwalnej, z jakimi wypadało się nam nieraz spotykać. Historycy zajmujący się dziejami pierwszych lat Polski Ludowej wiedzą aż nadto dobrze — zarówno ci, którzy interesują się problematyką regionalną, jak i ogólniejszą — jak niefrasobliwość ludzka sprzed lat utrudnia nam dziś poznanie wielu istotnych zjawisk i procesów, jakie były naszym udziałem w tamtych czasach. Wiemy też, że nie jest to sprawa jedynie tamtych lat. Z pewnością nie pozbawione podstaw są postulaty, dotyczące udoskonalenia polskiego prawa archiwalnego, które — jak podkreśla czołowy przedstawiciel naszej archiwistyki — „powinno usankcjonować szereg nowych pojęć mających już zastosowanie w praktyce archiwalnej, uwzględniając zdobycze nowoczesnej archiwistyki w oparciu o teorię i praktykę". Domagając się zmian we wspomnianym zakresie archiwiści domagają się podkreślenia, „że dokumenty archiwalne stanowią źródło informacji o dotychczasowym życiu państwa i społeczeństwa, ich doświadczeniach ,dorobku i przeszłości historycznej, że materiały te w szczególności służą budowie socjalizmu, rozwojowi gospodarki narodowej, socjalistycznej kulturze i nauce oraz potrzebom obywateli. Ta czołowa funkcja materiałów archiwalnych powinna znaleźć swój wyraz w ustawie przy równoczesnym podkreśleniu, że dokumentami archiwalnymi są wszelkiego rodzaju akta, dokumenty, korespondancja, księgi, dokumentacja finansowa, techniczna i statystyczna, mapy i plany oraz fotografie, filmy, nagrania dźwiękowe i wideofonowe, a także inna dokumentacja bez względu na sposób jej wytworzenia".

Przydługi ten cytat zaczerpnąłem z książki naczelnego dyrektora Archiwów Państwowych prof. dr Tadeusza W a l i c h n o w s k i e g o zatytułowanej „Kierunki rozwoju archiwistyki polskiej", wydanej niedawno (1979) przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe pod auspicjami Zakładu Naukowo-Badawczego Archiwistyki NDAP. Myliłby się ten, kto z tytułu tej pracy wnioskowałby, że chodzi tu o jakąś hermetyczną rozprawę o znaczeniu jedynie poznawczo-historycznym. Książka T. Walichnowskiego jest pracą jak najbardziej zorientowaną ku problematyce współczesności, poświęconą przede wszystkim zagadnieniom społecznej użyteczności archiwów jako zasobów informacyjnych, które powinny być w szerszy aniżeli to dotychczas bywało sposób wykorzystywane dla potrzeb gospodarki narodowej, działalności kulturalnej, naukowej i oświatowej. Sprawy te rozważa autor spoglądając na nie z najróżniejszych stron w kolejnych studiach, które złożyły się na ten tom, kładąc akcent nie tylko na to, co już na ogół wiemy — że dokumentacja archiwalna ma istotne znaczenie dla dobrego przygotowania wszelkiego rodzaju obchodów, uroczystości, rocznic i tym podobnych — ale w szczególności na to, co jeszcze nie wszystkim wiadomo: że posiada ona kapitalne znaczenie dla konkretnych, wielkich potrzeb natury gospodarczej i społecznej. To, że materiały archiwalne, ukazywane na różnych wystawach, mają istotne znaczenie pedagogiczne i propagandowe, rzuca się nam wszystkim w oczy. O tym jednak, że archiwa posiadają zasoby, bez których nie sposób jest poważnie myśleć o rewaloryzacji zespołów zabytkowych, które mogą poważnie ułatwić modernizację miast i osiedli, podejmowanie tak ambitnych zamierzeń, jak regulacja wielkich rzek, o tym wszystkim wiemy stanowczo zbyt mało.

Sprawom tym poświęcił T. Walichnowski zamieszczony w omawianej książce szkic pt.: „Znaczenie zasobu archiwalnego dla potrzeb gospodarki narodowej". Odwołując się do konkretnych przykładów autor uzasadnia tu tezę, że „zgromadzone i opracowane dokumenty archiwalne w wielu wypadkach mogą być wykorzystywane obecnie i w przyszłości dla rozwoju socjalistycznej gospodarki narodowej" T. Walichnowski dowodzi, że „znaczny procent tych dokumentów może oddać wielkie usługi organom władzy i administracji państwowej" w najróżniejszych dziedzinach — zarządzania i innych, „przez dostarczenie technicznych czy też ekonomicznych rozwiązań, jeszcze dzisiaj w pełni przydatnych nauce w realizowaniu zadań badawczych", by nie wspominać już o znanej sprawie badań historycznych sensu stricto. Z pewnością też dobrze, że można dziś dostrzec — jak podkreśla to autor książki — coraz większe zainteresowanie materiałami przechowywanymi w archiwach ze strony czy to ekonomistów, planistów, czy projektantów, inżynierów, a nawet techników. Z pewnością też „istnieje realna szansa znacznego powiększenia liczby osób korzystających z materiałów archiwalnych, głównie dla potrzeb gospodarki narodowej".

Chodzi tylko o to, aby — z jednej strony — odpowiednie materiały archiwalne były odpowiednio uporządkowane tak, by mogły zostać wykorzystane dla owych celów praktycznych, oraz — z drugiej strony — by ci, którzy są potencjalnymi użytkownikami tych materiałów, stali się rzeczywistymi. Co się tyczy pierwszego z wymienionych aspektów zagadnienia, państwowa służba archiwalna uczyniła w ostatnich latach wiele, wychodząc na przeciw potrzebom kraju. Konkretne informacje o tych pracach przynosi książka T. Walichnowskiego. Nie wiem, jak jest z drugim z wyróżnionych aspektów, nie potrafię bowiem odpowiedzieć na pytanie, jak dalece ludzie, których praca wymagałaby sięgnięcia do zasobów archiwalnych dla takich lub innych potrzeb, mają tego świadomość w jakiej mierze wiedza, czego i w jakim zakresie mogą się po tych materiałach spodziewać. A przecież jakże często w życiu tak bywa, że to, co rozpoczynamy dziś w przeświadczeniu, że jest to najzupełniej nowe przedsięwzięcie naszych czasów, okazuje się... konkretyzacja zamierzeń, o których myśleli już nasi poprzednicy, którym nie dane było zrealizować swoich marzeń. Nie zawsze trzeba zaczynać świat od nowa: zasoby archiwów pomagają nam uświadomić sobie tę odwieczną prawdę.

ANDRZEJ F. GRABSKI

ROMANS W BARDZO ZŁYM GUŚCIE

JACEK INDELAK

Maria włączyła kierunkowskaz, wyprzedzając jadącą przodem furmankę. Przyhamowała lekko, wjeżdżając na most.

— *Czy ty spałaś w ogóle, bo ja chyba zasnąłem?* — Cezary pochylił się nad kierownicą i pocałował dłoń Marii.

— *Wiem, kiedy zaczęłeś równo oddychać, wypuściłeś moją rękę, a potem... potem ja też zasnęłam.*

— *Śniło ci się coś? Mawiają, że pierwsza noc jest bardzo ważna i warto zapamiętać, co się śniło.*

— *Śniło mi się chyba.*

— *Opowiedz!*

— *Ach, jakieś bzdury, nawet dobrze nie pamiętam.*

— *A mnie się chyba nic... chociaż, tak, też jakieś bzdury. Trudno się zresztą dziwić, pierwsza noc, ale nie pierwsza — normalna, jak trzeba.*

— *Czaruś, daj spokój!*

SEN CEZAREGO

Na pierwszym planie — czarne plamy drzewokształtne, odcinające się ostrym obrysem od jaśniejszego, szarogranatowego tła. Plamy opadają w dół, w położoną głęboko kotlinę, której dno wypełnia po części trudna do określenia budowla, otoczona wysokim murem. Jest to skrzyżowanie greckiego amfiteatru z renesansowym klasztorem i prawosławnym monastyrem. Dziedziniec, wyłożony prostokątnymi płytami z jasnego marmuru, oświetlony jest jaskrawie, a raczej cały jest wielką świetlną plamą. Plamą sprawiającą wrażenie esencji, koncentratu, magmy przenikliwie żółtego światła, wlanego w atramentowy mrok bezgwiezdnej, bezksiężycowej nocy. Na pierwszy plan przenika bezszelestnie, kryjąca się za czarnymi choinkowymi plamami, sylwetka. Płaska, wyraźnie zarysowana, męska, ze znamionami robinhoodowskiego stroju, z charakterystycznym kształtem kapelusza z piórkiem. Sylwetka naciąga łuk i wypuszcza niewidoczną strzałę, która wpadając w świetlną magmę dziedzińca staje się na moment widzialna i słyszalna. Z metalicznym pobrzękiem wbija się w sznare między marmurowymi płytami. Następny świst i brzęk, następny i następny. Sylwetek jest więcej. Zastęp cały, cała drużyna? Pojawiają się ze wszystkich stron, bezgłośnie i nieoczekiwanie. Napinają łuki. Świsty. Dziedziniec zamienia się w płaskiego jeża, wystawiającego do nieba długie, pierzaste kolce. Cisza. Wszystko zniknęło. Tylko ostatnia, wystrzelona przed ułamkiem sekundy strzała drga jeszcze. Na dziedziniec, z wtapiających się w mrok krużganków, wylegają mężczyźni równego wzrostu i równej tuszy, odziani w identyczne popielate habity ze spiczastymi kapturami, dokładnie ocieniającymi twarze. A może twarzy nie ma? Może są tylko kaptury? Cezary usiłuje krzyknąć, ale jest już za późno. Czyjaś dłoń, lepka i cuchnąca kurzym łajnem, zakrywa mu usta. Głośny trzask, niosący się echem w dolinie. To ręce wykręcono mu do tyłu. Ręka znika, pozostaje tylko kurzy smród i tłusty smak potu na ustach. Czyjś but ładuje mu na lędźwiach. Cezary spada w dół, zatrzymuje go jednak nagle szarpnięcie liny, uwiązanej wokół przegubów dłoni. Cezary zwisa na chwilę, z wyprężonymi w tył rękami, na linie, którą ktoś stojący na górze, zaczyna powoli popuszczać. Cezary zsuwa się, stacza, spełza, zlazi, sczłapuje, zgramola, szoruje w dół, wykopując kawałki darni, wyrzucając kamienie i wyrywając korzenie, które zsypują się przed nim, zsuwają, lecą — bezszelestnie. Znów szarpnięcie liny. Ziemia wyprostowała się: Cezary jest już na dnie kotliny. Rusza do przodu. Lina poddaje się jego ruchowi. Ciemny i płaski kontur muru rozświetla się nagle naprzeciwko niego rozwartą na oścież bramą, w którą prowadzi Cezarego szeroki most, obwieszony po bokach balustradą. Wchodzi w bramę i widzi dziedziniec, który okazał się być wielką szachownicą. Każde jej pole, jaskrawobiałe lub matowobiałe, jest zajęte przez człowieka w habicie. Nie wszystkie jednak pola są zajęte: cztery, położone w samym środku dziedzińca, są puste. Przekonuje się o tym Cezary, kiedy znów zatrzymuje go raptowne szarpnięcie liny, tym razem jednak nie w tył, lecz w górę. Lina wznosi się wysoko, a na jej końcu podynduje Cezary, przeniesiony szybkim ruchem nad puste pola i opuszczony nad nimi tak, że wisi na wyciągniętych w górę rękach, dotykając ledwie czubkami stóp marmurowych płyt. Cezary patrzy w górę, wzdłuż liny, która zrywa się jednak w pewnym miejscu, znikając w ciemności, jaka okrywa świetlną esencję, niczym szeroki i płaski dach. W zupełnej ciszy słychać delikatne poskrzypywanie liny, na której zwisa Cezary, i lekkie szurnięcia czubków jego butów, zawadzających o chropowatą powierzchnię kamienia. Odgłosy te nagle giną w burzy dźwięków, którą wywołują liczne bębny, kotły, gongi, triangle, talerze, tamtamy, zongory, conga, table, berimbaje, agoga, pandeira, cuicy. Habity zaczynają się kołysać i przenosić rytmicznie z pola na pole, aby w końcu otoczyć Cezarego dwoma kiwającymi się i dygoczącymi wiankami. Każdy habit ma w rękach okrytych szerokimi rękawami, dużą latarkę akumulatorową, której odbłyśnik wycelowuje wprost w oczy Cezarego, włączając i wyłączając na przemian światło. Otaczający Cezarego ludzie zaczynają śpiewać, narastający jednak grzmot instrumentów zagłusza tę pieśń, która tętni w uszach monotonnym mruczandem, z jakiego przedzierają się tylko fragmenty refrenu: salsa, salsa, zen, zen, zen, fiuta, fiuta, sen, sen, sen, dupa, dupa, brzdęk, brzdęk, kupa, kupa, lęk, lęk, lęk. Cezary wsłuchuje się w śpiew, czując równocześnie, jak ktoś zzuwa mu buty i zaczyna smyrać w podeszwy stóp. Chichocze więc, rzuca się, podciąga na rękach, huśta, podrygując. Próbuje krzyczeć, ale, zamiast krzyku, zwisa mu u warg duży komiksowy balonik, w którym pojawia się pięć wykrzykników. Muszę krzyknąć jeszcze głośniej, myśli Cezary, i usiłuje krzyczeć jeszcze głośniej, a w baloniku pojawia się dziewięć wykrzykników, które po chwili znikają. Nagle Cezary przestaje chichotać i hustać się, bo oto pojawia się nad nim, nie wiadomo skąd, Antoni trzymający potężny metronom w dłoniach. Na głowie ma on czerwoną błazeńską czapkę, której dzwoneczki pobrzękują zgodnie z ruchami taktomierza. Po odliczeniu dwunastu taktów Antoni rzuca z rozmachem metronom, który rozbija się o posadzkę. Wznosi w górę ręce i ruchem dyrygenta, kończącego symfonię, przerywa hałas i śpiew. Habity usuwają się na strony, ustawiając się w szeroki szpaler, którego początek zaczyna się pośrodku szachownicy, a koniec zbliża do bramy. Antoni zaś znika, tak jak się pojawił, z tym jednak, iż tym razem, nie wiadomo, gdzie. Cezary próbuje coś powiedzieć, nie słyszy jednak swojego głosu, za to w baloniku uczepionym jego warg pojawia się: Antoś! Antoś jednak znika, ustępując miejsca a ja was wszystkich pieprzę, wszystkich razem i każdego z osobna. Dalszy ciąg napisu w baloniku — już Lautré-amont, a później Breton — urywa się nagle, bo Cezary ląduje na posadzce i, nie wstając z niej, rozciera uwolnione od liny przeguby, spoglądając równocześnie w górę, skąd dobiega głos Antoniego: to wszystko, co mogłem dla ciebie uczynić, stary patałachu, na mnie już nie licz, wracam i mam się w dupie! Ledwie Antoni zamilkł, a już w bramę wdziera się, szybko przybliżający, ryk silników. Jak na żużlu albo motocrossie, myśli Cezary, obserwując wjeżdżające w dziedzińcowe światło dziewczyny na hulajnogach. Zapełniają powoli szachownicę, zatrzymują swoje hulajnogi, spokojnie stając obok nich. Jeden po drugim, gasną silniki. W ciszy, jaka nastała, Cezary spogląda na dziewczyny, a one patrzą na niego. Próbuje je liczyć, dochodzi jednak za każdym razem do sześciu i myli mu się rachunek, zaczyna więc od nowa i czuje, że powoli zasypia. Przestaje więc liczyć i przytomnieje natychmiast. Próbuje więc rozpoznawać wśród dziewczęcego tłumu znajome twarze. Też bez powodzenia: widzi tylko minispódniczki i maksispódnice, hot-panty i dżinsy, t-shirty i kimona, bikini i halki, majtki i bluzki, pończochy i kozaczki, torebki i rajstopy, biustonosze i chodaki. Wtem spośród tłumu wychodzi jedna z dziewcząt, przybliża się powoli i siada naprzeciw Cezarego, tak jak i on, po turecku, ze skrzyżowanymi nogami. Patrzy mu prosto w oczy. Wysokie, lekko zaokrąglone czoło. Wielkie niebieskie oczy z długimi rzęsami, pod łagodnie wygiętymi łukami szerokich brew. Mały nos z regularnymi chrapkami, nieznacznie zadarty u samego końca. Maleńkie uszy i wystające nieco kości policzkowe. Wysmukła zgrabna szyja z mleczną skórą, pod którą niebieszczą się miejscami drobniutkie tętnice. Dziewczyna przechyla na bok głowę i uśmiecha się ironicznie. Cezary próbuje unieść rękę — nie może! Próbuje coś powiedzieć, więc balonik wypełnia się koślawym, drżącym pismem: Gusiu, Gusieńko, błagam cię, nie patrz tak i, idź sobie, tak, idź sobie, idź jak najprędzej, nie męcz mnie, idź, bo nie jesteś z tej książki. Cezary szybko wymazuje z balonika: nie jesteś z tej książki, a na miejscu unicestwionego fragmentu pojawia się: nie jesteś z tego filmu. Znów rozpaczliwie wymachuje dłońmi i wypełnia balonik nową końcówką: nie jesteś z tego snu. Kiwa głową, oceniając zawartość balonika, którą uzupełnia o trzy wykrzykniki. Dziewczyna podnosi się. Zasłania twarz dłońmi o długich wąskich palcach, zakończonych błyszczącymi i wypukłymi płytkami paznokci. Odwraca się powoli, kiwając z politowaniem głową, i rusza w kierunku bramy, znikając po chwili w mroku. Cezary też wstał, obserwując ją. Kiedy dziewczyna znika, Cezary podskakuje nagle na jednej nodze, trzymając się za stopę. Syczy. To spadł mu z serca kamień, trafiając prosto w odcisk. Kulejąc z lekka, idzie Cezary w stronę dziewcząt, z których żadna, ani na chwilę, nie spuszcza go z oka. Cezary wchodzi w tłum, potrącając dziewczęta, potykając się o hulajnogi. Zagląda w twarze. Krąży po dziedzińcu. Zatrzymuje się nagle, zastanawiając nad pytaniem: zaraz, zaraz, co to ja chciałem? Aha, już wiem, co mi wypada, znalazł odpowiedź. Uświadamia sobie, że wypada mu poszukiwać Marii. W baloniku wypisuje się: Maryś! Marysieńko! Krąży, kręci się, przepycha, idzie do przodu i zawraca. Zauważa Marię w ostatnim rzędzie: w halce, ze spuszczoną głową. Idzie więc ku niej. Ktoś chwyta go za ramię. Odwraca się. Kaptur. Mężczyzna, który mu położył na ramieniu ciężką rękę, zrywa drugą dłonią balonik, uczepiony ciągle ust Cezarego. Balonik unosi się, wraz z napisem, w powietrze. Habit daje znak ręką, odwraca się tyłem do dziewcząt i wraca w stronę środka szachownicy. Kiwa jeszcze raz na Cezarego, który rusza powoli w jego ślady. Cezary idzie wolno, ociągając się, zatrzymuje się raz po raz, ogląda za siebie. Widzi Marię, która podnosi w tym momencie głowę. Jej usta układają się w spazmatyczny krzyk: Czaareek! Wyciąga ręce. Cezary robi krok w jej stronę, ale habit się znów zatrzymuje i ponownie daje znak. Cezary z odwróconą głową w stronę Marii idzie za swoim przewodnikiem, który prowadzi go do ustawionego na drugim skraju szachownicy fotela. Fotel ma wiśniowe obicie. Stoi na jednej wysokiej nodze. Nie, to nie noga, to gruba sprężyna, stwierdza Cezary, kiedy rozsiada się w fotelu. Z boku podchodzi inny habit, podsuwający mu na srebrnej tacy pękatą lampkę z koniakiem. Ordynarny, stwierdza Cezary, próbując koniaku. Pewnie jugosłowiański, domyśla się. Z drugiej strony kolejny habit podaje mu dużą księgę, oprawioną w zieloną skórę ze złoconymi tłoczeniami na grzbiecie. Trzeci habit, kłaniający się nisko, podaje mu okulary: wypukłe szkła w ciężkiej rogowej oprawie. Cezary rozkłada książkę, zakłada okulary. Nie czyta jednak, obserwuje jak dziesięć habitów roznieca ogień pod ogromnym kotłem, który przed chwilą wytoczyły gdzieś z ciemnych krużganków. Ogień wybucha wysokim płomieniem, a równocześnie znika światłość, zalewająca dotychczas dziedziniec. Robi się ciemno. Mrok czerwieni się tylko od ognia, liżącego postrzępionymi płomieniami dno kotła. Cezary patrzy, popijając koniak, którego co rusz dolewa mu dyżurny habit. Patrzy, jak habity podchodzą po dwóch, ujmują kolejne dziewczyny pod ramiona i unoszą je, wloką, ciągną, prowadzą, pchają, w stronę kotła. Wchodzą następnie po lotniczych schodkach z napisem: fly by lot, podwiezionych pod kocioł, z których wierzchołka wrzucają do kotła jedną dziewczynę po drugiej. Cezary unosi się w fotelu, aby przyjrzeć się bliżej całej operacji. Nie, nie wrzucają dziewczyn. Dziewczyny rozsypują się tuż przed schodami, na stopniach lub na szczycie schodków. Rozsypują się w bezładna sterte drukarskich czcionek, po części dziewiczych i błyszczących świeżym stopem, częściowo — zużytych i uwalanych farbą. Cezary wstaje z fotela. W tym czasie, kiedy idzie w stronę kotła, do schodków doprowadzane są ostatnie dziewczyny. Kiedy Cezary zaczyna się wspinać po stopniach, zdążyły już zniknąć wszystkie dziewczyny i podział się gdzieś wszystkie habity: dziedziniec jest zupełnie pusty. Cezary trzymając wciąż kieliszek z koniakiem w dłoni, pochyla się nad kotłem, do którego wpadają mu okulary. W ostatniej chwili zdołał przez ich szkła dojrzeć bulgoczącą srebrzystoszarą ciecz, wypełniającą kocioł. Ma mgłę przed oczyma, spadły mu przecież okulary. Trochę widzi, a bardziej czuje, jak z wnętrza kotła, z rozżarzonej ołowianej lawy wychyla się ręka, która sięga jego twarzy i łagodnie gładzi po policzkach, ociera się o włosy.

PRIMAVERA

— *Mama? Pracuje w centrali handlu zagranicznego, a ojciec jest trochę inżynierem, trochę urzędnikiem. W sumie nieciekawa sprawa* — powiedział Cezary, siadając na postrzępionym dywaniku u stóp krzesła, które zajmował przed chwilą.

— *Dlaczego, Czaruś? Wszystko jest bardzo ciekawe, nigdy nic nie chcesz mówić o swoim domu, swojej rodzinie, tylko ja ciągle muszę opowiadać i opowiadać, a przecież wiesz, że nie za bardzo potrafię.* — Maria pochyliła się nad nim, muskając palcami jego czuprynę.

— *Lubię, jak mówisz, nawet nieważne co, byle słyszeć twój głos.* Masz taki ładny, łagodny i nieśmiały. *A tak, w ogóle, tylko ty się liczysz, tylko ty jesteś ważna, chcę wiedzieć wszystko o tobie.* — Cezary przytulił twarz do kolan Marii, mocno zwartych ze sobą. Obcałowywał i gładził jej nogi, wtulając w końcu twarz między kolana. Pozostał w bezruchu, kiedy Maria poczęła głaskać obiema dłońmi jego głowę.

— *Ślicznie pachniesz* — powiedział, chwytając oddech.

— *Czaruś, proszę!*

— *Pachniesz zapachem naszych spacerów, lasem, łąkami, sobą. Chodź!* — Podniósł się z kolan i pociągnął Marię za ręce w stronę rozłożonego, nakrytego pasiastym kilimem tapczanu. Maria posłusznie usiadła na tapczanie, opierając się plecami o ścianę. Cezary wyciągnął się na wznak, w poprzek tapczanu, składając głowę na udach Marii.

— *Cudownie, wiesz, jak fajnie wyciągnąć się tak i leżeć... Ech, co ty tam, mała wiesz?*

— *Napracowałeś się dzisiaj, no, z czego się śmiejesz?*

— *Jesteś zachwycająco prozaiczna. Tak, napracowałem się, a wszystko przez Antka, pogania mnie i pogania. Chce jak najszybciej to skończyć, żeby na żniwa zdążyć jeszcze w swoje strony. Zbiera się już do odlotu.*

— *Szkoda, a ty?*

— *Przecież wiesz, że z nim nie pojadę, gdzie mi będzie lepiej, niż tu, przy tobie? Żeby mnie tylko twój tata z roboty nie wylał, patrzy ostatnio tak jakoś podejrzliwie.*

— *Może? Sama nie wiem, a przecież gdyby, to ty nie jesteś taki... Nie wierzę Helenie.*

— *W co nie wierzysz?*

— *Takie różne rzeczy mi mówiła, o chłopcach w ogóle i o tobie, ale ja jej nie wierzę, bo ty nie jesteś taki.*

— *Jaki?*

—*Taki, nieprawdaż?*

— *Odpowiedź precyzyjna i konkretna, niech i tak będzie. Mówiłem, że z towarzystwem z mojej grupy mieliśmy się wybrać do enerdowa. Stopem. Poszwendać się trochę. Za parę już dni zresztą. Wiesz, jak teraz sobie pomyślę, że jeszcze przed paroma tygodniami mogłem robić takie plany, to na śmiech mi się zbiera. Umarł król, niech żyje król!*

— *Nie pojedziesz? Nie żal ci?*

— *Żal! Żal! Żal! Strasznie żal!* — Cezary przekręcił się na bok, odsuwając coraz wyżej skraj sukienki: obcałowuje nogi Marii.

— *Czaruś, proszę, zostaw!* — mówi Maria, kiedy usta Cezarego docierają do pachwiny. Podnosi jego głowę i całuje w czoło.

— *Dlaczego? Wczoraj w lesie byłaś znacznie milsza!*

Fragment powieści pod tym samym tytułem, która ukaże się wkrótce nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej.

„REWIZOR"

TEATR

Melpomena, jak to Melpomena, bywa pod swoim wozem, bywa i na wozie. W minorowym tonie mówiło się ostatnio o łódzkim Teatrze im. Jaracza, był to jednak ton nie całkiem uzasadniony. Jedno nieudane *Wesele* Canettiego, jeden matołkowaty Koziołek według Makuszyńskiego, przykryły jakoś to, co się w tym teatrze zdarzyło dobrego. Myślę o *Daczy* Iredyńskiego i o *Piosenkach z teatru* Hertla. Że to co kiepskie na dużej, że to co dobre na małej scenie? Bywa. Nie wszystko daje się wyliczyć, przewidzieć (choć matołka można było).

Wszystko to, a także spis przyszłych premier sezonu, dało Irenie Kellner w *Teatrze* asumpt do kassandrycznych uwag, które przepełniły kielich. Opatrzyła je wprawdzie autorka zastrzeżeniem, iż *realizacja wymienionych pozycji być może w pełni uzasadni ich obecność w repertuarze*, ale i tak gorzko było, gorzko. Co się stało, to się stało — to jest do oceny; oceniać przyszłość jest zajęciem, nie powiem, że niewykonalnym, ale bardzo ryzykownym. Bo, a nuż repertuar ten ma jednak swoją wewnętrzną logikę?

I oto nagle eksplodował (na dużej już scenie) *Rewizor* Gogola, przedstawienie, które, można to już dziś przewidzieć, stanie się szlagierem sezonu. Ucieszy się z tego zapewne i Irena Kellner (*godne uznania — „Rewizor" Gogola* — pisała w uwagach o repertuarze) ucieszy się i zespół, którego praca nie poszła na marne, a który ostatnio chodził z nosami na kwintę, Melpomena u Jaracza znów na wozie.

Powiedziałem, że *Rewizor* eksplodował i nie wycofuję się z tego pirotechnicznego określenia. Jest w tym przedstawieniu parę nawet eksplozji, jest w nim niszcząca siła.

Grywany był *Rewizor* na różne sposoby. Na ogół jednak zapamiętuje się z niego historyjkę o facecie, który okpił głupich mieszkańców głupiego miasteczka. Ponieważ zdarzenie takie jest samo w sobie dość banalne, pamięta się z niego także, na ogół, kilka barwnych, charakterystycznych ról (reżyserzy dbają, aby spektakl był dostatecznie śmieszny). Przy takich ujęciach moment, w którym Chlestakow zaczyna oszukiwać świadomie, przesuwany bywa możliwie blisko początków akcji — ten manewr pozwala spiętrzać *komiczne* sytuacje. (Jeden z wariantów takiego rozwiązania zastosował Jerzy Gruza w inscenizacji telewizyjnej).

Tymczasem siła *Rewizora* tkwi w czym innym. Nie w komizmie jako takim, nie w śmieszności, lecz w tragikomedii. I tym właśnie tropem, tropem groteski psychologicznej, poszedł rosyjski reżyser Walery Fokin, realizujący ostatnią premierę Teatru Jaracza. Kiedy rozmawiałem z nim przed premierą, określił swoje usiłowania, jako zmierzające właśnie w tę stronę. Nie interesowały go w tej realizacji efekty teatralne płynące z zewnętrznych atrybutów komediowych, a więc aktorstwa opartego o typ postaci (te brzuchy, nosy, ostra charakteryzacja, itp.), rozwiązań sytuacyjnych prowadzących do rozbawienia widowni. I choć się co rusz śmiejemy podczas jego przedstawienia, to jednak śmiejemy się tak, jak gdyby słynne słowa Horodniczego: *Z czego się śmiejecie? Z siebie samych się śmiejecie*, wypowiedziane były nie w finale, lecz w prologu.

Dociera Fokin swym przedstawieniem do podstawowych pytań zadawanych przez Gogola *Rewizorem* — dlaczego ci ludzie są jacy są, co ich ukształtowało. Położenie nacisku na spryt Chlestakowa z jednej, a na głupotę Horodniczego i jego kompanii z drugiej strony, byłoby ucieczką od tych zasadniczych przecież pytań. Dlatego u Fokina głupcem jest nie kto inny, ale właśnie Chlestakow — długo, długo nie może się zorientować w co jest grane i jak wielkie korzyści może z tej gry wyciągnąć. Początkowo sądzi, że łaski mu okazywane płyną z kaprysu, lub z dobroduszności Horodniczego; później, po pijaństwie, sytuacja go bawi, ale ciągle jest niejasna — pozwala sobie świadczyć usługi, dawać pieniądze, ale nie rozgryzł jeszcze na dobre w czym rzecz; prawdziwym fałszywym rewizorem staje się dopiero wtedy, gdy dostrzega, że jego spojrzenie wywiera magiczny wpływ, że ci ludzie boją się go. Mógłby wyciągnąć znacznie więcej, gdyby spostrzegł to wcześniej, a tak, ot, głupiec...

Nie jest za to głupcem Horodniczy i nie z głupców składa się jego świta. Po prostu w układach, w jakich żyją, nie mogą postępować inaczej. Straty, jakie ponieśli, fetując fałszywego rewizora są niczym w porównaniu ze stratami, jakie by ich dotknęły, gdyby źle potraktowany rewizor okazał się rewizorem prawdziwym. Stracili, owszem, trochę pieniędzy (straty „moralne" się nie liczą, bo we własnym kółku nie ma kto ich oceniać). Gdyby zaś rewizor był rewizorem, straciliby wszystko. Dlatego w gruncie rzeczy tak lekko przyjdzie im przełknąć wiadomość o tym, że zostali oszukani. Nie ma dramatu — początkowo osłupienie, później kupa śmiechu i koniec. O wiele ważniejszą okaże się wiadomość, że przyjechał rewizor prawdziwy. Żadnego jednak popłochu (tak zresztą, jak i na początku) — Horodniczy wyda rutynowe polecenia, podwładni spełnią je z pełnym zrozumieniem i spotkanie z Chlestakowem będzie można potraktować jako próbę generalną przed prawdziwą już tym razem wizytą.

Takie odczytanie *Rewizora*, którego interpre-

FILM

ŻYĆ BEZ PRZEWIĄZANYCH OCZU

Jest kilku w światowym kinie reżyserów, których twórczość możemy śledzić bez większych luk i opóźnień. Należy do nich czołowy dziś filmowiec Hiszpanii i w niej swe filmy realizujący — Carlos Saura. W ciągu ostatnich lat oglądaliśmy jego: „Polowanie", „Mrożony peppermint", „Ogród rozkoszy", „Anna i wilki", „Kuzynka Angelika", „Nakarmić kruki", „Eliza, moja miłość". Obraz jego twórczości dopełnia obecnie film „Z przewiązanymi oczami". Pięć z wymienionych tu tytułów uzyskało nagrody na festiwalu w Cannes i Berlinie Zachodnim, a Carlos Saura w świadomości wielu stał się reprezentantem tego, co w odkrywanej obecnie kulturze hiszpańskiej ostatnich dziesięcioleci najszlachetniejsze w sensie wartości ideowych, moralnych i estetycznych.

Wszystkim, którzy śledzą z uwagą twórczość Carlosa Saury, jawi się ona jako zjawisko niezwykle jednorodne choć analiza stylu autorskiego pozwala ujawniać niezwykle dynamiczną jego ewolucję. W jej wyniku stał się Saura mistrzem narracyjnego kunsztu i wespół z Luisem Bunuelem tworzy wrażenie, że jest to absolutnie hiszpańska specjalność. Głównymi wyznacznikami narracyjnego stylu Saury są: wielopłaszczyznowość czasu oraz związane z nią zatarcie granic pomiędzy tym, co rzeczywiste i obecne a tym, co jest wspomnieniem, wyobrażeniem czy snem. Wszystkie jego ostatnie filmy, a więc i „Z przewiązanymi oczami" są mozaikami i swoistymi rebusami, których rozwiązanie i w ślad za nim idące interpretacje należą do widza zmuszonego do ciągłej aktywności intelektualnej i emocjonalnej. Zawiłości narracyjne filmów Saury nie są jednakże pustym popisem stylistycznym. Owo „jak" pozostaje w ścisłym sprzężeniu zwrotnym z owym „co", domagającym się odnalezienia ekwiwalentnych wobec niego środków.

W dusznej, pełnej niepokoju atmosferze, żyją ludzie, których sposób bycia, czyny i świat wewnętrzny określane są przeszłością i wspomnieniami. Każdy, w kolejnej opowieści Saury zindywidualizowany los jej bohatera pozostaje cząstką zbiorowego, narodowego doświadczenia. Dochodzi ono do głosu w jednych filmach silniej i wyraziściej, w innych jest obecne w sposób trudny do bezpośredniego odkrycia i opisu. Ta dramatyczna obecność historii, ciążącej na każdym przedstawionym przez Saurę życiu i kształtującej osobowość poszczególnych postaci, jest najbardziej znamiennym rysem twórczości hiszpańskiego reżysera. Jego filmy są analizą frankizmu, dokonywaną głównie poprzez tropienie jego konsekwencji psychologicznych i moralnych. Psychologizm filmów Carlosa Saury prowadzi do ujawnień i oskarżeń tych skutków ideologii i systemu, których nie obejmie żaden raport uświadamiający najbardziej tragiczne cyfry, mówiące o ofiarach terroru frankistowskiego, ekonomicznych zaniedbaniach kraju i klęskach narodowej kultury.

Temat filmu „Z przewiązanymi oczami", który dotyczy spraw politycznego terroru i terroryzmu przekracza jednak granice Hiszpanii. Wedle informacji samego Saury bezpośrednią inspiracją dla powstania filmu był osobisty udział reżysera w pracach sympozium, zorganizowanego w Madrycie w 1977 roku i poświęconego problemowi przemocy i terroru wojskowych dyktatur w Ameryce Łacińskiej.

W sposób znamienny dla tego reżysera sprawy te rozważane są w jego filmie poprzez indywidualną perspektywę przeżyć głównych bohaterów. Gwałt czyniony na wolności osobistej człowieka wyzwala określone postawy i one właśnie stają w centrum uwagi reżysera.

Wnikliwa analiza psychologiczna pary bohaterów — Luisa (rewelacyjny aktor Jose Luis Gomez) i Emilii (wspaniała heroina filmów Saury, a także jego żona — Geraldine Chaplin) przynosi ich przejmujące i wyraziste portrety. Fabularną kanwę, nie prosto zresztą konstruowaną przez odbiorcę opowieści, tworzy historia miłości Luisa, teatralnego reżysera i Emilii, kobiety, która porzuca wygodne mieszczańskie życie. W rozbitych fragmentach dziejów tego uczucia znajdujemy rozważania o oczyszczającej funkcji dojrzałej miłości, o roli sztuki w życiu człowieka, o znaczeniu dążenia do pełnego poznania samego siebie, o cywilnej odwadze i potrzebie zachowania własnych przekonań i godności.

Uczuciowe i moralne przeżycia Luisa i Emilii przebiegają w ścisłym związku z powszechnym ludzkim doświadczeniem dzisiejszych czasów, których znakiem jest przemoc stosowana wobec jednostki ze strony militarnych i policyjnych systemów oraz różnych terrorystycznych organizacji.

Carlos Saura mówi o tych sprawach w zwykły dla siebie sposób, to znaczy to, co obiektywne i wspólne, wynika z doświadczenia indywidualnego. Luis, przeżywając swą miłość z Emilią, prowadzi teatr-laboratorium, w którym zamierza wystawić spektakl o przemocy i terrorze. W artystycznej wizji pragnie wyrazić obiektywne fakty i swą własną świadomość i postawę. Uczestnicząca w tych działaniach Emilia dojrzewa wewnętrznie jako człowiek społeczny. Z każdym kolejnym fragmentem filmu zacieśniają się związki pomiędzy tym, co zewnętrzne i obiektywne a tym co najbardziej osobiste i indywidualne. Czynnikiem spajającym te dwie perspektywy jest sztuka.

Dramatyczny finał, w którym spektakl teatralny staje się życiem i z sali padają nie inscenizowane już strzały, kończy film akcentem pełnym grozy, uświadamiającym niszczącą siłę przemocy. Żegnamy jednak bohaterów filmu z przekonaniem, że przyjdą następni, którzy nie będą chcieli żyć z przewiązanymi oczami. Moralny sens filmu Carlosa Saury tę wiarę bowiem w nas utrwala.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

SAGA RODU MAŁOLEPSZYCH

Przedefilowali przez nasze szesnastometrowe salony Forsyte'owie, wywodzący się z Plantagenetów Palliserowie, burżuazyjni państwo Rius, dekadenccy Połanieccy. Gościli zabiegani Leśniewscy oraz inżynierostwo Karwowscy. Ci najbardziej spragnieni wizyt przyjmowali Raskenów i „ostatniego z Hamrów".

Pióru Mariana Pilota („jestem pisarzem tak trudnym, że nawet krytycy mieli trudności z odczytaniem moich książek") i jego doświadczeniu („mieszkałem na wsi czternaście lat" — z biografii wynika, iż było to mniej więcej w latach 1936 — 1950) zawdzięczamy kolejnych znajomych — krzepko-chłopskich Małolepszych (w ośmiu odcinkach i trzech pokoleniach). O wiejskie doświadczenia reżysera („spędzam na wsi znaczną część swojego czasu" — czytaj „mam dacze"?), autora zdjęć i aktorów („taksówkarz, który przywoził nas na plan uczył mnie jak trzymać grabie" — mówiła serialowa Wanda) nie będę rozpytywał: byłoby to tyleż bezproduktywne co demagogiczne.

Intencje pomysłodawców i realizatorów serialu „W słońcu i w deszczu" były wynalazczo proste. Ze względu na niedostatki tematu wiejskiego w TvP należy podjąć fabułę ktora wypełniłaby tę rażącą lukę. Oczywiście w odcinkach — telewidzowie kochają długie opowieści. Najlepiej, aby to był obraz współczesny, który byłby w stanie pomieścić i nieobojętną funkcję perswazyjną: cywilizacyjne i ekonomiczne przemiany wsi polskiej lat siedemdziesiątych. Te słuszne skądinąd założenia musiały przybrać określone formy narracyjno-fabularne, bo przecież nie można dublować audycji „Radzimy rolnikom". Bo teatrem został Bolek Małolepszy, rozrośnięty, o szczerej twarzy przedstawiciel pokolenia wkraczającego w gospodarskie szranki. Umiera właśnie ojciec hołdujący tradycyjnym sposobom produkcji rolnej, która nie jest w stanie nadążyć rozbuchanym apetytom rozpartych w fotelach telewidzów. Cóż robi miejscowy Kmicic zwany ze swojska „Bolek — chuligan"? Najpierw przy pomocy orczyka i sztachety rozprawia się z czyhającym na działy rodzeństwem. Potem bierze pożyczkę i rozpoczyna budowę nowoczesnej tuczarni. Tu scenarzysta zaznaczył trudny problem materiałów budowlanych. Dalej trzeba było pomyśleć o jakimś wątku erotycznym — serial bez perypetii miłosnych, to jak koń bez podkowy. Ale Bolek coś niemrawo zabiera się do żeniaczki, a tu w perspektywie kilka odcinków. Trzeba to uatrakcyjnić. Pierwsze konkury będą zatem nieudane i skończą się męską walką na pięści. Rywal okaże się silniejszy. Zdesperowany bohater nawiązuje korespondencję z biurem matrymonialnym. Aby jednak jego jurna młodość znalazła ujście wymyślono młodą wdowę, atrakcyjną i spolegliwą (przepraszam prakseologów za terminologiczne nadużycie). A wątek sensacyjny? Proszę bardzo — jest i kradzież konia, pogonie, akcje MO no i kolejna bijatyka. Są i nadużycia na budowie i trudna przyjaźń, którą cementuje jeszcze jedna bójka. W tym czasie Bolek się żeni z panną z pobliskiego PGR (okazja do zaakceptowania rolnictwa kolektywnego). Wszystko to (konflikt żony z teściową, sprzedaż konia — dumy i sławy Małolepszych, itd. itd.) kończy się szczęśliwym rozwiązaniem: rodzinie przybywa trzecie pokolenie. A imię jego Feliks. Prawda, że piękna to metafora?

Żarty, żartami — a przecież trzeba powiedzieć wprost: był to serial nieudany. Rwały się wątki, szeleścili papierem bohaterowie (z wyjątkiem starszej pani Małolepszej w dobrym aktorstwie Wandy Łuczyckiej), brakło głębszej motywacji psychologicznej ich działaniom, a i „obraz polskiej wsi" został rozkawałkowany na rodzajowe (realizatorzy mieli pomysły) epizody i scenki, które wbrew oczekiwaniom, kształtowały się pod wpływami inercyjnych stereotypów, potocznych o wsi wyobrażeń. Trochę Reymonta, trochę Mrożka, trochę widoczków z okien samochodu, którym mija się wsie po drodze, nieco publicystyki przekręconej przez maszynkę scenariusza i ot cały efekt. Nawet owe cywilizacyjne przemiany są w serialu ledwie markowane (traktor, którym Bolek rozwala płot, ta tuczarnia, która jakoś została zbudowana i coś w niej się tuczy, ekspres do kawy obok łapki na myszy etc.) jako to konieczne...

A język? Stylizacje z Adalberga („mądrości ludowe") i miszkulancje gwarowe, które przywołują na myśl język Kalego, rzeczywiście potwierdzają autoocenę scenarzysty — niełatwe to pisarstwo, nie tylko dla krytyków.

Za jakiś czas przeczytamy, że serial uzyskał wysoką „oglądalność", a przeważający procent telewidzów wystawił mu noty dobre i bardzo dobre. Niedzielna „Stopklatka" (z niej pochodzą cytaty w nawiasach) już to zapowiadała.

GRZEGORZ GAZDA

P.S. Nie bez satysfakcji oglądałem audycję „Pytania i odpowiedzi", w której jednomyślnie i nad wyraz zgodnie Jerzy Adamski, August Grodzicki, Lesław Bajer, Roman Szydłowski i Rita Gołębiowska przyparli do muru, a raczej do kulisy poniedziałkowego teatru TvP Jerzego Pawła Gawlika. Pytania, które przy okazji tego „wszyscy na jednego" padły, domagają się rzeczywistych odpowiedzi. I rychłych.

MUZYKA

CHLUBA POLSKIEJ DYRYGENTURY

„Mierzą go repertuarowe standardy: uwertura — koncert — symfonia. Te same symfonie Beethovena czy Brahmsa powtarzane dookoła Wojtek!" — pisał w 1970 r. Jerzy Waldorff o Andrzeju Markowskim, prowadzącym ostatni koncert w PR. — „Zdobywając także coraz wyższą pozycję i uznanie za granicą, Markowski jest chlubą polskiej dyrygentury". W czasie okupacji hitlerowskiej studiował kompozycję u Artura Malawskiego a po wojnie ukończył studia w PWSM w Warszawie (kompozycja — Piotr Rytel dyrygentura — Witold Rowicki). Brał czynny udział w „Jesieniach Warszawskich" prezentując utwory polskiej i europejskiej awangardy muzycznej, a w 1966 r zainaugurował we Wrocławiu doroczne letnie festiwale oratoryjno-kantatowe „Wratislavia Cantans".

I cóż usłyszeliśmy, jako główny punkt programu, w wykonaniu tego, zdawać by się mogło, antyromantycznego dyrygenta? — II Symfonię D-dur op. 73 Brahmsa. W związku z utworem kompozytor straszył swego wydawcę Simrocka: „Nowa Symfonia jest tak melancholijna, że Pan tego nie wytrzyma. Nigdy nie napisałem czegoś równie smutnego" Oczywiście, dworował sobie, bowiem w stosunku do pozostałych trzech symfonii Brahmsa, Druga jest z pewnością nieporównanie lżejsza i pogodniejsza, chociaż nie brak w niej akcentów smutku i melancholii w I i II części, które zdradzają pewne pokrewieństwo z dwiema częściami VIII Symfoni h-mol „Niedokończonej" Franciszka Schuberta.

Andrzej Markowski nie przejął się specjalnie tym, że jak powiedziano, w żyłach tej symfonii płynie „wiedeńska krew mozartowska", ani, że jest to utwór późnoromantyczny, prowadząc tę kompozycję w sposób doskonale obojętny. Średnia gradacja temp, średnia wymowa emocjonalna (krótkim smyczkiem grające wiolonczele w I części, powstrzymana kulminacja puzonów w części II), średnia żartobliwość Scherza, w czasie którego kontrabasista spoglądał na zegarek, jakby pracował na godziny „zlecone"... Dopiero finał wraz ze wspaniale błyskotliwą codą przypomniał nam, że mamy do czynienia z dyrygentem wysokiej klasy. Niewątpliwie część winy za to „uśrednione" wykonanie spada na instrumentalistów, którzy czasami nie wytrzymywali trudnych partii solowych (rogi, trąbki), natomiast to, że symfonia była nudna i nieprzekonywająca, zawdzięczamy przede wszystkim dyrygentowi.

Solistą programu był jugosłowiański skrzypek młodego pokolenia Jovan Kolundzija, w którego wykonaniu musieliśmy wysłuchać III Koncertu skrzypcowego G-dur Mozarta (KV 216), o którym Alfred Einstein pisze, że „jeśli w twórczości Mozarta zdarzył się cud, to jest nim powstanie tego Koncertu na tym etapie" Skrzypek należy zapewne do owych wędrownych wirtuozów, którzy przyjeżdżają, odgrywają co trzeba i jadą dalej. Są oni rzemieślnikami fachu, w którym (jak w każdym innym) zdarzają się i artyści. Wypełniają swoimi produkcjami muzyczną codzienność sal koncertowych, grają za niezbyt wygórowane honoraria, męcząc się razem z setką nie mniej zmęczonych słuchaczy. I cóż tu pisać o koncepcji, interpretacji, niuansach, kiedy z takiego wykonania nie pozostaje nic — muzyka przecieka przez uszy.

W tym kontekście niewątpliwie najbardziej interesująco zabrzmiał jeden z ostatnich utworów Włodzimierza Kotońskiego „Róża wiatrów" Kompozytor w początkowym okresie twórczości interesował się folklorem, głównie podhalańskim. Przełomem było dla niego zetknięcie się z muzyką Edgara Varése'a, prowadzące w kierunku studiów nad instrumentami perkusyjnymi. W latach 1957—60 uczestniczył w Wakacyjnych Kursach Nowej Muzyki w Darmstadt. W końcu lat 60 Włodzimierz Kotoński wspólnie z Andrzejem Markowskim był założycielem Studia Eksperymentalnego Polskiego Radia, a następnie kierownikiem Studia Elektronicznego PWSM w Warszawie, propagującego muzykę komputerową i elektroniczną.

„Róża wiatrów" to kompozycja niemal kameralna, oparta na zmiennym współgraniu instrumentów wyodrębnianych z orkiestry i sekcji perkusyjnej, stanowiąca jakby niewielki poemat symfoniczny zbudowany na zasadzie wariacyjnej zmienności jednego tematu o bardzo subtelnie wycieniowanej kolorystyce i dynamice brzmienia, stwarzającej nastrój pogodnego i rozległego pejzażu, rozświetlonej słońcem płaszczyzny, ciszy morskiej i szczęśliwej podróży, zakłóconej jedynie jedną głośną ingerencją całej orkiestry — „burzą". Dające się wyczuć filiacje z chwytami stosowanymi w utworach muzyki elektronicznej (długie „leżące" tła, krótkie, sygnałowe motywy) połączone z kantyleną prowadzoną często przez ulubiony instrument Kotońskiego — obój, stwarzają ową bukoliczną aurę owiewającą cały utwór.

I, jak się zdaje, właśnie w „Róży wiatrów" Markowski czuł się najlepiej, znakomicie różnicując plany brzmieniowe, zwracając uwagę na precyzyjną grę solistów, ukazując walory kolorystyczne kompozycji, dzięki czemu utwór, czasami dość monotonny w przebiegu, wyraźnie zyskał na wartości. Muzyka i wykonanie jej stopiły się w klarowną całość, za co słusznie należały się brawa Włodzimierzowi Kotońskiemu, Andrzejowi Markowskiemu i całej orkiestrze.

JACEK KRAKOWSKI

„REWIZOR"

Bo mamy do czynienia, w moim przekonaniu, z przedstawieniem znaczącym. Proszę wybaczyć emfatyczny ton, ale jest to dla mnie jedno z tych wydarzeń, które przywraca wiarę w sens teatru. Nieraz bowiem chodzi się, bo chodzi, ogląda się, bądź to niedomyślane spektakulasy, w których główną troską reżysera, jest, jakby lewą ręką złapać się za prawe ucho — bądź to szarzyznę, która ani pomaga, ani przeszkadza, ani ziębi, ani grzeje. I już, już, człowiek przyzwyczaja się, sądząc że tak musi być, aż tu nagle trafia się jakaś *Operetka*, jakiś *Vatzlav*, jakiś *Rewizor*.

A w przypadku *Rewizora* mamy prostą receptę na bardzo dobry teatr — wystarczy bardzo dobra sztuka, bardzo dobry reżyser bardzo dobrzy aktorzy — i już jest.

Wystarczy. Dlaczegóż wobec tego tak rzadko?

JERZY KATARASIŃSKI

tacja jest wyostrzona nie poprzez charakterystyczność postaci, zewnętrzną komediowość rozwiązań, lecz poprzez zwyczajność, oczywistość działań, w pełni nam uświadamia się ładunku tkwiącego w dziele Gogola. *Rewizor* grany jako farsa, groteska, jest ściśle związany z miejscem i czasem, w którym powstał; grany w ujęciu Fokina uwielokrotnia swoje przesłanie uniwersalne, jest przenoszony w czasy i miejsca, w których może się jeszcze zdarzyć.

Niespodziewanego sensu i waloru ciętego skrótu myślowego nabiera przy tym ujęciu absurdalna, wydawałoby się, propozycja scenograficzna Jana Polewki: dom Horodniczego, to wnętrze świni. Świński świat, świńscy ludzie...

I pora wreszcie o aktorach, pozwalających odczytać te intencje reżyserskie. Tak jak już dziś można premierę *Rewizora* w Teatrze im. Jaracza ogłosić rewelacją sezonu, może i niejednego tak też długo będziemy pamiętać kreację Janusza Peszka, jako Chlestakowa. Poznajemy go w zajeździe, jako zabiedzonego, chudego szczura z rozbieganymi oczyma złodziejaszka, który wypatrzy rubla w najmniejszej szparze. Widać, że nie ma pieniędzy, widać, że jest potwornie głodny. Z tego, w pierwszej scenie, wypływa wszystko co robi, najdrobniejsze nawet odruchy. Co jest w tej scenie i w całym przedstawieniu najważniejsze, gra jego ma wszelkie cechy spontaniczności, jakby natchnionej improwizacji, biorącej się chyba z głębokiego odczytania postaci. Samokontroli można się domyślać pośrednio — poprzez to, że w najbardziej nieprawdopodobnych nawet, wydawałoby się, szarżach, zachowanie jego jako Chlestakowa, jest psychologicznie uwiarygodnione. Szaleństwa, jakie popełnia Chlestakow przenikają bez zgrzytów jedno w drugie — od powrotu ze śniadania, kiedy to pojawia się pomyślnie rozwiązany problem — jak przejść przez g... przed domem Horodniczego, aż po brawurową scenę delirycznego pijaństwa, kończącą pierwszą część przedstawienia. Od zalotów do córki, po ostry romans z żoną gospodarza, itd., itp. W pracy nad tą postacią nastąpiło najpełniejsze chyba porozumienie aktora z reżyserem.

Nie mógłby jednak Peszek tak zagrać Chlestakowa, gdyby nie partnerzy. Choć Ryszard Sobolewski — Horodniczy, na premierze jeszcze nie do końca panował nad postacią (np. nie do końca konsekwentnie rozegrane pierwsze spotkanie z Chlestakowem); był jakby nie rozgrzany; miał chwile wyobcowania, zagubienia. Były to jednak zaledwie momenty, które, w innym kontekście, być może pozostałyby niezauważone. Bo — ogólny rysunek postaci bardzo ciekawy — dzierżymorda płaszczący się przed rzekomym dzierżymordą, bo wiele scen rozegranych kapitalnie. To badanie Chlestakowa, ciągłe próbowanie — mało, mało?, no to jeszcze mu dać, to udawanie, że się nie widzi tego, co robi rewizor, to pobłażanie dla uczynków persony stojącej hierarchicznie wyżej — i wreszcie scena finałowa, przeprowadzona przez Sobolewskiego świetnie, jedna z najważniejszych, bo stanowiąca jakby credo autorskie: czegóż się ci ludzie z tego wszystkiego nauczyli. Dzięki Sobolewskiemu przesłanie autora, a i reżysera, dotarło do nas w pełni.

Jest przedstawienie prowadzone przez Fokina, przedstawieniem, co się zowie, zespołowym, w którym wszystkie postaci mają swoje funkcje określone w stosunku do całości zamierzenia. Powściągał Fokin, tak mi się przynajmniej wydaje, indywidualistyczne zapędy, starając się nie eksponować wątków pobocznych (bywało w innych inscenizacjach, że siłę motoryczną przedstawienia stanowiła np. para Dobczyński-Bobczyński). W tych zamierzonych przez reżysera ramach soczyste postaci stworzyli Włodzimierz Kwaskowski — Ziemlanika, to przymilny, to oślizły (ten jego przechył głowy na ramię Horodniczego po wieści o zaręczynach Chlestakowa), Jan Hencz i Andrzej Herder, jako Dobczyński i Bobczyński, Bohdan Wróblewski — lekarz powiatowy, Zofia Tomaszewska — żona Horodniczego, Jan Zdrojewski — naczelnik poczty Paweł Nowisz, jako Osip był, bo był — taki akurat jak trzeba. Nieco jakby nie w swojej roli czuł się jeszcze na premierze, zazwyczaj świetny, Wirgiliusz Gryń — Lapkin-Tiapkin, Bożena Rogalska znów, jako córka Horodniczego, wydaje mi się, przerysowała nieco postać, idąc w stronę karykatury.

Wszystkie te drobne przytyczki, to jednak raczej grymaszenia recenzenta, biorące się z rozpaskudzenia go świetnym przedstawieniem: drobne rysy na znakomitym obrazie.

GDYBY RZYM UPADŁ...

Wiele plag zagraża ostatnio Wiecznemu Miastu – zanieczyszczenie środowiska, bankructwo finansów miejskich, spekulacje itp. Carlo Argan, który przez trzy lata był burmistrzem Rzymu, uważa, że tylko dynamizacja kultury może uratować miasto od upadku.

Giulio Carlo Argan, historyk sztuki i architektury, żywo interesujący się kulturą współczesną, został wybrany burmistrzem Rzymu w 1976 r. Ostatnio podał się do dymisji ze względów zdrowotnych, w wieku 72 lat. Politycznie związany był z komunistami, co nie przeszkadzało mu w utrzymywaniu „bardzo przyjaznych" stosunków z Watykanem.

Oto, co powiedział on w rozmowie z dziennikarzem francuskim, Jacquesem Michelem, opublikowanej na łamach LE MONDE.

Pytanie: W jaki sposób burmistrz będący historykiem sztuki, ocenia problemy miasta takiego jak Rzym, zasobnego w zabytki i dzieła sztuki, a jednocześnie przeżywającego głęboki kryzys gospodarki miejskiej?

Odpowiedź: Bardzo szybko zorientowałem się, że w Rzymie istnieje śmiertelny konflikt między miastem nowoczesnym a miastem dawnym. Ściślej mówiąc, miasto współczesne zabija miasto starożytne. Obłędny ruch pojazdów rozsadza dawne struktury. Spowodowane spalinami samochodowymi zanieczyszczenie środowiska zagraża rzeźbionym elewacjom zabytkowych budowli. Korozja zżera marmur, który rozpada się w pył. Nie wynaleźliśmy jeszcze środków chemicznych, które zabezpieczyłyby kamienie od wewnątrz; możemy jedynie umacniać ich powierzchnię. W rezultacie wierzchnia warstwa materiału, z którego zrobione są posągi i elewacje, odpada kawałkami zamiast się wykruszać.

Ruch pojazdów w historycznym centrum Rzymu jest obecnie ograniczony — dopuszcza się tam tylko samochody mężów stanu, dyplomatów i mieszkańców nabrzeży. Jeszcze przedtem przystąpiliśmy do akcji oczyszczania marmurów i kamieni Rzymu, ale robiliśmy to bardzo delikatnie.

— Czy była to renowacja a'la Malraux?

— Na pewno nie. Przy tak radykalnej interwencji, jak w przypadku Paryża, narusza się kamień głębiej i przyśpiesza się w ten sposób proces rozpadu. Trzeba działać tylko tam, gdzie jest to konieczne i tylko w celu konserwacji zabytków, a nie ze względów estetycznych. Pamiętam Paryż z okresu przed remontem — było w tym mieście światło. Moim zdaniem, to lepsze. Nie chcemy wybielać Rzymu. Trzeba interweniować nie w interesie danego zabytku, lecz w interesie całego miasta, gdyż centrum historyczne należy zachować jako całość architektoniczną.

— Poza zanieczyszczeniem środowiska, Rzym trapią jeszcze inne problemy, jak np. spekulacja nieruchomościami, której przedmiotem stają się stare pałace...

— Towarzystwa dysponujące obcymi pieniędzmi, lub też pieniędzmi, które powróciły do Włoch z zagranicy, starają się zawładnąć centrum historycznym. Kupują pałace i odnawiają je. Spekulacja nieruchomościami konserwuje elewacje, ale niszczy wnętrza. A przecież architektura to nie tylko fasada, to również struktura, zespół powierzchni. Spekulacja nieruchomościami zamienia więc wnętrza pałaców na małe, drogie apartamenty, przeznaczone dla ludzi bogatych, głównie dla cudzoziemców. Wielu Amerykanów marzy o piedá-terre w historycznym centrum Rzymu. Chętnie ich przyjmujemy, ale nie wolno zniekształcać oblicza centrum, trzeba je zachować wraz z całą jego ludnością nawet tą biedną.

— Tak więc, to zmiana struktury społecznej powoduje zmianę estetyki architektonicznej?

— Tak, i te przeobrażenia są bezprawne. Potrzebne jest zezwolenie na budowę, które niełatwo dostać. Postanowiliśmy bowiem przestrzegać ustawodawstwa. To nie lewica opracowuje ustawy we Włoszech. Do dzisiaj obowiązują niektóre ustawy z czasów faszyzmu. Jednakże lewica jest na tyle uświadomiona politycznie, aby wiedzieć, że jej zadanie nie polega na robieniu Rewolucji Październikowej. Burmistrz Rzymu nie jest Leninem. Nie może zmienić ustaw, ale może nakazać ich respektowanie, nawet jeśli nie są popularne.

Ustawy naruszają ci sami ludzie, którzy je tworzą. Istnieje pewna warstwa burżuazji rzymskiej, która nie chce respektować ustaw, która chce prowadzić zyskowne interesy, spekulować, wyzyskiwać do ostatniej kropli wszystkie wartości miasta.

— Czy ta właśnie burżuazja zawładnęła miastem?

— Jeszcze nie, chociaż bardzo by tego pragnęła. Uczyniła to zresztą już około lat pięćdziesiątych, kiedy miastem rządziła chrześcijańska demokracja. To właśnie wtedy zbudowano na jednym ze wzgórz rzymskich wielki hotel Hilton, straszliwy, idiotyczny budynek, który psuje panoramę miasta. Jak wszystkie idiotyczne budynki, hotel ten w ogóle nie funkcjonuje, i bankrutuje. Postanowiono więc zbudować inny, u stóp wzgórza Janiculum, na wprost bazyliki Świętego Piotra. Odmówiłem. Nie ustąpiliśmy ani na jotę, mimo że w tej sprawie były setki odwołań.

Przypomnę też przypadek pewnego przedsiębiorcy, który wybudował sobie nowoczesną, bardzo elegancką willę z basenem na terenie między starym ogrodem arkadyjskim a ogrodem botanicznym. Wybudował ją niejako potajemnie, gdyż willa była schowana za murami starych koszar. Wówczas po raz pierwszy zarząd miejski kazał zburzyć nowy budynek. Przedsiębiorca chciał nam ofiarować swą willę na przedszkole, ale woleliśmy ją zburzyć, aby nie stwarzać precedensu.

— Czy spekulacja szerzy się również na peryferiach Rzymu?

— To właśnie dzięki spekulacji powstały owe peryferie. Spekulanci wybudowali tam bowiem wielkie mrówkowce, z pominięciem wszelkich kryteriów jakości i uczynili to w sposób wręcz cyniczny, wykorzystując teren do ostatniego centymetra kwadratowego. Pierwsza fala spekulacji w tym rejonie datuje się od okresu po pierwszej wojnie światowej. Potem był faszyzm.

— Który był okresem rozwoju spekulacji?

— Oczywiście. Cała urbanistyka okresu faszystowskiego opierała się na rzekomym dążeniu do uwydatnienia starożytnych struktur architektonicznych na tle imperialnych perspektyw... W rzeczywistości usunięto z centrum zwykłych ludzi i pobudowano tam kosztowne domy mieszczańskie. Ludzi wywożono z centrum siłą, na ciężarówkach i osiedlano ich w ruderach na peryferiach. Rzymskie „borgate" są tworem faszyzmu.

W Rzymie część miasta jest prawdziwą dżunglą mieszkaniową. Wprawdzie zarząd miejski odmawia dostarczania prądu i wody do nowych kamienic nie odpowiadających przepisom, ale nie zraża to inwestorów, gdyż spodziewają się oni, że pewnego dnia w administracji miejskiej zasiądą ludzie, którzy będą mieli mniej skrupułów, jeśli chodzi o poszanowanie przepisów. Do nowo wybudowanych domów natychmiast wprowadzają lokatorów. Ci, którzy cierpliwie czekają na przydział mieszkania z puli zarządu miejskiego, z nienawiścią patrzą na tych, którzy ich uprzedzają nielegalnie. System spekulacji wywołuje gniew ubogiej ludności. Radni miejscy mają więc do wyboru: albo nakazywać eksmisję — co jest niepopularne, a przecież radni muszą myśleć o nadchodzących wyborach! — albo nabywać te domy i przydzielać mieszkania zgodnie z przepisami. Z jednej strony mamy nienawiść, z drugiej — bezsilność!

W Rzymie istnieje 90 tysięcy pustych mieszkań i mniej więcej tyle samo rodzin nie mających gdzie się podziać lub mieszkających w złych warunkach. Dzieje się tak dlatego, ponieważ właściciele domów nie chcą wynajmować mieszkań, a tylko chcą je sprzedawać, i to po cenach, na które zwykłych ludzi nie stać. Dlatego właśnie wyludnia się coraz bardziej historyczne centrum, które w ciągu ostatnich lat straciło prawie połowę mieszkańców. Fakt, że w Rzymie niemal wszystkie mieszkania zostały nabyte na własność, ma bardzo poważne konsekwencje. Przede wszystkim zwiększyła się spekulacja. Po drugie, wielu uczonych i młodych ludzi, którzy przybywają do Rzymu, aby tutaj studiować i pracować, nie może otrzymać mieszkania.

Istnieje wreszcie cała wielka rzesza ludzi ubogich, którzy gnieżdżą się w barakach na peryferiach. Ta społeczność ostatnio ogromnie się rozbudowała. Centrum historyczne liczy 150 tysięcy mieszkańców, natomiast na peryferiach mieszkają 3 miliony ludzi. Przyrost demograficzny Rzymu jest mniej więcej taki, jak przyrost w mieście przemysłowym, a przecież Rzym takim miastem nie jest. Rzym jest nadal emporium, do którego przybywają ludzie z innych okolic, w tym także turyści i pielgrzymi. Musimy więc zadbać, aby wszystko to nie wywarło negatywnego wpływu na kulturę.

— Jaki jest pański długofalowy program dla Rzymu?

— Trzeba uzdrowić i odpowiednio wyposażyć peryferie, aby zmniejszyć ich nacisk na centrum historyczne, gdzie należałoby rozwinąć działalność kulturalną i polityczną. Ośrodek handlowy znajduje się na terenie starego miasta: trzeba by te części miasta oddzielić od siebie, aby ograniczyć intensywność ruchu, która szkodzi fizycznemu istnieniu centrum i zorganizować tam jakieś spokojne formy działalności, jak np. nauczania telewizyjne, co można znakomicie zastosować w takich dziedzinach, jak nauki społeczne, historia sztuki czy prawo. Nowy uniwersytet rzymski mógłby pomieścić ośrodek badań naukowych na wysokim poziomie, który ogniskowałby informacje i przekazywałby je innym placówkom w kraju. Jest wreszcie w Rzymie miejsce dla wielkiego rentownego wydawnictwa uniwersyteckiego.

Z drugiej strony trzeba powiększyć Izbę Deputowanych, Senat i sądy. Zaproponowaliśmy tym placówkom zakupienie wielkich domów w okolicach i po odnowieniu zainstalowanie tam pewnych wydziałów pomocniczych. Propozycja ta została przyjęta.

— A jak się przedstawia sprawa muzeum sztuki nowoczesnej?

— W Rzymie trudno jest uzyskać kredyty na sztukę nowoczesną. Projektujemy dobudowanie nowego skrzydła do starego gmachu muzeum wybudowanego w 1911 roku, ale mamy w tym wielkie trudności. Czy wie pan, że najnowsza sala koncertowa w Rzymie datuje się z roku 1935? To wstyd. Zarząd miejski wynajmuje od Watykanu salę, która kosztuje ładną sumkę, około 300 mln lirów. Nie wyobraża pan sobie, jakie walki trzeba było stoczyć, aby uczynić z muzeum instytucję o randze międzynarodowej. Miejscowi ludzie chcieli uczynić z niego zwykłą prowincjonalną galerię. Poprzednia dyrektorka muzeum, pani Palma Bucarelli, zdołała uzyskać od rządu kredyty na zakup obrazów szkoły impresjonistycznej. Wzbogaciła kolekcję muzeum o pięknego Moneta z serii „Nymphes", o mały obrazek Degasa i wielki Modiglianiego, o przecudną akwarelę Cezanne'a... Brak tego rodzaju obrazów jest jedną z głównych przyczyn ubóstwa kulturanego Rzymu.

Ale ten śmiały minister, który był na tyle dalekowzroczny, aby nie bać się zapłacić za kupno tych obrazów, musiał odejść, a jego następca natychmiast wstrzymał wszelkie zakupy dla muzeum. „Chcecie uczynić z Rzymu centrum Pompidou" — zarzucała mu prawica. Jednakże zdołano przekonać większość rządową, że powiększenie muzeum jest w interesie miasta. Obecnie przyznano kredyty, chociaż przy wzroście inflacji nie wiadomo, czy wystarczą one na zrealizowanie projektu. Tylko przez kulturę można ocalić Rzym. Musimy zaangażować nasze ostatnie pieniądze w kulturę. Tylko w taki sposób Rzym może wydobyć się z opałów.

— Czy pańskim zdaniem kultura jest częścią gospodarki?

— Co prawda upadek jego przepowiedziano już od czasu zmierzchu imperium rzymskiego. Ale Rzym nie upadł. Valery Larbaud mówił, że Francja jest krajem najstarszego mieszczaństwa. Ja z kolei powiedziałbym, że Rzym jest miastem najstarszego upadku. Na to zaś składa się wiele czynników. Wszystkie miasta przeżywają kryzys, ale w Rzymie sytuacja jest groźniejsza. Wszyscy uważają, że warto zachować to miasto jako aglomerację kulturalną, mimo że to kosztuje bardzo drogo. Na szczęście państwo pokrywa deficyt zarządu miejskiego.

— Jaka jest specyficzna bolączka Rzymu?

— Przede wszystkim jego ludność. Włoskie określenie „qualconquismo" odzwierciedla brak zainteresowania ludzi swoim miastem. Rzym nie ma jednolitej, osiadłej od wieków społeczności, jaką mają takie miasta jak Turyn, Bolonia czy Florencja. W Rzymie niemal wszyscy są imigrantami. Każde nieporozumienie może przekształcić się w konflikt. Jest to wyraz pewnej rozpaczy, zwłaszcza, jeśli idzie o ludzi młodych, bez przyszłości. To „qualconquismo" przejawia się nawet w klasie robotniczej. Można je wykorzenić przez działalność polityczną, ale także przez awangardową działalność kulturalną w dziedzinie teatru, sztuki. Doświadczenia, które przeprowadziliśmy w tych dziedzinach, dały dobre rezultaty.

Nie poczyniliśmy wielkich inwestycji kulturalnych, takich jak np. centrum Pompidou. Zazdroszczę tego Francji.

— Chciałby pan stworzyć coś podobnego w Rzymie?

— Nie, w Rzymie należałoby stworzyć coś innego. Trzeba by stworzyć ośrodki, które nawiązałyby stosunki kulturalne z innymi krajami. Francja dokonała olbrzymiego wysiłku finansowego w dziedzinie kultury, ale nie potrafiła tego wykorzystać. Jest to tylko ośrodek przyciągania ludzi, a powinien to być także ośrodek promieniujący na inne regiony. Chcielibyśmy wypożyczyć pewne ekspozycje, ale chyba Beaubourg nie bardzo się na to godzi.

Co się tyczy kulturalnego wyposażenia Rzymu, to ja, chociaż jestem historykiem sztuki, gotów byłem poświęcić sztukę dla nauki. Potrzeba nam przede wszystkim ośrodka daleko zaawansowanych badań naukowych. Kultura nowoczesna łączy się z postępem przemysłowym. Obecność w Rzymie przemysłu opartego na wysokiej technologii byłaby nie mniej ważna niż biblioteka czy pinakoteka, gdyż to naprawdę przyczynia się do podniesienia poziomu kulturalnego miasta. Z drugiej strony, sztuka przeżywa kryzys. Badania naukowe mogą dopomóc w badaniach artystycznych. Natomiast odwrotne zjawisko jest dzisiaj nie do pomyślenia.

— Czy sądzi pan, że uczynił pan wszystko, co było w pańskiej mocy?

— W istocie odnoszę wrażenie, że mało uczyniłem dla ludu rzymskiego. Jednakże teraz, gdy ustępuję ze stanowiska ze względów zdrowotnych, mogę powiedzieć, że naród potrzebuje kultury tak, jak potrzebuje się słońca.

Płaskorzeźba z kolumny Marka Aureliusza

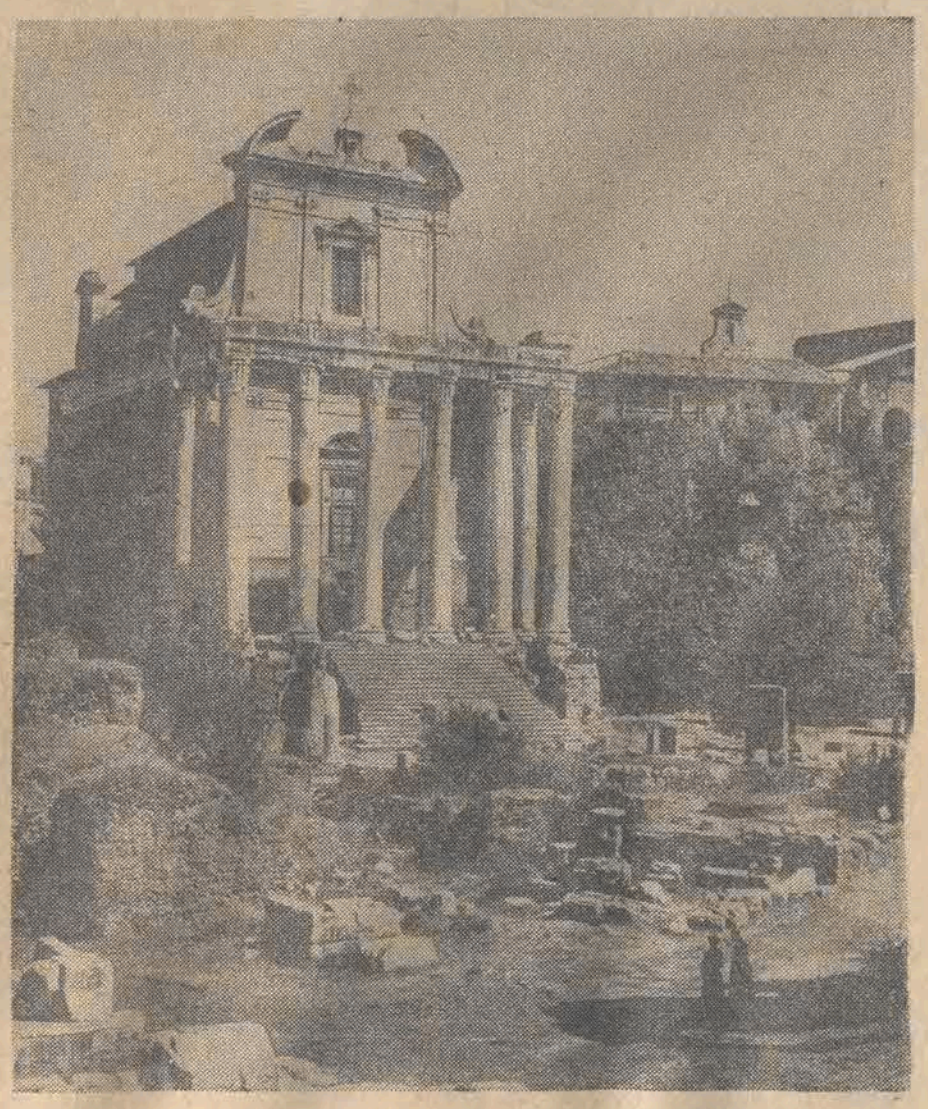

Świątynia Antoninusa i Faustyny

TRANSAKCJA W ISLAMABADZIE

Koła rządzące w Pakistanie kontynuują kampanię przykręcania śruby w warunkach stanu wyjątkowego. Rozumiejąc widać, że aktywizacja działalności partii politycznych jest jednym z symptomów schorzeń kraju, rząd ruszył do ataku na rozliczne ugrupowania w dążeniu do zademonstrowania swojej siły. Sądy wojskowe ferują surowe wyroki do kary śmierci włącznie, nawet wobec pospolitych przestępców. Krytyków stanu wyjątkowego w kraju osadza się w więzieniach. Prezydent Zia-Ul-Haq i jego rząd tłumią wszelką krytykę pod adresem działalności kół rządzących, które cieszą się pełnym poparciem ultraprawicowych ugrupowań politycznych wewnątrz kraju, a na arenie międzynarodowej — poparciem Chin i ostatnio Stanów Zjednoczonych.

W Pakistanie oczekiwano już od pewnego czasu, że Waszyngton pomoże rządowi Haqa w przedłużeniu terminów spłaty długów zagranicznych i spróbuje zapewnić „zaprzyjaźnione" państwa i organizacje międzynarodowe o „pomocy, jakiej udzieli Pakistanowi w przezwyciężeniu obecnych trudności". Istotnie, pomoc uruchomiono na najwyższych obrotach, dostarczając duże ilości nowoczesnej broni amerykańskiej, co wzbudziło głębokie zaniepokojenie w krajach Bliskiego i Środkowego Wschodu oraz Południowej Azji, a przede wszystkim Indii. Jak poinformował dziennik „New York Times", USA i Pakistan rozpoczęły rozmowy na wysokim szczeblu w sprawie wznowienia amerykańskiej pomocy wojskowej rządowi w Islamabadzie oraz w innych dziedzinach korzystnych dla obu stron. Doradca prezydenta Pakistanu, Aga Szahi, i niektórzy jego współpracownicy, ponad 3 godziny konferowali z sekretarzem stanu Vancem i innymi amerykańskimi urzędnikami. W wyniku tych negocjacji, jak poinformowała agencja PTA z Nowego Jorku, rząd USA postanowił udzielić Pakistanowi ekonomicznej i wojskowej pomocy w wysokości 400 milionów dolarów. Propozycję tej pomocy, jak poinformowała ta sama agencja, zaproponował prezydent Carter A. Szahiemu podczas jego wizyty w USA. W związku z tym, w ostatnim czasie Pakistan stara się uchodzić w oczach Waszyngtonu za najbardziej aktywnego przeciwnika „polityki radzieckiej" w tym rejonie. Tylko w tej roli może liczyć na szeroką pomoc USA i Chin.

Późniejsza nieco wizyta doradcy prezydenta Cartera, Z. Brzezińskiego, w Pakistanie wskazuje, jak duże znaczenie przywiązuje Waszyngton do bliskich stosunków z Pakistanem. Ryzykując nawet dalsze ochłodzenie stosunków z Indiami, rząd amerykański uważa za niezbędne uczynić wszystko, co można, byleby tylko, jeśli zajdzie potrzeba, umocnić swoje pozycje w Pakistanie. Obecnie USA i ich sojusznicy udzielają Pakistanowi, pracującemu nad stworzeniem własnych instalacji jądrowych, pomocy w sprzęcie wojskowym, budują na terytorium tego kraju bazy wojskowe stanowiące zagrożenie dla sąsiednich krajów. W Pakistanie działa już 30 specjalnych baz wojskowych i 50 punktów oporu. Graniczące z Pakistanem kraje są zmuszone do podejmowania niezbędnych kroków w celu zapewnienia swego bezpieczeństwa.

Z wizyty Brzezińskiego w Pakistanie obserwatorzy polityczni wyciągają szereg wniosków. Przede wszystkim, że Pakistanowi przydzielono do odegrania specjalną rolę w nowych planach strategicznych, opracowywanych przez administrację USA, które przekształcają ten kraj w najbardziej obiecującą bazę wojskową Stanów Zjednoczonych w tym rejonie Azji. Oznacza to oczywiście, że USA są gotowe udzielić Pakistanowi dużej pomocy ekonomicznej, żeby utrzymać zbankrutowaną gospodarkę kraju na jakim takim poziomie oraz pomocy w uzbrojeniu, które częściowo pójdzie na potrzeby przeróżnych band dywersyjnych. Według informacji Indian Press Agency, ceny, jaką ma zapłacić Waszyngton za realizację tych zamierzeń, jeszcze nie ustalono, jak również nie określono wyraźnie wielkości pomocy amerykańskiej, którą chcieliby otrzymać pakistańscy generałowie.

Sprawy te z pewnością znalazły się na pierwszym planie podczas rozmów między Brzezińskim i rządem pakistańskim. Rząd Pakistanu nie chciałby jednak, żeby społeczeństwo odniosło wrażenie, że Pakistan ma zamiar przekształcić się w poligon, obóz ćwiczeń i arsenał wymierzony przeciwko Afganistanowi. Niemniej pozwolił on licznym organizacjom najemników zainstalować się w pogranicznym mieście Peszawar i dopuścił do tego, żeby sześć spośród nich, w obecności wysokiego urzędnika państwowego oświadczyło przedstawicielom prasy o „decyzji zjednoczenia się w Islamski Związek Wyzwolenia Afganistanu".

Warto w tym miejscu wspomnieć, iż w dyplomatycznych kołach Zachodu mówi się otwarcie, że Departament Stanu i Ministerstwo Obrony USA coraz bardziej skłaniają się do przekonania o konieczności bardziej „efektywnego i długotrwałego oblężenia" rewolucyjnego islamskiego reżimu w Iranie i rozsadzenia go od wewnątrz przy udziale Pakistanu. USA, jak informuje bejrucka gazeta „Asz-Szaab", już opracowały plany przewidujące wykorzystanie terytorium Pakistanu nie tylko do przygotowywania afgańskich najemników do aktów dywersji w Afganistanie, lecz także do zaopatrywania kontrrewolucyjnych sił w Iranie w broń i inny sprzęt wojskowy.

Wiadomo teraz, że plan amerykańskich strategów przewiduje na początek uruchomienie na terytorium Pakistanu morskich baz wojskowych a następnie stworzenie baz w rejonach pogranicznych. Niektórzy działacze pakistańscy wyrażają sprzeciw wobec tego planu, ale Waszyngton ma kilka argumentów, przy pomocy których „może przekonać lub zmusić Islamabad do poparcia koncepcji USA". Na czoło wysuwa się argument dotyczący stanu ekonomiki Pakistanu, która stoi dziś na krawędzi przepaści. Islamabadzkim generałom oświadczono, że jeśli Amerykanie otrzymają zgodę na zbudowanie baz w Pakistanie, na Stanach Zjednoczonych spocznie cały ciężar odbudowy ekonomiki tego kraju.

Brzeziński nie zamierza bawić się w chowanego. Kiedy mowa schodzi na temat Trzeciego Świata, natychmiast przeobraża się w jastrzębia. Generałowie w Islamabadzie, jak uważa Z. Brzeziński, powinni dokonać wyboru: albo zgodzić się z amerykańską obecnością w Pakistanie i tym samym zachować zdolność życiową swego reżimu, albo borykać się z zagrożeniem wynikającym z obecnej sytuacji. Oprócz tego Brzeziński może też nacisnąć mocniej, używając również innych argumentów, np. bardzo skutecznej broni znajdującej się w amerykańskim arsenale: odsunąć od władzy człowieka, który obecnie stoi u jej steru.

Ogólnie wiadomo, iż gen. Zia-Ul-Haq utrzyma się przy władzy tylko wtedy, jeżeli zechcą tego czterej inni „mocni ludzie" — dowódcy czterech rodzajów wojsk. Oni to, jak utrzymują obserwatorzy polityczni, popierają na razie porozumienie z Waszyngtonem, chociaż żądają w zamian wysokiej ceny. Uważają, że amerykańska wdzięczność za transakcję zawartą w Islamabadzie, powinna się zamanifestować kompleksową pomocą w wysokości miliarda dolarów. Wiadomo, iż Waszyngton jest gotów zapłacić taką cenę, ale w pojęciu Białego Domu jest to już ekstremalna cena pomocy. Islamabad przyjmie chyba pomoc w wymiarze miliarda dolarów pod warunkiem jednak, iż część tej pomocy, przeznaczonej na cele wojskowe, będzie się obliczać... osobno.

Targi o wysokość ekonomicznej i wojskowej pomocy Waszyngtonu i jego sojuszników dla Pakistanu będą bardzo twarde. Jak przypuszczają komentatorzy prasy indyjskiej, w tym także Indyjskiej Agencji Prasowej w Delhi, plan Brzezińskiego oznacza dalsze zaostrzenie sytuacji na subkontynencie. Zainstalowanie w Pakistanie amerykańskich baz wojskowych wskazuje na stopniowe rozszerzanie obcej obecności wojskowej na subkontynencie w takich rozmiarach, jakich nigdy przedtem nie było. W związku z tym polityczni obserwatorzy wyrażają opinię, iż wydarzenia te w poważnym stopniu zagrażają Indiom.

JERZY CZECH

TYDZIEŃ W POLITYCE

Zainteresowanie polską inicjatywą pokojową, zgłoszoną z trybuny VIII Zjazdu PZPR, nie słabnie. W ostatnich dniach **propozycja zwołania w Warszawie konferencji w sprawie odprężenia militarnego i rozbrojenia w Europie, stała się przedmiotem zainteresowania międzynarodowych konferencji,** które obradują w Genewie. Tekst rezolucji VIII Zjazdu „O zachowanie pokoju, o przerwanie wyścigu zbrojeń i kontynuację procesu odprężenia" upowszechniony został wśród delegacji uczestniczących w posiedzeniach Komitetu Rozbrojeniowego, międzynarodowej konferencji w sprawie układu o zakazie rozwoju i produkcji broni bakteriologicznej oraz międzynarodowej konferencji w sprawie pokojowego wykorzystania przestrzeni kosmicznej. Przedstawiciele licznych państw podkreślili znaczenie polskiej inicjatywy dla trwających w Genewie negocjacji.

Z gorącym powitaniem inicjatywy Edwarda Gierka wystąpiła Światowa Rada Pokoju. Jej przewodniczący R. Chandra powiedział: „Jesteśmy pewni, że każde spotkanie w tym mieście (chodzi oczywiście o Warszawę — przyp. W. S.) będzie nacechowane duchem rozwagi i troski o dobro ludzkości i przyniesie owocne rezultaty".

Nie ustają też komentarze prasowe, podkreślające wagę i aktualność polskiej propozycji, rolę pomostu, jakim może się stać między różnymi państwami dla podtrzymania procesu odprężeniowego.

Tymczasem **w wiedeńskich rokowaniach** na temat ograniczenia zbrojeń i sił zbrojnych w Europie środkowej **nadal brak konstruktywnego stanowiska państw zachodnich.** Na kolejnym, 231 już posiedzeniu, przedstawiciele krajów NATO zajęli się głównie problematyką inspekcji i kontroli. Kraje socjalistyczne wszelkie porozumienia w sprawie kontroli wiążą ściśle z porozumieniami o redukcji zbrojeń i to takiej, która nie zmniejszy bezpieczeństwa ich uczestników.

Od tej ogólniejszej tematyki międzynarodowej przejdźmy teraz do wydarzeń w niektórych krajach.

W nawiązaniu do komentarza sprzed tygodnia, poświęconego wyborom w Zimbabwe, odnotujmy nowe fakty: pierwszy — ogłoszenia przez gubernatora brytyjskiego, że Rodezja, będąca ostatnią kolonią brytyjską w Afryce, **stanie się niepodległym państwem Zimbabwe w dniu 18 kwietnia** oraz drugi — sformułowania przez nowy rząd programu działania. W programie tym wymienia się odbudowę kraju i przywrócenie normalnego funkcjonowania gospodarki jako naczelne zadanie państwa. Łączy się to z ponownym osadnictwem na terenach, które zostały wyludnione bądź w następstwie działań bądź represji, ok. 15 proc. mieszkańców. Innym zadaniem jest całkowite wyeliminowanie dyskryminacji rasowej, a także wprowadzenie jednolitego systemu administracji. Nie przewiduje się obecnie nacjonalizacji przemysłu ani wywłaszczania farm, które będą obficie produkowały artykuły na rynek.

Dodajmy w tym miejscu, że **nowy rząd został tak sformowany, iż odzwierciedla polityczny układ sił z niedawnych wyborów.** Kierowany przez premiera Afrykański Narodowy Związek ma 16 ministrów, a sojusznicze ugrupowanie Afrykańskiego Ludowego Związku — 4. Przywódca tego ostatniego obejmie stanowisko ministra spraw wewnętrznych.

W Izraelu — po dłuższej przerwie — powołano ministra spraw zagranicznych. **Tekę tę otrzymał dotychczasowy przewodniczący parlamentu I. Szamir.** Stoi on na czele konserwatywnej frakcji partii Begina. W wywiadzie dla jednego z dzienników ujawnił, że opowiada się za potrójnym „nie" — przeciwko powrotowi Izraela do granic z 1967 roku, przeciwko powołaniu niezależnego państwa palestyńskiego i przeciwko podziałowi Jerozolimy. Jest on także rzecznikiem rozbudowy osiedli izraelskich na okupowanych terytoriach arabskich. Sylwetki Szamira dopełnia fakt, że swego czasu nie poparł on porozumień z Camp David, twierdząc, że niosą zbyt duże ustępstwa po stronie Tel Awiwu.

Powierzenie steru polityki zagranicznej takiemu człowiekowi **jest wyraźnym opowiedzeniem się rządu za twardym kursem,** do którego dążą skrajni nacjonaliści. Opozycja w parlamencie ocenia tę nominację jako nieporozumienie.

I na zakończenie jeszcze nieco o sytuacji we Włoszech. Pisaliśmy o przejściu włoskich socjalistów do opozycji wobec rządu i tym samym utracie przez niego większości w parlamencie. W minionym tygodniu podjęte zostały rozmowy z wszystkimi partiami politycznymi **na temat warunków, na jakich gabinet Cossigiego mógłby pozostać u władzy do wyborów parlamentarnych,** które odbędą się z końcem maja. Przypomnijmy, że jest to rząd koalicyjny, złożony z chadeków, liberałów i socjaldemokratów.

W. SŁAWSKI

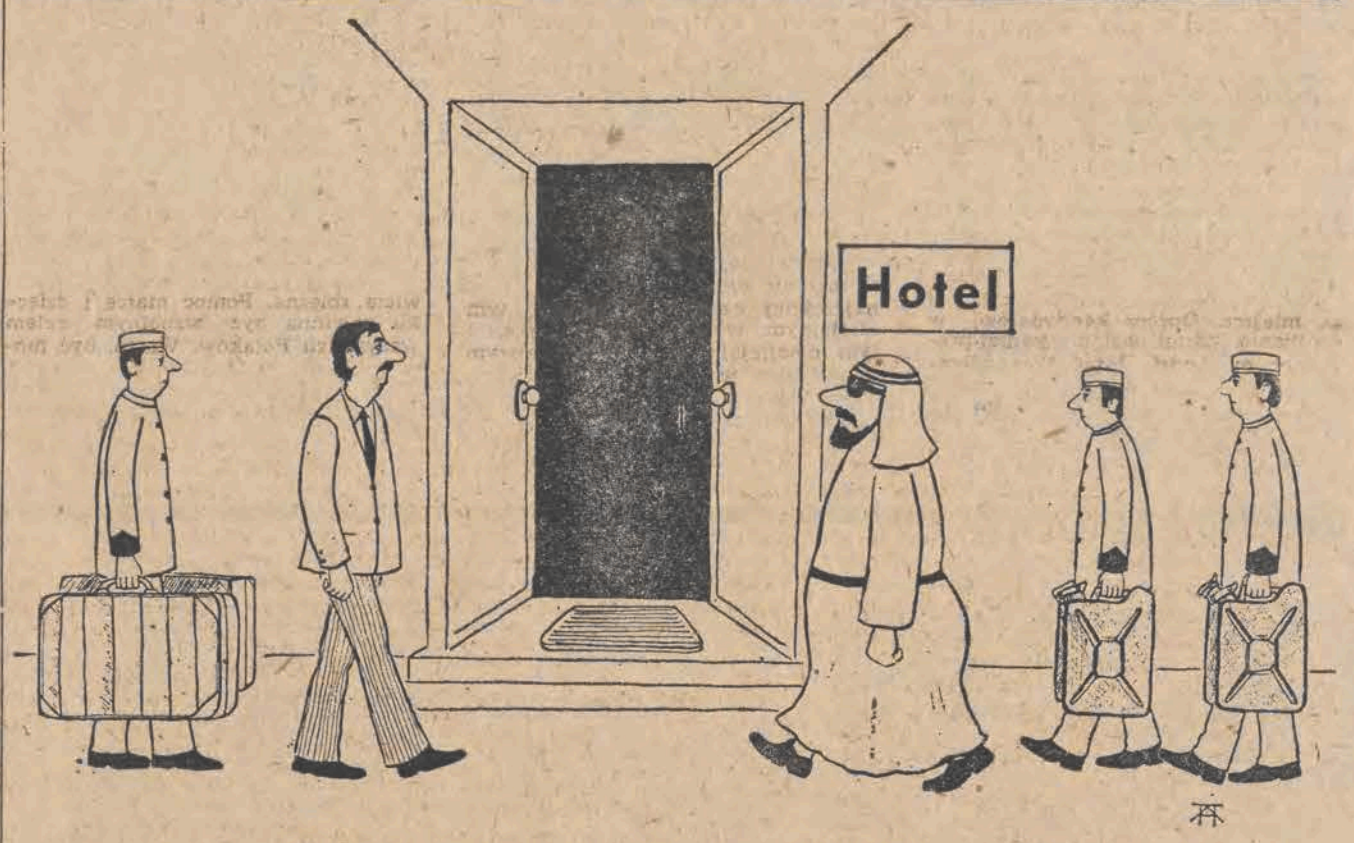

Rys. Andrzej Adamowicz

POLONICA KULTURALNE

W Düsseldorfie w „Kunsthalle" otwarto wystawę prac Władysława Strzemińskiego, obejmującą 32 obrazy i 48 grafik, wypożyczonych przez Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Łodzi.

* * *

Konstanty Kulka wystąpił w Glasgow z BBC Scotish Symphonic Orchestra pod dyrekcją Karla A. Richenbachera (Szwajcaria).

* * *

Nakładem bratysławskiego wydawnictwa „Smena" ukazał się słowacki przekład powieści Jerzego Putramenta „Akropol".

* * *

Z okazji zorganizowanego w Paryżu Międzynarodowego Festiwalu Dźwięku, wybrano laureatów 33 Grand Prix International du Disque; wśród 25 wyróżnionych płyt znalazło się nagranie I Koncertu K. Szymanowskiego w wykonaniu K. Kulki i Wielkiej Orkiestry Symfonicznej PR pod dyr. Jerzego Maksymiuka.

* * *

W Hunter Colege Uniwersytetu City of New York rozpoczął się retrospektywny przegląd filmów polskich. Wyświetlonych będzie 20 filmów fabularnych, które zostały zrealizowane w latach 1957—1978.

* * *

W stolicy Nikaragui, Managui, odbył się przegląd filmów Jerzego Kawalerowicza. Jednocześnie otwarto wystawę plakatu polskiego.

* * *

Jolanta Gazewska z Warszawy otrzymała wyróżnienie na Międzynarodowej Wystawie Rysunków Dziecięcych w Atenach.

* * *

W Darmstadt (RFN) otwarto Instytut Niemiecki do spraw Kultury i Literatury Polskiej; wykład inauguracyjny wygłosił znany tłumacz Karl Dedecius.

* * *

Po półtoramiesięcznych występach we Francji i Belgii powrócił do kraju zespół „Mazowsze".

* * *

„Księgarnia Niemiecka" w Lipsku zorganizowała wystawę powięconą Chopinowi, obejmującą wydawnictwa, nuty i nagrania płytowe.

* * *

Amerykański pianista polskiego pochodzenia Tadeusz Kerner, który powrócił do USA z tournee artystycznego po Europie, wystąpił z recitalem w siedzibie Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku.

* * *

Nakładem wydawnictwa Morcelliana w Bresci ukazał się włoski przekład „Cienia ojca" Jana Dobraczyńskiego.

* * *

Ukazujący się w Rzymie periodyk „Ante Murale", publikujący materiały poświęcone historii i literaturze polskiej, drukowane przeważnie w językach angielskim i francuskim, poświęcił znaczną część swego numeru angielskiemu przekładowi „Grażyny", dokonanego przez Noela Clarka.

* * *

Nakładem „Insel Verlag" ukazała się we Frankfurcie nad Menem książka „Lem — Die phantastischen Erzälungen" („Lem — opowieści fantastyczne").

* * *

Telewizja RFN nadała ekranizację „Trędowatej" w reż J. Hoffmana.

* * *

W Hawanie podpisano porozumienie o współpracy między SPATiF, a sekcją Sztuki Scenicznej Związku Pisarzy i Artystów Kuby.

* * *

W Niemczech zachodnich ukazał się przekład książki „Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy" Sergiusza Piasećkiego.

* * *

Teatr „Piwnica" w Lipsku wystąpił z premierą sztuki Tadeusza Różewicza „Wyszedł z domu" w reżyserii Karla Georga Kaysera.

PERSPEKTYWY

SATELITARNE ELEKTROWNIE SŁONECZNE

KRYSTYNA WIEWIÓRSKA

W ciągu ostatnich kilku lat stało się oczywiste, że zasoby naturalne głównych surowców energetycznych mogą zostać wyczerpane w stosunkowo niedługim czasie. Jako alternatywne źródła energii rozpatruje się szersze wykorzystywanie węgla kamiennego i energii atomowej, mimo poważnych zastrzeżeń związanych z niebezpieczeństwem dla środowiska. Ponadto przedmiotem coraz szerszego zainteresowania w ciągu ostatnich 20 lat jest możliwość wykorzystywania energii słonecznej. Problemom tym poświęcono wiele uwagi na forum ONZ.

Na XVIII sesji Komitetu do Spraw Pokojowego Wykorzystania Przestrzeni Kosmicznej w 1975 r. podkreślono potrzebę zbadania korzyści, jakie może przynieść wszystkim krajom wykorzystywanie energii słonecznej w przestrzeni kosmicznej. Na kolejnej sesji w 1976 Sekretariat ONZ przedłożył raport zawierający przegląd obecnego wykorzystywania energii słonecznej i perspektyw budowy elektrowni słonecznych w przestrzeni kosmicznej. Baterie słoneczne obecnie są wykorzystywane w większości satelitów. Istnieją także wstępne projekty budowy elektrowni na orbicie geostacjonarnej i przesyłanie energii na Ziemię za pośrednictwem mikrofal. Dla praktycznej realizacji tych planów niezbędne jest jednak istotne zmniejszenie kosztów.

PROBLEMY TECHNICZNE I EKONOMICZNE

Wprawdzie budowa elektrowni słonecznych w przestrzeni kosmicznej jest bez porównania bardziej kosztowna i złożona, niż budowa odpowiednich urządzeń na Ziemi, może jednak okazać się znacznie efektywniejsza. Głównym powodem jest zmienność w nasłonecznieniu powierzchni Ziemi wynikająca z jej ruchu obrotowego i pochłaniania przez atmosferę znacznej ilości promieniowania. Umieszczenie odpowiednich urządzeń na satelicie geostacjonarnym pozwala na nieomal całodobowe uzyskiwanie energii równej wartości.

Sprawność obecnie wykorzystywanych na satelitach baterii słonecznych wynosi 11 proc. Tak więc, aby elektrownia słoneczna była opłacalna, powinna dostarczać 3000 megawatów, co oznacza, że musiałaby przetwarzać energię zebraną za pośrednictwem odpowiednio ustawionych luster o powierzchni około 20 km kw. Ponieważ obecnie wykorzystywane baterie ważą około 1 kg/m kw., waga baterii słonecznych systemu satelitarnego wynosiłaby blisko 20 ton. Przewiduje się jednak, że szybki rozwój w tej dziedzinie, jaki ma obecnie miejsce, pozwoli na znaczne zmniejszenie wagi. Uzyskana w przestrzeni kosmicznej energia będzie przesyłana w postaci wiązki mikrofalowej do centrum odbiorczego znajdującego się na Ziemi.

Główne koszty związane z budową elektrowni słonecznych w przestrzeni kosmicznej są związane z produkcją baterii słonecznych i przetransportowaniem całego urządzenia na orbitę geostacjonarną. W oparciu o koszty obecnie eksploatowanych baterii słonecznych oblicza się, że koszt wytwarzania przez elektrownie 1 wata wynosiłby 100 dolarów, a w oparciu o przewidywane koszty transportu na pokładzie Space Shuttle (około 650 dolarów za kilogram), koszty te wynosiłyby dodatkowo 4000 dolarów za kilowat. Koszty pozostałych urządzeń, jakkolwiek znaczne są bez porównania niższe od obu wymienionych.

Dla porównania konkurencyjności kosmicznych elektrowni słonecznych z tradycyjnymi źródłami energii należy wskazać, że koszt wytworzenia 1 kilowata na Ziemi wynosi około 500—1000 dolarów.

PROBLEMY PRAWNOMIĘDZYNARODOWE

Mimo iż perspektywa budowy satelitarnych elektrowni słonecznych może wydawać się jeszcze dość odległa, już od kilku lat interesują się nią także prawnicy. Ocena aktualnie obowiązującego prawa kosmicznego pozwala na wskazanie niektórych głównych problemów prawnych, jakie będą wymagać rozstrzygnięcia.

Po pierwsze, jak wyżej wskazano, budowa satelitarnych elektrowni słonecznych będzie przedsięwzięciem trudnym technicznie i bardzo kosztownym, będą więc mogły podjąć ją tylko niektóre kraje. Rozważenia wymaga więc sposób zapewnienia innym państwom dostępu do energii słonecznej uzyskiwanej przez elektrownie satelitarne. Układ kosmiczny z 1967 roku przewiduje bowiem, że działalność w przestrzeni kosmicznej musi być prowadzona dla dobra i w interesie wszystkich krajów, niezależnie od stopnia ich rozwoju naukowego, czy ekonomicznego.

Kolejny problem prawny związany jest z przewidywanym umieszczaniem satelitarnych elektrowni słonecznych na orbicie geostacjonarnej. Orbita ta, położona na wysokości około 36 tys. km od powierzchni Ziemi, stanowi niewątpliwie część przestrzeni kosmicznej. Jednakże w 1976 roku 8 krajów równikowych ogłosiło suwerenność na tej orbicie, stwierdzając, że stanowi ona część ich terytorium państwowego. Roszczenia te nie zostały wprawdzie uznane przez inne państwa, jednakże wydaje się niezbędne jednoznaczne określenie statusu prawnego orbity geostacjonarnej.

Kolejny problem, jaki jest przedmiotem rozważań prawnych, to odpowiedzialność za szkody, jakie mogą powstać w związku z budową i eksploatacją satelitarnych elektrowni słonecznych. Wprawdzie główne problemy w tej dziedzinie zostały uregulowane konwencją o odpowiedzialności za szkody wyrządzone przez obiekty kosmiczne z 1972 roku, ale nadal wymaga uregulowania kwestia odpowiedzialności za szkody wyrządzone środowisku naturalnemu oraz szkody związane z przesyłaniem na Ziemię energii za pośrednictwem wiązki mikrofalowej. Problem wpływu wiązki mikrofalowej na środowisko naturalne Ziemi, na atmosferę, samoloty, czy ptaki, które mogą znaleźć się w jej zasięgu, wymaga jeszcze szczegółowych badań i w oparciu o te badania — specjalnej regulacji prawnej.

Perspektywa budowy elektrowni słonecznych w przestrzeni kosmicznej skłania do ponownego rozważenia problemu rozgraniczenia przestrzeni kosmicznej i przestrzeni powietrznej. Problem ten od wielu lat jest przedmiotem zainteresowania w doktrynie i od blisko 20 lat znajduje się na agendzie Komitetu Kosmicznego. Jednakże do chwili obecnej, mimo zawarcia 4 porozumień regulujących działalność w przestrzeni kosmicznej i ustaleniu tekstu piątego, mianowicie porozumienia w sprawie Księżyca, problem ten nie został rozstrzygnięty. Należy jednak odnotować, że do chwili zgłoszenia przez państwa równikowe roszczeń do orbity geostacjonarnej, brak delimitacji przestrzeni kosmicznej nie stanowił przeszkody w dynamicznym rozwoju działalności kosmicznej. Nigdy w dotychczasowej praktyce przelot nad terytorium państw obiektów poruszających się na orbitach, nie był kwestionowany, żadne państwo nie uważało, że zostały naruszone jego prawa suwerenne. Tak więc można chyba uznać, iż drogą ponad 20-letniej praktyki przyjęto, że górną granicę suwerenności wyznacza najniższa orbita sztucznego satelity. Sytuacja ulegnie jednak zmianie w związku z wprowadzeniem pojazdów typu Space Shuttle, których wykorzystanie przewiduje się m. in. dla celów transportu w przestrzeń kosmiczną elektrowni słonecznych. Wydaje się więc, że sytuacja dojrzała do uregulowania prawnego problemu delimitacji przestrzeni kosmicznej. W tym kontekście należy odnotować interesujący projekt rezolucji Zgromadzenia Ogólnego zgłoszony przez ZSRR na XXII sesji Komitetu Kosmicznego w lipcu 1979 roku. Zgodnie z tym projektem „przestrzeń powyżej 100—110 km od poziomu morza jest przestrzenią kosmiczną. Granica pomiędzy przestrzenią powietrzną, a przestrzenią kosmiczną zostanie ustanowiona w drodze porozumienia międzynarodowego na wysokości nie przekraczającej 100—110 km".

W zgłoszonym projekcie ZSRR proponuje również, żeby obiekty kosmiczne miały prawo przelotu ponad terytorium innych państw na niższej wysokości dla celu wejścia na orbitę lub powrotu na Ziemię.

Przewidywana eksploatacja pojazdów typu Space Shuttle, stawia na porządku dnia również nie rozwiązany problem definicji obiektu kosmicznego. Istniejących wątpliwości nie rozstrzyga także wyżej cytowana propozycja radziecka.

Jak wynika z przeprowadzonych rozważań, budowa elekrowni słonecznych w przestrzeni kosmicznej stwarza konieczność rozstrzygnięcia także wielu złożonych problemów prawnych.

(„ASTRONAUTYKA")

Foto: Archiwum

DZIWNE I CIEKAWE

ZAKŁADNICY

Często powtarza się pogląd, że psychika ludzi, którzy byli zakładnikami, zostaje w sposób trwały zmieniona tym przeżyciem. Czy jest tak rzeczywiście, czy też jest to tylko wygodny pretekst, aby móc ignorować to, co ci ludzie mają do powiedzenia? Pisze o tym David Cohen w „New Scientist".

2 grudnia 1975 roku w Wijster (północna Holandia) siedmiu Molukańczyków z południa porwało holenderski pociąg. Przez 13 dni nie schodziły z pierwszych szpalt przygnębiające fotografie nieruchomego, żółtego pociągu, wokół którego krążyli terroryści w kapturach. Zdjęcia te zamieszczała prasa na całym świecie.

Rząd holenderski, wraz ze specjalnie powołanym zespołem psychiatrów, prowadził z porywaczami „wojnę psychologiczną" i w końcu udało się namówić terrorystów do poddania się. Wydawało się, że jest to raczej szczęśliwe zakończenie. Wprawdzie 3 osoby zostały zabite, ale władze obawiały się znacznie większej liczby ofiar, a więc był powód do radości.

Jednakże, jak stwierdził jeden z uwolnionych, dr Hans Prins, porwanie było dopiero początkiem sprawy.

Holenderscy psychiatrzy, którzy od początku uczestniczyli w pertraktacjach z porywaczami, wyrazili pogląd, że wszyscy pasażerowie porwanego pociągu narażeni byli na ryzyko poważnych zaburzeń psychicznych. Opinia ta, podana w najlepszej wierze, uzasadniona była względami humanitarnymi.

Kiedy zakładnicy z porwanego pociągu holenderskiego zostali wreszcie uwolnieni w dniu 15 grudnia, rząd oczekiwał wdzięczności z ich strony. Jednakże zamiast podziękować władzom, byli zakładnicy zaczęli krytykować sposób, w jaki przeprowadzono całą akcję uwalniania.

Jeden z uwolnionych zakładników, Gerhard Vaders, redaktor naczelny „Niewsblad von Het Noorden", największego dziennika w północnej Holandii, wykorzystał łamy tego pisma dla publicznego wyrażenia swoich opinii. Równie krytycznie wypowiadał się także były zakładnik dr Hans Prins, kierownik laboratorium biologicznego w Assen (Północna Holandia).

Vaders i Prins, a także inni, twierdzili, że rząd nie wykazał dostatecznej troski o bezpieczeństwo zakładników, a niektóre posunięcia wręcz narażały ich na jeszcze większe ryzyko. Podkreślali oni niehumanitarność działań rządu, przytaczając następujące argumenty: przez dwa dni władze nie przysłały żywności, a kiedy wreszcie zakładnicy otrzymali żywność, nie dołączono do niej utensyliów do jedzenia. Poza tym, mimo próśb, zakładnicy nie otrzymali zmian bielizny.

Byli zakładnicy zarzucali władzom prowadzącym akcję uwalniania że złożyły one porywaczom szereg obietnic, które nie zostały dotrzymane. Prins twierdził, iż powiedziano mu przez telefon polowy, że jedzie autobus, którego żądali Molukańczycy. Porywacze chcieli razem z zakładnikami pojechać tym autobusem na lotnisko amsterdamskie, tam wypuścić wszystkich z wyjątkiem 6 osób — a następnie odlecieć.

Nie wydaje się, aby ta historia była wymyślona przez dra Prinsa. W holenderskiej kronice filmowej są zdjęcia odkrytego autobusu (przystosowanego zgodnie z żądaniami terrorystów) Autobus ten nigdy nie dojechał do uwięzionego pociągu, ponieważ władze w ostatniej chwili zmieniły decyzję. Ta zmiana decyzji, jak podkreśla Prins, mogła kosztować życie ludzkie.

Ostatnie, i chyba najpoważniejsze oskarżenie pod adresem władz, to obciążenie grupy pertraktującej z porywaczami odpowiedzialnością za śmierć Berta Bierlinga, trzeciej śmiertelnej ofiary tej akcji terrorystycznej.

Byli zakładnicy uważają, że Bierling nie musiał zginąć. Porywacze postawili rządowi ultimatum: albo żądania ich zostaną ogłoszone przez radio i telewizję, albo jeden z zakładników zginie. Władze miały godzinę na podjęcie decyzji i spełnienie warunków ultimatum. Przez większą część tej fatalnej godziny rząd zwlekał z decyzją — i wreszcie przekazał porywaczom decyzję odrzucającą ultimatum. W pięć minut później Bert Bierling został zastrzelony, a po następnych pięciu minutach w radio i telewizji ogłoszono żądania porywaczy zgodnie z treścią ultimatum.

Gdy zacząłem przygotowywać się do nakręcenia filmu o konsekwencjach, jakie ponoszą ofiary porwania, dziennikarze i psychiatrzy, z którymi rozmawiałem w Amsterdamie, zgodnie twierdzili, że byli zakładnicy cierpią z powodu zaburzeń psychicznych. Często cytowanym przykładem braku równowagi psychicznej (traktowanym jako „najlepszy dowód") były uczucia, jakie ofiary żywiły w stosunku do Molukańczyków.

Jednym z bardzo interesujących zjawisk z dziedziny psychologii stosunków międzyludzkich była radykalna zmiana nastawienia emocjonalnego zakładników do porywaczy. Jak określił to Gerhard Vaders, „świat zewnętrzny widziany był jako kontrastowy, czarno-biały obraz bezlitosnych czarnych diabłów, które znęcają się nad niewinnymi ofiarami". Początkowo zakładnicy czuli się niczym w rękach terrorystów. Czuli, że mogą być w każdej chwili unicestwieni. Ale potem, jak twierdzi Vaders, sytuacja zmieniła się wyraźnie. Zakładnicy zaczęli dostrzegać w porywaczach ludzi, a nie wycięte z tektury „czarne diabły". Bardzo istotnym momentem dla takiej zmiany stosunku do Molukańczyków był wypadek z bronią. Jeden z terrorystów niechcący strzelił i zranił jednego z pasażerów oraz jednego ze swych towarzyszy. W pociągu powstała panika, którą opanowało kilku pasażerów holenderskich. To Holendrzy, a nie Molukańczycy opatrzyli rannego terrorystę i wynegocjowali u władz przysłanie ambulansu, który zabrał nie tylko samego pasażera, ale i jego żonę, na co terroryści zgodzili się. Dr Prins powiedział, że w czasie tych kilku dramatycznych minut zakładnicy, a nie porywacze, byli panami sytuacji w pociągu. To właśnie dr Prins odprowadzał rannego do ambulansu i choć miał znakomitą okazję do ucieczki — powrócił do pociągu. Jak sam z uśmiechem opowiadał, „musiałem długo się dobijać, zanim mnie z powrotem wpuścili". Fakt, że dobrowolnie powrócił do roli zakładnika, wydawał się ludziom analizującym post factum całe wydarzenie zupełnie niezrozumiały.

Po tym wydarzeniu atmosfera w pociągu stała się mniej napięta i zagrażająca. Oczywiście warunki bytowania były bardzo złe, ale ze strony Molukańczyków nie było prawie gróźb fizycznych. Prins mówi, że wszyscy w uwięzionym pociągu byli jakby zjednoczeni przeciwko światu zewnętrznemu. O podobnych odczuciach mówili także inni. Uczucie to pogłębiała ocena posunięć rządu holenderskiego. Wielu spośród uwięzionych Holendrów uważało że poprzednia administracja okrutnie traktowała Molukańczyków. W ciągu 13 dni spędzonych w pociągu zakładnicy zmuszeni byli do wysłuchania argumentów Molukańczyków; wiele z tych argumentów musieli uznać za słuszne. Uznali ich racje tak dalece, że po uwolnieniu wielu spośród byłych zakładników zostało orędownikami sprawy molukańskiej. Dr Prins i przynajmniej dwóch innych eks-zakładników odwiedzali swoich porywaczy w więzieniu oraz pisali do nich listy. Vaders, zamiast potępiać porywaczy, powiedział po prostu: „Molukańczycy mieli sprawę do załatwienia".

Jeszcze kilka lat po porwaniu sporo było sytuacji, kiedy terroryści i byli zakładnicy mieli okazję do spotkań. Zacieśniło to związki między nimi. Najbardziej sensacyjna była oczywiście sprawa Patty Hearst, ale także inne osoby nawiązały bliskie kontakty z terrorystami. Ani psychiatrzy, ani psychologowie nie przewidywali takiego rozwoju wypadków. Zakładali oni, że sytuacja porwanych jest analogiczna z sytuacją więźniów nazistowskich obozów koncentracyjnych. Fakt, że byli zakładnicy nie czuli nienawiści do Molukańczyków, a wręcz żywili do nich sympatię i przyznawali im rację, był dla psychologów zaskoczeniem. Przyjęto wobec tego post hoc koncepcję według której u byłych zakładników wystąpił syndrom „nadmiernej identyfikacji z agresorem", będący objawem chorobowym. Taka interpretacja sugeruje że jeśli człowiek ma przed oczami wylot lufy, to zaczyna zgadzać się z agresorem, a nawet identyfikować się z nim, dzięki czemu niejako odsuwa od swej świadomości zagrożenie śmiercią. Nie jest jednak w pełni jasne, dlaczego owa pełna identyfikacja miałaby utrzymywać się także po uwolnieniu.

Wielu Holendrów, którzy nigdy nie znajdowali się w roli zakładników, również uważa, że sytuacja Molukańczyków w Holandii zmusza tych ludzi do desperackich akcji. Poseł z ramienia Partii Pracy, Dick Den Ouden, posunął się nawet do następującego stwierdzenia: „Pierwsze porwanie było usprawiedliwione, był to chyba jedyny sposób, aby obudzić Holendrów".

Jednakże rząd holenderski nie chce usłyszeć tych głosów. Według rzeczników rządu, wszystkie wypowiedzi byłych zakładników, które nie obciążają Molukańczyków, są dowodem zaburzeń psychicznych spowodowanych porwaniem.

Przekonanie, że ludzie uwięzieni w pociągu w 1975 roku ulegli zaburzeniom psychicznym, było tak silne, że kiedy w czerwcu 1977 roku w Holandii porwany został drugi pociąg, rząd holenderski zlecił opracowanie programu pomocy psychiatrycznej dla byłych zakładników.

Psychiatrzy, psychologowie i pielęgniarki, nawiązywali kontakt z byłymi zakładnikami i zwracali się do nich z pytaniami, mającymi ujawnić symptomy załamania.

Elizabeth Hoogherad, psycholog, biorąca udział w tym programie, mówi szczerze o przeciwwskazaniach dla prowadzenia tego typu akcji. Większość byłych zakładników zdecydowanie nie potrzebuje żadnej pomocy psychiatrycznej. Dla wszystkich natomiast udręką jest roztaczana nad nimi opieka w której rezultacie są przez własnych znajomych traktowani jako „przypadki psychiatryczne". Ukazujące się w prasie artykuły o ryzyku zmian psychicznych, na jakie narażeni byli przez fakt porwania są dla byłych zakładników w najwyższym stopniu irytujące. Hoogherad twierdzi, że nie ma dowodów na to, iż porwanie może pozostawić trwały ślad w psychice, a także nie ma podstawy, aby przypuszczać, że opieka psychiatryczna, zgodna z programem z 1977 roku, przyniosła jakiekolwiek pozytywne skutki. Jedynym korzystnym efektem tego programu jest, wg Hoogherad, ułatwiona walka z rządem o odszkodowania.

Psychiatrzy holenderscy działali w dobrej wierze. Przyjęli pewne założenia, co często w nauce się robi, ale następnie potraktowali te założenia jakby były stwierdzonymi faktami. Dr Bastiaans, z Uniwersytetu w Lejdzie, bardzo zaniepokojony faktem, iż jego opinie zostały wykorzystane zupełnie niezgodnie z intencjami, składał szereg wyjaśnień, podkreślając, że nawet jeśli po przeżytym porwaniu u kogoś ujawni się nerwica lub inny typ zaburzeń, to nie ma żadnej podstawy, aby umniejszać wartość jego poglądów i nie wierzyć w to, co mówi.

Nasuwa się jasny wniosek, że pochopne ferowanie ocen o stanie zdrowia psychicznego człowieka, mimo najlepszych intencji, pociąga za sobą poważne konsekwencje i może być bardzo krzywdzące.

Tłum. JUSTYNA KOTLICKA
MAGDA ŚLÓSARSKA
(„PROBLEMY")

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

POCHWAŁA PRASY

Jako dziennikarz nieraz spotykam się z uwagami — na ogół krytycznymi — pod adresem prasy. Krytyka zawiera niekiedy wiele racji — często jednak wynika z niezrozumienia, lub nieprzyjmowania do wiadomości pewnych naturalnych (nazwijmy to tak) uwarunkowań jakim podlega każdy dziennikarz i każda gazeta na świecie.

A przecież nasza prasa jest — w gruncie rzeczy — i ciekawa i różnorodna i wielostronna. Oczywiście istnieje różnica między tygodnikiem „Polityka" a tygodnikiem „Odgłosy". Bardzo cenię „Politykę", ale nie wyobrażam sobie polskiego czasopiśmiennictwa realizującego wyłącznie ten model pisma. Prasę mamy różnorodną i nigdy nie podpiszę się pod apelami ortodoksów, żeby na gwałt likwidować wszystkie czasopisma typu „Łowiec Polski", „Jeździectwo" czy „Hodowca ryb w akwarium".

Pewien znany pisarz od dawna wygłasza tego rodzaju apele nie rozumiejąc, że prawo do swego organu mają w równym stopniu „konjarze", myśliwi i miłośnicy złotych rybek, co miłośnicy literatury. Więcej powiem: uważam nawet, że źle redagowane łódzkie czasopismo „Do rzeczy" też ma rację bytu i jest potrzebne, choćby jako doświadczalny poligon dla młodych pasjonatów dziennikarstwa.

Przecież w tym zawodzie — podobnie jak w literaturze — nie można odbyć życiowego spaceru — nie popełniając błędu. Tak więc „Do rzeczy" jest potrzebne i — zaręczam — wyszło z tego pisma i jeszcze wyjdzie, wielu dobrych publicystów i reporterów.

Prasę — tak uważam — mamy różnorodną i rzetelną, choć jakże często zarzuca się jej właśnie nierzetelność. Rzecz prosta, jeśli ktoś czyta wyłącznie „Gońca Górnośląskiego" nie będzie wiele wiedział o tym co się dzieje w Polsce, jakie mamy problemy i sukcesy, jakie trudności nas gnębią.

Mówi się nieraz, że prasa lakieruje... Owszem — zdarza się, ale nie dalej jak tydzień temu prasa podała stan zbędnych zapasów naszej gospodarki — obliczanych na bilion czterysta miliardów złotych... Nie dla taniej sensacji przecież, ale jako groźne memento dla naszych „generałów" przemysłu. Nawiasem mówiąc „generałów" z których wielu dojrzało do degradacji.

Choć i z tą degradacją trzeba ostrożnie. Dowodzi tego zarówno rzetelna relacja „Życia Literackiego" z procesu pracowników „Hortexu" jak i PAP-owski komunikat w tej sprawie. Okazuje się, że łatwiej wsadzić do pudła kilkanaście osób — niż później dowieść im winy przed niezawisłym sądem. W procesie „Hortexu" wyszło m. in. na jaw, że na ławie oskarżonych powinny się znaleźć... zdumiewająco bzdurne przepisy i zarządzenia, których realizacja narażała skarb państwa na wielomilionowe straty.

I jeszcze jeden pozytywny aspekt naszej prasy: otóż na ogół nie jest ona prowincjonalna. Prasoznawcy twierdzą, popierając to przykładami, że przeciętna gazeta amerykańska czy zachodnioeuropejska, koncentruje się w 90 proc. na sprawach lokalnych. Przeciętny amerykański czytelnik gazety w Oklahomie czy francuski w Clermont Ferrand — nieporównanie więcej dowiaduje się o dużych i małych wydarzeniach ze świata — niż polski czytelnik z Łodzi czy Wielunia.

Nawet drobne sprawy „światowe" znajdują odbicie w naszej prasie. Otwieram na chybił-trafił „Życie Warszawy" i — czytam: „Syn pani premier Wielkiej Brytanii, sprawił ostatnio wiele kłopotów matce. Młody Mark Thatcher jest znanym rajdowcem, ale gdy nie mógł znaleźć w Anglii firmy finansującej jego udział w wyścigach, zwrócił się do japońskiej „Kanebo", która chętnie przeznaczyła 10 tys. funtów na działalność rajdowca..." I tak dalej i tak dalej; w Izbie Gmin złożono w tej sprawie interpelację, młody Thatcher musiał zerwać kontrakt... Zresztą nie o to chodzi — to tylko przykład drobiazgowości naszej prasy w światowym serwisie informacyjnym.

W monumentalnej „Księdze cytatów z polskiej literatury pięknej" pod hasłem „Prasa" odnotowano zaledwie s i e d e m cytatów — i to wszystkie bardzo prasę krzywdzące. Jest to oczywiście efekt naszej trudnej historii — większość cytatów pochodzi z XIX wieku. Natomiast dziś — tę felietonową „pochwałę prasy" chciałby zakończyć aforyzmem „Prasa — zwierciadłem epoki". Była nim zresztą zawsze — jest także i teraz. Czyż można więcej żądać od ulotnej, gazetowej twórczości?

WIDOK

Z GALERKI

ALEKSANDER FOGIEL I SYNOWIE

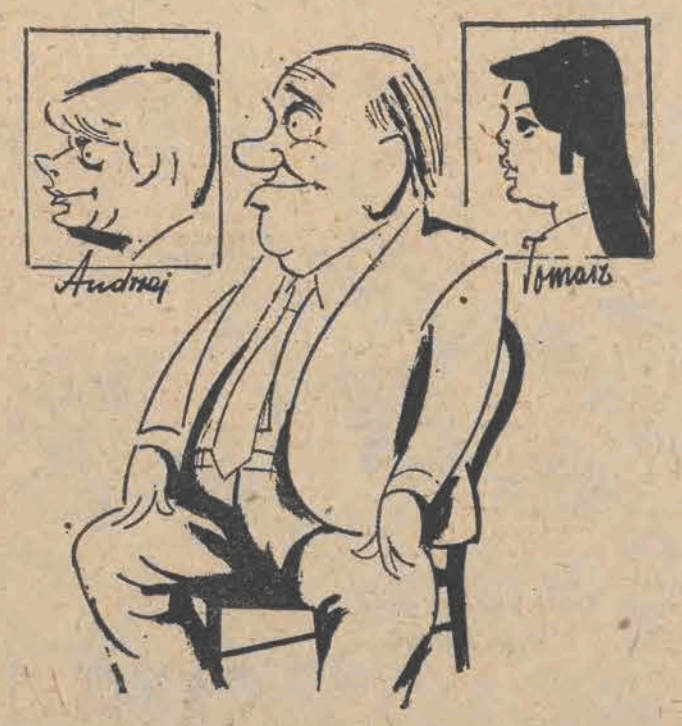

NA ALEKSANDRA FOGLA I SYNÓW

Oto sceny polskiej trzy filary:
Dwa w Łodzi,
W Gorzowie Wielkopolskim Stary.

Rys. Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

PROPOZYCJE

IDZIE WIOSNA

Nie jest to odkrycie na miarę epoki, a nawet całkiem malutkie. Nie jest to odkrycie w ogóle, jedynie stwierdzenie faktu. Stwierdzamy ten fakt każdego roku o tej porze i cieszymy się z tego. Kończą się zimowe kłopoty, będzie cieplej, mniej się będzie zużywać energii elektrycznej, bo i dnie będą dłuższe, weselej. Jest się z czego cieszyć.

Ale i zimy tego roku nie mieliśmy najgorszej, choć gazetowe tytuły brzmiały jak komunikaty z frontu, donoszące o kolejnym ataku przeciwnika. Ataki te odpieraliśmy w nie najlepszej formie. Jak sportowcy źle przygotowali do sezonu. Idzie jednak wiosna i będzie lepiej. Polskie Radio w komunikatach dla kierowców zapewnia, że wszędzie są już dobre warunki jazdy. Tylko w rejonie Suwałk jeszcze zdarzają się jakieś mgły, czasem nawet śnieg popada.

Tak się złożyło, że kilka dni temu byłem nad środkową Wołgą w pięknym mieście Uljanowsku. Śniegu tam więcej niż po kolana. Mróz około 10 stopni C. Ale nie był to najzimniejszy rejon Związku Radzieckiego. Z uwagą słuchałem komunikatów o pogodzie. Nad brzegami Morza Czarnego temperatura dochodziła do 15 stopni ciepła, na północnym-wschodzie mróz trzymał silnie, około 30 stopni poniżej zera. Wiały wiatry, padał śnieg i była zamieć. Kierowcom nie było co radzić, bo na tak ogromnym obszarze daleko na ogół się nie jeździ, a każda regionalna radiostacja podaje dokładną pogodę dla danego rejonu kraju. Koleje radzieckie mimo tak zróżnicowanych warunków jeżdżą punktualnie. Dla naszej PKP może się to wydawać cudem, ale tak jest. Po powrocie do kraju przeczytałem w „Szpilkach" następującą wiadomość:

„Pociąg do Koluszek odszedł z Łodzi Fabrycznej 15 minut przed przewidzianym czasem. Kolej odrabia zaległości. Mimo to pasażerowie nie byli zadowoleni."

Śniegu w Uljanowsku napadało sporo i proszę sobie wyobrazić, że nawet alejki w parkach przed pomnikami były tam odśnieżone i śnieg z ławek zmieciony, aby można było sobie usiąść mimo mrozu i chwilę pokontemplować. A miasto wcale nie jest takie małe. Jest co czyścić i śniegu napadało tam więcej niż u nas. Miasto jest bardzo rozległe. Mieszka w nim 480 tysięcy osób.

Cała sprawa — tak mi się wydaje — sprowadza się do tego, że władze Uljanowska i jego mieszkańcy mają trwałe przekonanie, że w ich klimacie, na ich szerokości geograficznej, przy kontynentalnym klimacie, śnieg musi padać w określonej porze roku, musi go padać dużo i trzeba się przygotować fizycznie i moralnie do jego uprzątania. Nas — natomiast — klimat rozpieścił, raz dając zimą chłodną tylko jesień, innym razem kokietując wczesną i długotrwałą wiosną. Takie — wredne zresztą — postępowanie klimatu demoralizuje, dając nadzieję, że może znów się nam uda i zimą nie będzie zimy. Ale klimat lubi nas zaskakiwać.

Jeden ze współtowarzyszy podróży opowiadał mi o swojej przygodzie nad Adriatykiem wiosną któregoś roku. Pracował wtedy w Belgradzie i chciał święta spędzić nad ciepłym jugosłowiańskim wybrzeżem. Wynajął mieszkanie u uroczego gospodarza, który na wieść, że mieszkać będą u niego Polacy, wyciągnął sporych rozmiarów butelkę rakii. Gospodarz mego rozmówcy zetknął się w czasie wojny z Polakami, serdecznie ich wspominał i miał do nas trwały sentyment. Przy kieliszku rakii oświadczył memu rozmówcy, że wieczory i noce są jeszcze chłodne i trzeba palić w piecu, więc każdy da jakąś cześć na kupno ropy. Mój rozmówca dał. Ale nazajutrz okazało się, że uroczy gospodarz od samego rana zamiast do sklepu po ropę poszedł do gospody, gdzie nadal w miłym towarzystwie tuziemców raczył się rakiją. Doszedł on bowiem do wniosku, że wiosna i tak musi nadejść nieuchronnie, a więc będzie ciepło i nie ma po co marnować pieniędzy na kupno ropy. Drugim gościem w nadmorskim domu, a współlokatorem mego współtowarzysza podróży, był japoński dyplomata. Nasz człowiek postanowił ostrzec Japończyka, żeby nie dawał pieniędzy na ropę, bo jej i tak nie będzie. Ale Japończyk nie znał serbskiego, a mój towarzysz podróży angielskiego, więc wiadomość tę przekazał przez kierowcę japońskiego dyplomaty. Serb znał angielski. Usłyszawszy ostrzeżenie Polaka, powiedział: — To dobrze, że pan mi to powiedział, bo ci Japończycy to strasznie prymitywny naród, oni wierzą we wszystko, co się im mówi. Nasz człowiek nie przyznał się, że też można go zaliczyć do prymitywnego narodu, bo również uwierzył.

Ale w naszym sposobie myślenia jest też coś podobnego. Przechytrzyć kogo i co się da. Czasem nawet usiłujemy przechytrzyć przyrodę. I nie zawsze to się udaje. Cieszmy się więc, że idzie wiosna, ale nie sądźmy, że zwolni nas to z gospodarskiego myślenia o naszych codziennych sprawach.

MARCIN RODAK

LEWYM OKIEM

POLISH ENGLISHMEN

Poszedłem kiedyś w Sopocie do kawiarni, gdzie można było sobie nastawić wybraną płytę w szafie grającej. Zresztą takie kawiarnie są wszędzie, nie tylko w Sopocie, i wszędzie spotkać się można z tym samym zjawiskim: to są szafy grające dla Anglików.

Na sześćdziesiąt — o ile pamiętam — pozycji w spisie melodii, które można było sobie zafundować wrzuciwszy monetę, nie było a n i j e d n e j nazwanej nie po angielsku. Czy naprawdę nasza młodzież — bo to przecież dla niej są te szafy i ten cały prowincjonalny „szołbiznes" — tak świetnie zna język anglosasów, tak nim na co dzień swobodnie operuje, tak się ze szczętem zaangliczyła? Podchodzą ci biedni eleganci na wysokich obcasach, w rozchełstanych modnie koszulach, w łatanych najmodniej teksasach (ścieralnych, oczywiście), podchodzą te dziewczyny afro, opięte do granic najintymniejszej anatomii — i odczytują głośno obcojęzyczne słowa tak jak są napisane, fonetycznie, albo — co jeszcze gorzej — ze skandalicznie fałszywym, niby angielskim zaśpiewem, krztuszą się tymi słowami, które może im są nawet z widzenia znane — z płyt, z taśm, z tych tu szaf grających, ale które nie kojarzą im się z żadnym sensem. To jest bardzo smarkaty snobizm na wtajemniczenie w dyskotekową sitwę, w rzekome (bo wcale nie autentyczne) zafascynowanie najnowszymi stylami muzyki, za których zmiennym nazewnictwem ledwie już możemy nadążyć.

Coraz to ktoś podchodzi i uruchamia szafę. Słyszę ciągle taki sam łomot bez szczypty tego strasznie niemodnego waloru, który kiedyś nazywano melodią. No dobrze, jest sobie taki kierunek w muzyce rozrywkowej, który nie dba o melodyjność, płynność, zapamiętywalność, który nie chce żeby te przeboje nucić, bo one do tego się nie nadają, chce tylko żeby przy ich ekspozycji podrygiwać całym ciałem, wykrzywiać się jak najbardziej groteskowo, wyginać w przód i w tył. Proszę bardzo. W plastyce też były różne kierunki i w poezji też, niektórzy się tym zachwycali, inni nie mogli patrzeć. Nie mogli — ale i nie musieli. Zawsze był możliwy wybór. W muzyce rozrywkowej wyboru prawie że nie ma, a w kawiarni sopockiej (i nie tylko) — nie ma wcale.

Więc powiadam: jeżeli ten łomot jest modny, to niech sobie przeważa w grających szafach, ale niech by tam została jakaś szasna także dla ludzi o trochę innym guście. I niech się to wszystko nie nazywa wyłącznie po angielsku, bo to od razu wyklucza wybór i skazuje klienta na przypadek. Może pozycja czternasta będzie lepsza od czterdziestej? I o tej i o tamtej nic ze spisu nie wiem.

Modni są autorzy południowoamerykańscy, ale przecież w bibliotekach nie spotkasz półek zapchanych tytułami wyłącznie w języku hiszpańskim...

Aleksander Małachowski pisze w „Kulturze", że ten nieokiełznany zalew anglosaskiej muzyki rozrywkowej, jaskrawie wyraźny także w radio, spowodowany jest tym, że zachodni przemysł płytowy dostarcza bezpłatnie reklamowych nagrań. To by było straszne, gdyby taki wzgląd naprawdę decydował o naszych czterech programach, młócących od rana do nocy angielszczyznę. Prezenter jest „inteligentny", on wymawia tytuły prawidłowo, a komentując je wtrąca jeszcze multum angielskich terminów. Brakuje mu słów? Nie, tylko fason tego wymaga.

Jak widzicie — ani się nie gorszę, ani nie odsądzam „nowoczesnych" rytmów od czci i wiary. Myślę zresztą, że pojęcie nowoczesności nie ma zastosowania w sztuce, która najwyżej może posługiwać się nowoczesnymi, nieznanymi dawniej narzędziami. We wczesnym średniowieczu chłopi włoscy przywiązywali osłu do grzbietu bębenek, a pod ogon wtykali oset. Osioł rzucał się, bębenek bębnił, a chłopi skakali uciesznie do taktu, nie wiedząc że uczestniczą w sui generis „nowoczesnym" happeningu (angielskie słowo!) muzycznym. Mogę podać uczone źródła tej informacji.

Proszę tylko jeszcze raz: zostawcie jakąś szansę także tym bynajmniej nie głuchym i nie zwapniałym klientom, którzy primo: mają trochę inny gust muzyczny; secundo: nie znają (bo nie muszą) języka angielskiego i nie chce im się (bo nie muszą) udawać, że znają.

ĆWIEK

SPORT

DOMYSŁY I FAKTY

„Największego ćwieka miał jednak Widzew przed meczem z obsadą bramki. O Burzyńskim kipi w Łodzi. Miał wypadek samochodowy, w którym zginął człowiek. Prokuratura prowadzi śledztwo. Burzyńskiego nie było na boisku. Nie zagrał też Gajda. Widzew sięgnął do najgłębszych rezerw i w bramce zadebiutował Woźniak".

Jest to fragment sprawozdania z meczu Widzew — Lech, które ukazało się w poniedziałkowym (17.III.) „Przeglądzie Sportowym".

Ostatnio „kipiało" nie tylko o Burzyńskim, ale w ogóle o Widzewie i nie tylko w Łodzi, ale w Polsce. Porażka z Lechem 0:3 była największą sensacją drugiej kolejki. Równie sensacyjny posmak miało wystąpienie w tym meczu Władysława Żmudy. No i jeszcze ten zupełnie nowy bramkarz.

Pojawienie się Żmudy na boisku w Łodzi zbulwersowało sprawozdawców. Niektórzy pisali, że nawet reprezentacyjny obrońca nie uratował Widzewa przed wysoką porażką, a generalnie szło o to, dlaczego Żmuda znalazł się w Łodzi. Wprawdzie piłkarz nie robił tajemnicy z tego, że chce grać w Widzewie, ale i Śląsk nie krył, iż tak łatwo go nie puści. Zanosiło się na długie przetargi, a tymczasem Żmuda zagrał w drużynie Widzewa.

Jak oświadczył przedstawicielowi „Trybuny Ludu" sekretarz generalny PZPN — Konrad Kaleta „sprawa została załatwiona tak nagle i nieoczekiwanie, że sam jestem zaskoczony". A cóż dopiero dziennikarze, którzy o niczym nie wiedzieli. Sekretarz generalny wprawdzie dodał, iż „z dokumentów wynika, że wszystko odbyło się zgodnie z obowiązującymi przepisami", ale przyznał przy okazji: „Rzeczywiście szkoda, że zabrakło czasu na to, by ukazał się w tej sprawie oficjalny komunikat". I oto właśnie sprawozdawcy mieli najwięcej pretensji.

Od pewnego czasu głośno było też o Stanisławie Burzyńskim. Od pewnego czasu, to konkretnie od 25 lutego, kiedy to reprezentacyjny bramkarz Widzewa miał wypadek samochodowy, w którym zginął człowiek. Takie wypadki niestety zdarzają się. Giną w nich ludzie, odnoszą rany, kierowcy odjeżdżają nie udzielając pomocy ofiarom. Pisze się o tym w kronikach wypadków, mówi o tym radio, telewizja.

I gdyby wypadek Burzyńskiego trafił do kroniki wypadków, być może nie powstałoby na ten temat tyle różnych plotek. Gdyby Stanisław Burzyński nie wystąpił w pierwszym meczu wiosennej kolejki, być może Jan Lazar z „Dziennika Zachodniego" nie gubiłby się w domysłach, pisząc:

„Ostatnio zawrzało w światku kibiców — podobno dwaj bardzo znani piłkarze spowodowali wypadek samochodowy. Ale są potrzebni klubowi (i kto wie, czy nie będą dzielnie pracować na dobre imię kraju w jakimś zagranicznym klubie) — nic dziwnego, że okaże się, iż była to tylko plotka. Być może będzie to tylko pech."

Te domysły Jana Lazara przedrukował „Przegląd Sportowy". Z podobnymi domysłami i aluzjami wystąpiła też „Gazeta Południowa". Nie twierdzę, że o wypadku tym nie pisano by w ogóle, ale opierano by się wówczas na faktach.

Po ostatnim, sensacyjnie przegranym meczu Widzewa kibice dowiedzieli się, że Stanisław Burzyński został zatrzymany do dyspozycji prokuratora, a drugi bramkarz — Piotr Gajda przeniesiony do rezerwy.

W Prokuraturze Wojewódzkiej dowiedziałam się o faktach: Stanisław Burzyński miał wypadek, w którym zginął człowiek. Na miejscu wypadku nie zatrzymał się. O wydarzeniu milicję powiadomili świadkowie, a Burzyński zgłosił się do milicji po pewnym czasie. O stopniu jego winy i odpowiedzialności zadecyduje sąd.

Sportowcom, jak wszystkim ludziom, zdarzają się nieszczęścia, przypadki losowe, wykroczenia przeciw prawu i porządkowi. I kibic chciałby być informowany o tym równie dokładnie i rzetelnie, jak o ich sukcesach, zwycięstwach i porażkach na boiskach. Choćby dlatego, żeby nie zaczęło budzić się w nim przekonanie, że postawy sportowców ocenia się według innej miary. Po prostu czasami warto w porę powiedzieć gorzką prawdę, aby nie stwarzać pożywki dla domysłów i plotek.

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa Książka Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan Adres redakcji: al. A. Mickiewicza 11 kod poczt. 90 438 Telefony 652 44 sekretariat i red. naczelny 680 99 677-70 Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Prasowe Zakłady Graf. RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 637. G-2.

Załącznik nr. 65/.../80

HASŁO NUMERU: Czy zaopatrzyłeś się już w migawkę życiową?

W trosce o czystość

Nie tak dawno Klub Dziennikarza obchodził dwudziestolecie swego istnienia. W dwudziestym pierwszym roku swej działalności otrzymał wreszcie umywalnię, co należy uznać za sukces. Wprawdzie dziennikarze mieli przez wszystkie te lata czyste ręce w sensie etycznym, ale potrzeby higieny postulowały zamontowanie kranu i umywalki, co wreszcie się stało. Firma remontowa, która dokonała wielkopomnego dzieła, także stanęła na wysokości zadania. Układanie glazury w pomieszczeniu 1 x 1,5 m i wykonanie instalacji trwało tylko trzy miesiące, a nie na przykład pięć lat. Snać i budowlani przejęli się troską o czystość dziennikarzy.

Zawód włókniarza niepopularny?

Tak właśnie można by sądzić, gdyż sprzedano za granicę po czternastoletniej eksploatacji m/s „Włókniarz". Podobno jego dalsza eksploatacja była nieopłacalna, inaczej, niż przemysł włókienniczy który po modernizacjach przysparza niemałe dochody. Czy nie warto by jednak zastąpić stary statek nowym o nazwie m/s „Włókniarka"? Przemysł włókienniczy jest domeną kobiet, pracuje w nim ponad 600 tysięcy pań. Należy im się choćby taki skromny dowód pamięci.

Kłopoty bogactwa

Wzrost dochodów ludności rodzi nowe, nie znane dotąd kłopoty. W środowisku właścicieli psów, o czym doniósł „Dziennik Popularny" szeroko komentowana jest afera osiemnastoletniej łodzianki, która wyłudziła z zagranicy rasowe charty spieniężone następnie na bazarze warszawskim po 30 tys. złotych. Ten prywatny import nie zagraża wprawdzie naszemu handlowi zagranicznemu, ale nie przysparza nam przyjaciół na świecie. Psia afera jest na szczęście problemem snobów, bo w schronisku dla bezdomnych zwierząt można nabyć czworonogi za sto kilkadziesiąt złotych. Ale związek kynologiczny powinien zachować więcej czujności w stosunku do różnych pseudohodowców. I tu jest pies pogrzebany.

Na kolei nic nowego

Znane są już założenia nowego rozkładu jazdy PKP. Dla łodzian nie jest on żadnym zakończeniem. Stało się zadość tradycji i skreślono cały szereg dogodnych połączeń nie dając w zamian nic. Uruchomiono tylko dodatkowy pociąg kolei obwodowej dla kolejarzy, co trudno uznać za sukces. Przed laty zlikwidowano w Łodzi lotnisko i nic nie wskazuje na to, że ponownie będziemy latać samolotami. Powoli przychodzi czas na dworce, z których przestają odchodzić pociągi. Całe szczęście, że sklepy „Czuj-czynu" zawalone są kolejkami „Piko". Wobec beztroski Ministerstwa Komunikacji każdy więc będzie się mógł zaopatrzyć w pociąg prywatny.

Atrakcyjność zawodu inżyniera

W jednej z audycji telewizyjnych młodzież szkół średnich postawiła atrakcyjność zawodu inżyniera na ostatnim miejscu. Stefan Kozicki w opublikowanym przez „Kulturę" reportażu „Nowe odcienie dawnych bogactw", z upodobaniem tytułuje mgr Antoniego Szrama, autora albumu „Architektura Łodzi przemysłowej" właśnie inżynierem. Jest to nie tylko błąd, ale dwuznacznik.

K.F.

PRZTYCZKI

Rys. Andrzej Tylczyński

TADEUSZ GIGGIER

Z LIMERYKÓW

Powiadają, że po to wymyślono święta,
aby gościa nikt nie śmiał uznać za natręta.
I stąd, ze względu na wzgląd,
obowiązuje w dniach świąt
staropolska gościnność i cierpliwość święta.

HAŁAS

MAREK NEJMAN

Zamieniłem mieszkanie. Nie mogłem fatalniej. Pode mną właściciel bił żonę, nade mną — regularnie upijał się, sąsiad obok był erotomanem. Wszystko wokół bekotało, wyło i trzeszczało. Nerwy miałem napięte niczym postronki. Popadać począłem w kompletną depresję, bez wyjścia. Ratunek przyszedł nagle. Z niespodziewanym dzwonkiem do drzwi.

— **Nie napiłby się pan?** — zapytał facet z zapaszkiem — **Tak po ludzku...**

Chciałem go zwymyślać, ale przerwał w pół słowa.

— **Znamy się, a właściwie nie znamy. Sąsiad z sąsiadem powinien po sąsiedzku.**

Wypiliśmy pół litra. I powtórzyliśmy, ponieważ odgłosy z mieszkania erotomana rywalizowały z hałasem awanturnika. Zagłuszyliśmy je skutecznie piosenką wykonaną w duecie z panem Zdzisiem.

Erotomana poznałem w momencie, gdy chciałem już złożyć nań skargę w administracji. Wepchnął mi do mieszkania wysoką blondynkę. Zdecydowanie w moim typie.

— **Pan przetrzyma kapinkę** — szepnął puszczając oko — **Coś nawaliło w kalendarzyku. Naraz dwie przyszły.**

Do rana nie słyszałem absolutnie żadnych odgłosów. Pan Piotr nie zgłosił się jakoś po odbiór, za to na ulicy stał ukłony z wdzięcznym uśmiechem.

Awanturników postanowiłem wreszcie zgłosić na posterunek. Wziąłem już nawet płaszcz i parasol. Na schodach prawie zderzyłem się z blondynką przetrzymaną kiedyś na prośbę pana Piotra. Od trzech miesięcy nie mogła się ode mnie odczepić. Skoczyłem w najbliższe drzwi. Skamieniałem. Tam mieszkali oni. Ale zło na schodach było poważniejsze.

— **Ratunku!** — wyszeptałem — **Pomocy!**

Wolność odzyskałem w ciągu paru minut. Byli nieźle zaprawieni w rodzinnych bojach.

Leżę sobie teraz rozluźniony patrząc w sufit i myślę o dokonanej zamianie mieszkania. Nie mogłem wybrać lepiej! Z nerwowego stałem się refleksyjny. Zastanawiam się co też robią w chwili obecnej panowie Zdzisio i Piotruś? Analizuję, kto z rodziny pode mną odejdzie pokonany z dzisiejszej kłótni? Na podstawie wycia, bełkotu i trzeszczenia wysnuwam przeróżne mozaikowe wnioski. Hałas mi już wcale, ale to wcale nie przeszkadza. Przestał być anonimowy. Stał się po prostu ludzki!

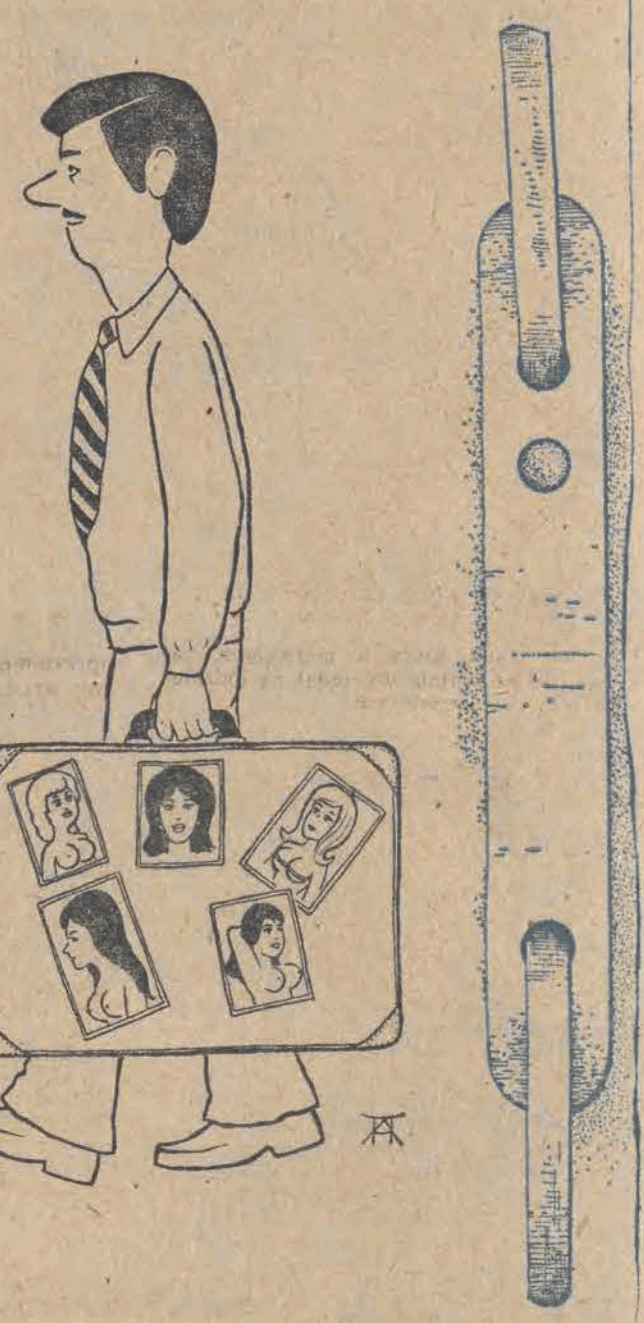

Rys. Andrzej Adamowicz

GOŁA SIERŻANT

Po czterech latach i pięciu miesiącach wzorowej służby, sierżant marynarki wojennej USA, 22-letnia Lin Finnley zakończyła swoją karierę wojskową. Szkoda, bo była jednym z najsympatyczniejszych sierżantów armii USA. (specjalność — teletypistka).

Powodem zwolnienia ze służby była seria jej zdjęć, jaka ukazała się w „Playboy'u".

SATYRYCY Z MPK

Dorota, 18-letnia licealistka, wsiadła, jak co dzień rano, do zatłoczonego autobusu „B" na jednym z przystanków w osiedlu Teofilów. Do szkoły jednak nie dojechała, gdyż wypchnięto ją z zatłoczonego autobusu, we wnętrzu którego został jej jeden but.

But był z nowej pary, a poza tym — nie każdemu się w domu przelewa, dziewczyna więc — obuwszy się ponownie — podjęła poszukiwania zguby, kończąc je ostatecznie w dyspozytorni MPK przy pl. Wolności, gdzie na jej nieśmiałe pytanie odpowiedziano rechotem: — A majtek pani nie zgubiła?!

— To już nawet nie chodzi o ten but. Dlaczego jednak potraktowano mnie w tak okrutny, chamski sposób? — pyta Dorota, która z trudem powstrzymała się od płaczu, opuszczając dyspozytornię MPK.

Właśnie, dlaczego?...

CIARKI PO GRZBIECIE

Znajomy lekarz opowiedział nam następujące zdarzenie, o którym w skrócie:

Z jednego z łódzkich szpitali (nazwa i adres znane redakcji) wypisano karnie niespełna... sześcioletniego pacjenta który włamał się nocą do dyżurki pielęgniarek, gdzie zaopatrzył się w strzykawki i igły, za pomocą których usiłował — z różnym skutkiem — aplikować zastrzyki małym współpacjentom. Dopiero larum podniesione przez niesubordynowanego bachora zaciekle broniącego swej pupy przed igłą, sprowadziło pielęgniarską odsiecz. Dodajmy jeszcze że mały terapeuta — z braku innego specyfiku na podorędziu — używał do injekcji pozostałej z kolacji herbaty.

Śmieszne? Nam jednak nie za bardzo do śmiechu. Być może iż jest to skutek braku poczucia humoru. Znamy bowiem i takich, którzy zrywali boki dowiedziawszy się, że ktoś gdzieś na Zachodzie ukradł pojemnik ze śmiertelonośnym uranem z niedostatecznie strzeżonego laboratorium.

Rys. Edward Bogdański

TYTUŁ MIESIĄCA
ZAPRZEDAŁ SIĘ PIŁCE NOŻNEJ

Tytułem tym opatrzył w „Expressie Ilustrowanym" przeprowadzony przez siebie wywiad red. Michał Strzelecki.

Na szczęście z treści wywiadu nie wynika, aby wywiadodajca był zaprzedańcem.

E. Tyk

TADEUSZ WIEŻAN

Z PAMIĘTNIKA MAJSTRA

Zwykle po większych naradach w przedsiębiorstwach dyrektor przez następne dni stara się nawiązać kontakt z załogą. Nie zdziwiło więc mnie, kiedy zobaczyłem jak mój zwierzchnik przeskakując zręcznie kałuże kica w moim kierunku.

— *Chciałem z panem porozmawiać panie Łyczakowski* — zawołał z daleka i gdy pokonał ostatnią przeszkodę podał mi dłoń. — *Jak pana zdrowie?* — zapytał.

I już wiedziałem, że coś trzeba będzie podnieść, a coś obniżyć.

— *Dziękuję dobrze!* — odpowiedziałem na to pytanie o zdrowie.

— *A, to dobrze, jak dobrze* — powiedział, ale, że nie był to główny cel jego wizyty, zaraz miałem się przekonać.

— *Panie Łyczakowski musimy podnieść wydajność. W trzecim kwartale znowu plan jest zagrożony.*

Oburzyło to mnie. — *Jak to zagrożony?* — zapytałem.

— *Przecież moja brygada przekroczyła plan.*

— *No tak!* Zgodził się dyrektor — *ale ja mówię w skali przedsiębiorstwa. Trzeba to rozpatrywać globalnie.*

Nic nie odpowiedziałem bo cóż ja mogłem poradzić. Ale mój zwierzchnik miał na to radę.

— *Pan musi nam pomóc!* — wypalił mi prosto w twarz i nawet się nie zarumienił.

— *A cóż ja mogę?* — odparłem.

— *No, żeby pana brygada jakoś się zmobilizowała i pomogła przedsiębiorstwu.*

— *Powinien pan dyrektor do innych brygad zwrócić się z tym apelem* — odparłem.

— *Panie Łyczakowski* — powiedział zgnębionym głosem dyrektor i pokiwał głową. — *Panie Łyczakowski jak oni tak pracują, że nawet normy nie mogą wykonać, to po co ja mam się do nich zwracać?*

c.d.n.

WIELKIE K

„Syreny" naprawiam u Klienta — obwieszcza w „Expressie Ilustrowanym" mistrz-samochodziarz.

Wzruszyło nas nie tylko, że „u", ale że u Klienta z wielkiej litery. Dobra, stara szkoła Usług?

BUTY NA POGODĘ

Jeden z Czytelników „Dziennika Popularnego" próbował reklamować buty zimowe, które już po kilku spacerach notorycznie przemakały. W Dziale Odbioru Jakościowego WPHW oświadczono mu — pisze **M. S.** — **że „reklamację tę może uznać tylko prasa, radio i telewizja".**

Że co — że z papieru? Ale co w takim razie miałaby do tego radio i telewizja?

TO I TAMTO

WĘDROWCOM KU ROZWADZE

O kolejnym kwiatku wstawionym do rozkładu jazdy pociągów, donosi tenże „DP". Oto z powodu robót modernizacyjnych, decyzją centralnej dyrekcji kolei, w okresie maj — sierpień wstrzymany ma być przez 20 dni w miesiącu ruch pociągów na trasie Łódź — Łowicz Przedmieście — Bednary, a do października na trasie Zgierz — Kutno. Tym samym nie będą dojeżdżały do Łodzi w te dni pociągi sezonowe z Kołobrzegu, „Pomorzanin" z Gdyni, a wyjechać nie będą mogły pociągi z Łodzi do Szczecina.

Miejmy nadzieję, że po pierwsze — poprawi się pogoda, po drugie — że poprawi się jakość obuwia. To pierwsze wydaje się nam pewniejsze.

G. LOBTROTTER